

STRESZCZENIE SZCZEGÓŁOWE

# **„Lalka” – streszczenie szczegółowe (dokładne) lektury**

*Bolesław Prus*

maturapolski.pl — darmowe opracowania lektur

## Rozdział I — Jak wygląda firma J. Mincel i S. Wokulski przez szkło butelek?

---

Akcja zawiązuje się w początkach roku 1878, gdy świat polityczny żyje pokojem w San Stefano, wyborem nowego papieża i widmem europejskiej wojny. Tymczasem warszawscy kupcy i inteligencja okolic Krakowskiego Przedmieścia nie mniej gorąco roztrząsają przyszłość galanterijnego sklepu pod firmą **J. Mincel i S. Wokulski**. W renomowanej jadłodajni, gdzie nad butelkami ciemnego piwa i w kłębach cygarowego dymu schodzą się fabrykanci, posiadacze kamienic i „poważni ojcowie rodzin”, równie zawzięcie zakłada się o przegraną Anglii, co o bankructwo Wokulskiego: jedni nazywają geniuszem Bismarcka, inni „awanturnikiem” — Wokulskiego, jeszcze inni twierdzą, że to „zdecydowany wariat, jeżeli nie coś gorszego”.

Najgłośniej wieszczą mu ruinę dwaj ludzie, którzy znają go najdawniej: **pan Deklewski**, fabrykant powozów, swój majątek zawdzięczający „wytrwałej pracy w jednym fachu”, oraz **radca Węgrowicz**, od dwudziestu lat członek-opiekun jednego Towarzystwa Dobroczynności. Deklewski powtarza sentencję, że ruiną musi skończyć człowiek, który „nie pilnuje jednego fachu”, a radca kwituje to refrenem „Wariat! wariat!... Awanturnik!”, przeplatany wołaniem o kolejne butelki piwa do chłopaka Józia (którego niezmiennie „Służę piorunem!” i mylenie się radcy w rachubie — „Już ósma? Jak ten czas leci!” — nadają scenie komiczny, a zarazem melancholijny rytm). Powód oburzenia jest jeden: Wokulski, mając „pewny kawałek chleba”, dobrowolnie wyrzekł się spokojnego życia — sklep „zostawił na Opatrzności boskiej”, a z całą gotówką odziedziczoną po żonie pojechał na turecką wojnę robić majątek na dostawach dla wojska.

Przybyły rzadziej **agent handlowy Szprot** wypytuje radcę, skąd u Wokulskiego owa „wariacja”, i tak — w plotkarskiej relacji — poznajemy jego dotychczasowy los. Około roku 1860 Wokulski był subiektem w handlu win u Hopfera, podając gościom piwo i „zrazy nelsonskie”, lecz „zachciało mu się być uczonym”: przeszedł do Szkoły Przygotowawczej, a potem zdał do Szkoły Głównej — w dzień służył przy bufecie, nocą się uczył. Był przy tym hardy i drażliwy, wściekał się, gdy nazywano go drwiąco „panem konsyliarzem”. Nauki jednak nie dokończył: niespełna w rok rzucił szkołę i — jak mętnie, językiem ezopowym, ujmuje to radca — „oparł się aż gdzieś koło Irkucka” (zawołowana aluzja do udziału w powstaniu styczniowym i zesłania na Syberię). W roku 1870 wrócił do Warszawy z niewielkim funduszem i przy protekcji

dzisiejszego dysponenta sklepu, **Rzeckiego**, wkręcił się do sklepu świeżo owdowiałej **Minclowej**, którą wkrótce poślubił — kobietę „grubo starszą od niego”. Tak „jednym zamachem” zdobył byt i warsztat, lecz miał z żoną „krzyż Pański”, a małżeństwo radca nazywa „czteroletnią katorgą”. Półtora roku temu Minclowa umarła, zostawiając Wokulskiego wolnym, z zasobnym sklepem i trzydziestoma tysiącami rubli, „na które pracowały dwa pokolenia Minclów”. I właśnie wtedy — zamiast się ustatkować — rzucił wszystko dla wojennego interesu, bo „milionów mu się zachciało”.

Wbrew tym posępnym wróżbom sklep nie tylko nie upadł, ale prosperuje: zaciekawiona pogłoskami publiczność tłumnie odwiedza magazyn, a po wyjeździe właściciela zaczęli zgłaszać się kupcy rosyjscy, zamówienia mnożą się, weksle są płacone regularnie. Obsługuje gości trzech subiektów — mizerny blondyn wyglądający „jakby co godzinę umierał na suchoty”, szatyn „z brodą filozofa, a ruchami księcia” i pachnący „jak laboratorium chemiczne” elegant w „zabójczych” wąsikach. Lecz tym, co naprawdę chroni firmę od upadku, jest jej czterdziestoletni zarządca, przyjaciel i zastępca Wokulskiego — **pan Ignacy Rzecki**.

## Rozdział II — Rządy starego subiekta

---

Drugi rozdział wprowadza w cichy, osobny świat Rzeckiego, który od dwudziestu pięciu lat mieszka w pokoiku przy sklepie. Wszystko wokół zmieniało się przez ćwierć wieku — właściciele, podłoga, szafy, subiekci — lecz jego pokój trwa niezmiennie: to samo smutne okno na podwórze z zakratowaną, wypłowiałą „z tęsknoty za słońcem” firanką, ten sam czarny stół, kałamarz, mosiężne lichtarze do nieużywanych już świec, żelazne łóżko z cienkim materacem, nad nim nigdy nieużywana dubeltówka, a pod nim pudło z gitarą „przypominające dziecinną trumienkę”. Narrator z naciskiem porównuje to wnętrze do grobu — obraz człowieka żyjącego całkowicie przeszłością.

Równie niezmiennie są obyczaje pana Ignacego. Budzi się co dzień o szóstej, myje się od stóp do głów, „rżąc i parskając jak wiekowy rumak szlachetnej krwi”, i z upodobaniem stwierdza nad chudymi łydkami: „No, przecie nabieram ciała”. Towarzyszy mu stary, jednooki pudel **Ir**. O wpół do siódmej, schludny i gotów, otwiera wielkim kluczem obite blachą tylne drzwi sklepu i przez binokle odczytuje z notatnika rozkład dnia — przekazy do banku, wysyłki do Lublina i Wiednia, monit do rymarza, a wśród spraw urzędowych czuły, osobisty punkt: „Napisać list do Stasia” (do Wokulskiego). Następnie obchodzi gablotki, sprawdzając towar — spinki, rękawiczki, wachlarze, albumy, porcelanę — i planuje na jutro wystawić w oknie karuzelę, „bo już fontanna spowszedniała”. W szafie rzędem stoją **lalki** różnej wielkości, brunetki i blondynki, które „przypatrywały się im martwymi oczami” — motyw tytułowy powraca tu jako cichy, niepokojący akcent. Stary subiekt trafnie przewiduje, kto z pracowników przyjdzie pierwszy (sumienny **Klejn**), a kto ostatni (lekkoduch **Mraczewski**, który uwiódł jakąś

guwernantkę i sprzedał jej neseserkę „z rabatem”). Gdy Klejn istotnie zjawia się pierwszy, Paweł gasi gaz i otwiera sklep — do wnętrza „wszedł dzień, jedyny gość, który nigdy nie zawodzi kupca”.

Poranne rozmowy subiektów dopełniają ich charakterystyki. **Klejn** pyta o pryncypała (Wokulski spodziewany w połowie marca, „jeśli nie zatrzyma go nowa wojna”) i wskazuje na spadające kursy i flotę angielską u Dardaneli, lecz Rzecki lekceważy wojnę, „w której nie przyjmie udziału Bonaparte” — od razu ujawnia się jego życiowa obsesja, wiara w potęgę bonapartyzmu. Gdy Klejn replikuje, że jest siła większa, i cicho, chowając się za porcelaną, szepce „Socjalizm...”, zarysowuje się dyskretny kontrast pokoleń i ideałów: stary romantyk-napoleonista wobec nowych, podziemnych prądów. Wchodzi brodaty **Lisiecki** i wymienia z Rzeckim cierpkie docinki — o spóźniającym się zegarku, o jego siwiźnie i własnej łysinie („smutne dziedzictwo rodu”). Pierwszego gościa — kobietę żądającą mosiężnej spluwaczki — obsługują z przesadną godnością.

Okolo dziewiątej wpada **Mraczewski**, „piękny dwudziestokilkolletni blondynek” z wąsikami „jak zatrute sztylety”, ciągnąc za sobą smugę perfum. Spóźniony, zaklina się „słowem honoru”, że jest już wpół do dziesiątej, i kłamliwie tłumaczy się chorobą matki. Rzecki, urażony jego lekkoduszną elegancją, kwituje: „pan powinienes być hrabią, nie kupcem”. Następuje popisowa, komiczna scena sprzedaży kaloszy: Mraczewski zalewa przypadkowego klienta takim potokiem usługowej wymowy — przymierza, nabija literki „L.P.”, każe Pawłowi owinąć stare obuwie — że oszołomiony gość płaci wygórowane dwa ruble pięćdziesiąt i dopiero na ulicy orientuje się, że gdzie indziej kupiłby kalosze taniej. Mraczewski drwi półgłosem, że Rzecki z profilu podobny jest do Napoleona III (Lisiecki dorzuca: „kiedy chorował na kamień”). Wychodzi przy okazji na jaw, że stary subiekt prowadzi tajny „prywatny katalog” z notatkami o prywatnym życiu wszystkich pracowników (o Mraczewskim: „Był na Hugonotach w ósmym rzędzie krzesel z niejaką Matyldą...???”) — skąd zna te szczegóły, pozostaje jego tajemnicą.

Po opisie sklepowego rytmu dnia (obiady na zmianę, zamknięcie o ósmej, samotne wieczorne rachunki) narrator odsłania wewnętrzne życie Rzeckiego. Gdy dzień się nie udał, długo nie śpi, dręczony wizjami ruiny sklepu i „stanowczego upadku Napoleonidów” — „Nic nie będzie! Giniemy bez ratunku”. Gdy udał się dobrze, czyta historię konsulatu i cesarstwa albo wycinki o wojnie włoskiej 1859 roku, gra na gitarze *Marsza Rakoczego* i śni o węgierskich równinach i wojskach w dymie — żywy obraz starego żołnierza-marzyciela, który całą nadzieję pokłada w napoleońskiej legendzie. Centralna jest tu scena-klucz, w której podczas niedzielnych przygotowań wystaw „budzi się w nim dziecko”: nakręca naraz wszystkie mechaniczne zabawki — niedźwiedzia pnącego się na słup, piejącego koguta, biegnącą mysz, pociąg, pajaca cwałującego na koniu, tańczące walca pary — a gdy ten „świat lalek” nabiera w drgającym świetle gazu „fantastycznego życia”, Rzecki wygłasza melancholijny monolog, który stanowi filozoficzny klucz tytułu powieści: „dokąd wy jedziecie, podróżni?... Co wam po uściskach,

tancerze?... Wykręca się sprężyny i pójdziecie na powrót do szafy. Głupstwo, wszystko głupstwo!... a wam (...) mogłoby się zdawać, że to jest coś wielkiego!". Ludzie jawią mu się jak nakręcane, bezwolne lalki, a życie — jak marność: „głupstwo handel... głupstwo polityka... głupstwo całe życie, którego początku nie pamiętamy, a końca nie znamy... Gdzież prawda?". Za takie głośnie wynurzenia uchodzi za dziwaka — „Oto do czego prowadzi męczyzną starokawalerstwo!". Coraz rzadziej wychodzi z domu, a tym mocniej marzy o dalekiej podróży na wieś lub za granicę, „choć raz przed śmiercią"; odcięty od ludzi, czując potrzebę wymiany myśli, rozmawia sam ze sobą i — w największym sekrecie — pisze pamiętnik.

## Rozdział III — Pamiętnik starego subiekta

---

Rozdział oddaje głos samemu Rzeckiemu w pierwszym wpisie jego dziennika, pisanym staroświeckim, gawędziarskim tonem. Stary subiekt ubolewa, że „na świecie jest coraz mniej dobrych subiektów i rozumnych polityków, bo wszyscy stosują się do mody": skromny subiekt co kwartał zmienia fason spodni i kołnierzyka, a politycy „co kwartał zmieniają wiarę" — „onegdaj wierzyli w Bismarcka, wczoraj w Gambettę, a dziś w Beaconsfielda". Z kupieckiej mądrości wyprowadza polityczną zasadę: jak w sklepie nie wolno stroić się w towar, lecz go sprzedawać, tak polityki nie należy opierać na „szczęśliwych osobach", lecz na „wielkich dynastiach" — bo Metternich i Palmerston przeminęli, a ród Bonapartych „trząsł Europą" za obu Napoleonów i nadal, przez wierne sługi MacMahona i Ducrota, wpływa na losy Francji. Wpis odsłania całą naiwną, wierną i anachroniczną wiarę Rzeckiego — fundament jego idealistycznego portretu.

Dalej pamiętnik cofa się do dzieciństwa, by pokazać, „jakim sposobem tworzyli się dobrzy subiekci". Ojciec Rzeckiego, za młodu napoleoński żołnierz, na starość woźny w Komisji Spraw Wewnętrznych — prosty „jak sztaba", z wąsem do góry i srebrnym kolczykiem — mieszkał na Starym Mieście z ciotką Zuzanną, która prała urzędnikom bieliznę. W ubogim, lecz radosnym domu panował kult Napoleona: ojciec obwieszał pokój wizerunkami cesarza (pod Wagram, Austerlitz, Moskwą, w apoteozie), a gdy zgorszona ciotka powiesiła krucyfiks, dokupił jeszcze brązowe popiersie, „żeby nie obrazić Napoleona". Na ostrzeżenia, że „będą go pławić w smole", odpowiadał spokojnie: „Nie da mi cesarz zrobić krzywdy". Schodzili się tam dawni koledzy — woźny **Domański** i handlujący zieleniną **Raczek** (rubaszny grenadier, który na potwierdzenie pluł aż do izby ciotki i z czasem ją poślubił) — „prości ludzie, ale roztropni politycy", zgodnie wierzący, że ród Bonapartych jeszcze „wypłynie": po jednym Napoleonie przyjdzie następny, „dopóki nie uporządkują świata". Wychowanie Ignasia podporządkowane było tej wierze — ojciec uczył go czytać, kleić koperty, lecz „nade wszystko musztrować się", budząc go nocami okrzykiem „Do broni!" i wpajając: „zawsze bądź gotów (...), bo nie wiemy dnia ani godziny", „Bonapartów Bóg zesłał, ażeby zrobili porządek na świecie".

Z biegiem lat towarzysze ojca tracili wiarę — Raczek narzekał, że „za długo czekamy na nowego Napoleona”, Domański, że „świat idzie do gorszego” — lecz ojciec trwał niezłomny: „będzie sprawiedliwość, choćby i Napoleona nie stało. Ale i Napoleon się znajdzie”. Około roku 1840 ciężko zachorował i, choć przyjął już ostatnie sakramenty, powtarzał: „Ja tam nie umrę, dopóki o nim nie usłyszę”. I oto w jego scenie-kluczu śmierci spełnia się to dosłownie: Raczek wpada z wieścią, że „znalazł się Napoleon... we Francji” (Ludwik Napoleon, przyszły Napoleon III), a umierający ojciec zrywa się, wyciąga do syna rękę i z niezapomnianym spojrzeniem szepce testament: „Pamiętaj!... Wszystko pamiętaj” — i umiera. Ta chwila nadała wierze ojca w oczach Rzeckiego „cudowny, nieomal proroczy charakter”: później widział „drugą gwiazdę napoleońską”, która „obudziła Włochy i Węgry”, a choć spadła pod Sedanem, nie wierzy w jej ostateczne zagaśnięcie — „niesprawiedliwość dopóty będzie władać światem, dopóki nowy Napoleon nie urośnie”.

Po śmierci ojca opiekunowie naradzają się nad losem chłopca; gdy zapytany sam wybiera sklep — „ten na Podwalu, co ma we drzwiach pałasz, a w oknie kozaka”, czyli **Mincla** — rzecz załatwia się przy okazji komicznego swatania Raczka z ciotką (Domański: „jejmość nie masz opieki, on nie ma gospodyni; pobierzcie się i przygarnijcie Ignasia”). Wysłannicy wracają od Mincla pijani, mieszając ustaloną sprawę z polityką („Nowego Napoleona wsadzili do prochowni!... do fortecy” — aluzja do uwięzienia Ludwika Napoleona po nieudanym zamachu), aż ciotka wyrzuca obu za drzwi, a Raczka odprowadza do ratusza policjant. Tak burleskowo zaczyna się kupiecka droga Rzeckiego.

Sklep Mincla wspomina jako miejsce dziecięcych zachwyków — w oknie skaczący kozak, we drzwiach bęben, pałasz i „skórzany koń z prawdziwym ogonem”, a wewnątrz mroczna „duża piwnica” pełna szuflad, beczek, pęcherzy z gorczycą i wiszącego pod sklepieniem wypchanego krokodylka. Właściciel, **Jan Mincel** — rumiany starzec w niebieskim barchanowym kaftanie, fartuchu i szlafmycy — siedział pod oknem nad księgą dochodów, czuwając nad całym handlem, dla uciechy przechodniów pociągał za sznurek kozaka, a nad głową trzymał „pęk dyscyplin, przeznaczonych głównie na sprzedaż”. Trzej chłopcy — Ignas i synowcy starego, **Franc i Jan Minclowie** — byli stałymi „kandydatami do kary cielesnej”. W emblematycznej, bolesnej scenie trzeciego dnia Ignas podniósł i zjadł upuszczone ziarnko rodzyńka — i natychmiast poczuł na plecach „coś, jakby mocne dotknięcie rozpalonego żelaza”: rozjuszony Mincel („A, szelma!”) przeciągnął go dyscypliną „od wierzchu głowy do podłogi”. Od tej pory chłopiec nie śmiał tknąć niczego, a „migdały, rodzyńki, nawet różki miały (...) smak pieprzu”. Rozdział zamyka subtelnie symboliczne spostrzeżenie dziecka, które patrzy już na świat z drugiej strony szyby: kozak „widziany z wnętrza sklepu wydaje się mniej zabawnym niż od ulicy”.

Dalej pamiętnik maluje barwny obraz sklepu Minclów i jego mieszkańców. Towary kolonialne wydawał zaspany rudy **Franc Mincel** (bity najczęściej — za fajkę, nocne wymykanie się i

niedbałe ważenie), galanterią zarządzał łagodny, niezgrabny **Jan Mincel** (karcony za wykradanie kolorowego papieru na listy do panien), a przy mydle pracował milczący, punktualny „jak automat” **August Katz**, jedzący w najciemniejszym kącie, „prawie wstydząc się, że doświadcza ludzkich potrzeb”. Osiem lat życia Ignacego upłynęło tu w niezmiennym rytmie, „jak kropla jesiennego deszczu” podobna do innych: poranne otwieranie sklepu, mrukliwe „Morgen!” starego Mincla, pociąganie za sznurek kozaka, narastający za szybą „potok uliczny” przechodniów i wozów, i napływ klientów wołających o pieprz „za trojaka”, funt kawy, pół funta mydła. Codziennym obrzędem była poranna kawa, którą zносиła w dzbanku chuda **babka** — matka pryncypała w ogromnym czepcu — witając wszystkich niezmiennym „Gut Morgen, meine Kinder! Der Kaffee ist schon fertig”, a każdy całował jej suchą rękę i otrzymywał kubek z trzema bułkami.

Stary Mincel okazał się przy tym troskliwym, choć surowym wychowawcą: w niedzielę dawał Ignacemu osobliwe lekcje towaroznawstwa, geografii i buchalterii prowadzone łamaną polszczyzną („Sag mir — was ist das? Das ist Schublade... Es ist Zimmt — to jest cynamon... Gdzie mieszka taki drzewo cynamon? W Indii... O, du Spitzbub!”), nieodmiennie podszyte groźbą dyscypliny. Z czasem między nimi zrodziło się prawdziwe przywiązanie — dyscypliny stały się „czymś, co należało do rodzinnych stosunków”, a gdy chłopiec stłukł kosztowny samowar, Mincel zamiast bić wyszeptał z wylęknionym, drżącym głosem „Co ty zrobiła, Ignac?...”, co zabolęło Ignacego bardziej niż wszelkie cięgi. Pryncypał miał też swoje dziwactwo doprowadzone do chorobliwości: kult **oszczędzania**. Pensję wypłacał pierwszego dnia miesiąca (Ignas brał 10 złotych), żądając, by każdy wylegitymował się z odłożonych groszy; nieoszczędzanie uważał za występki równy kradzieży i bez litości usuwał subiektów, którzy nic nie odłożyli, wskazując im drzwi jednym słowem: „fort! fort!”.

Jedyną „wadą” dobrego Mincla była nienawiść do Napoleona — na sam dźwięk nazwiska siniał, pluł i wrzeszczał „szelma! Spitzbub! rozbójnik!”. Przerażony Ignas chciał wręcz uciekać, dopóki nie odkrył, że młody Jan Mincel szepce ukradkiem do Katza coś przeciwnego: „Baje stary, baje! Napoleon był chwat, choćby za to samo, że wygnał hyclów Szwabów”. Tak ujawniły się w sklepie „dwa wielkie stronnictwa” — stary Mincel z matką, lubiący Niemców, oraz młodzi Minclowie z Katzem, którzy ich nienawidzili — a Ignas jako jedyny pozostawał neutralny (tłem są tu narodowe i polityczne napięcia epoki). Rok 1846, gdy nadeszły wieści o ucieczce Ludwika Napoleona z więzienia, okazał się przełomowy: Ignas został subiektem, a stary Mincel zakończył życie w sposób tragikomiczny. Handel podupadł — także dlatego, że pryncypał „za głośno wymyślał na Ludwika Napoleona” — aż ktoś wybił sklepową szybę, co paradoksalnie na tydzień zwabiło ciekawską klientelę. Gdy jednak wpadł drugi kamień, policjanci przyprowadzili jako sprawcę... samego pryncypała, przyłapanego z kamieniem przy własnej wybitej szybie. Choć sprawa się zatarła, stary stracił humor, zaczął chudnąć i wreszcie umarł na swoim fotelu, „oparty brodą na księdze handlowej, trzymając w ręce sznurek, którym poruszał kozaka” — śmierć symboliczna, niszcząca własny interes z politycznej obsesji.

Pamiętnik domyka genealogię firmy: po śmierci stryja synowcy prowadzili sklep wspólnie, około 1850 roku dzieląc się — Franc został na Podwalu z towarami kolonialnymi, a Jan z galanterią i mydłem przeniósł się na Krakowskie Przedmieście, do dzisiejszego lokalu. Jan ożenił się z „piękną **Małgorzatą Pfeifer**”, a ta, owdowiawszy, oddała rękę **Stasiowi Wokulskiemu** — który „tym sposobem odziedziczył interes prowadzony przez dwa pokolenia Minclów” (to wyjaśnia tożsamość „Minclowej”, z którą ożenił się Wokulski). Rzecki dorzuca gorzką refleksję o upadku dawnego etosu: niegdyś pryncypał był „ojcem i nauczycielem praktykantów”, a cała rodzina pracownikami, dziś zaś kupiec „bierze tylko dochody”, nie zna handlu i pilnuje, „aby jego dzieci nie zostały kupcami”. Wpis kończy nuta niepokoju o przyjaciela: Austria się zbroi (Andrassy zażądał sześćdziesięciu milionów guldenów), a skoro Staś pisze, że wojny nie będzie, „chyba być musi bardzo wtajemniczonym w politykę” i „siedzi w Bułgarii nie przez miłość do handlu” — „Ciekawym, co on zrobi!”.

## Rozdział IV — Powrót

---

Krótki rozdział otwiera nastrojowy, przejmujący obraz aury. Jest niedziela, „szkaradny dzień marcowy”, zbliża się południe, lecz ulice Warszawy stoją niemal puste — ludzie kryją się w bramach albo skuleni uciekają przed siekącym deszczem i śniegiem, dorożki nieruchomieją, a zmoczone konie wyglądają, „jakby pragnęły schować się pod dyszel i nakryć własnymi uszami”. Ta ponura sceneria zwiastuje powrót Wokulskiego do kraju.

Mimo brzydkiej pogody Rzecki jest w wiosennym humorze: interesa kwitną, lada dzień wróci Wokulski, więc stary subiekt zda wreszcie rachunki i za dwa miesiące — po dwudziestu pięciu latach pracy — wyjedzie na upragnione wakacje na wieś. Rozmarzony wydobywa gitarę i śpiewa przez nos romantyczną pieśń o wiośnie i „dwóch różach”, aż dźwięki budzą jednookiego Ira i ściągają pod zakratowane okno wielki cień. To **Wokulski** — w futrze upstrzonym śniegiem staje na progu z cichym „Jużes o mnie zapomniał, stary?”. Następuje serdeczne, wzruszone powitanie: zmieszany Rzecki śpiesznie chowa gitarę, Ir z radosnym skomleniem łąsi się do gościa, a stary subiekt klepie przyjaciela po „wypukłej piersi” i stwierdza, że wygląda „jak żołnierz albo marynarz, ale nigdy jak kupiec”. Częstoje go szynką i węgrzynem (sam ma „tylko jeden cały kieliszek”, więc gość pije szklanką), a ręce drżą mu ze wzruszenia.

Rozmowa schodzi na politykę i odsłania twarde, „darwinowski” światopogląd Wokulskiego. Zapewnia, że „będzie pokój”, a Austria zbroi się za sześćdziesiąt milionów, by zagarnąć Bośnię i Hercegowinę — „za to, że Turcja nie może jej tego zabronić”; Anglia też dostanie swoją kompensatę „na koszt Turcji”, bo „zawsze słabi ponoszą kosztą zatargów między silnymi”. Gdy oburzony Rzecki woła „A sprawiedliwość?”, Wokulski odpowiada chłodno: „Sprawiedliwym jest to, że silni mnożą się i rosną, a słabi giną. Inaczej świat stałby się domem inwalidów” — i dodaje gorzko: „Za dużo płakałem nad sobą, ażebym się miał rozczulać nad Turcją”. Następnie



ujawnia rozmiar swego sukcesu: wyjechał z trzydziestoma tysiącami rubli, a przywiózł **dwieście pięćdziesiąt tysięcy** (dużo w złocie), a po sprzedaży banknotów będzie miał „przeszło trzysta tysięcy”. Tłumaczy, że zarobił uczciwie, lecz ciężko — miał bogatego wspólnika, zadowalał się kilkakrotnie mniejszym zyskiem niż inni, a kapitał trzymał w ciągłym ruchu — i że towarzyszyło mu „szalone szczęście” gracza: „prawie co miesiąc stawiałem cały majątek, a co dzień życie”.

Naiwna uwaga Rzeckiego — „Narażać się dla majątku, gdy się ma spokojny kawałek chleba!” — wyzwala u Wokulskiego scenę-klucz: wybuch zranionej dumy, odsłaniający najgłębszą motywację bohatera. „Ten spokojny chleb — mówi, zaciskając pięści — dławił mnie i dusił przez lat sześć!”. Wylicza upokorzenia: ciągle wytykano mu „dwa pokolenia Minclów” i „anielską dobroć” starszej żony, mówiono, że „karmi się z fartucha żony”, że wszystko zawdzięcza pracy Minclów, a nie własnej energii — choć to on „podźwignął ten kramik” i zdwoił dochody. „Mincle i zawsze Mincle!” — woła z goryczą — a teraz „sam jeden przez pół roku zarobił dziesięć razy więcej aniżeli dwa pokolenia Minclów przez pół wieku”. Woli „obawiać się bankructwa i śmierci”, niż „wdziaczyć się do tych, którzy kupią u mnie parasol, albo padać do nóg” klientom. Rzecki kwituje to ciepło: „Zawsze ten sam!”, a Wokulski, ochłonawszy, łagodnie pyta, czy się nie gniewa.

Najważniejsze są jednak pytania pozornie mimochodem rzucane — pierwsza, zawołowana zapowiedź ukrytej, prawdziwej sprężyny wszystkich działań Wokulskiego. Niby od niechcenia, bawiąc się z psem, by ukryć emocje, dopytuje o **Łęckich**: czy kupują w sklepie (coraz częściej „na rachunek”), jak stoją finansowo (Rzecki: „skończony bankrut”, w tym roku „zlicytują mu kamienicę”), a wreszcie — z wyraźnym napięciem — czy **panna Łęcka** nie wyszła za mąż i czy nie wychodzi. Rzecki, nieświadom wagi pytań, odpowiada lekceważąco, że wątpi, „kto dziś ożeni się z panną mającą wielkie wymagania, a żadnego posagu? Zestarzeje się, choć ładna”. To pierwszy sygnał, że za wojenną wyprawą Wokulskiego i całą jego pogonią za majątkiem kryje się miłość do panny Izabeli. Rozrzuwniony (Rzecki przypisuje to winu) Wokulski wspomina dawne wieczory spędzone w tym pokoju, gdy przyjaciel go karmił i odstępował mu odzienie, po czym wygłasza poruszający monolog o samotności i tęsknocie: „najgorszą samotnością nie jest ta, która otacza człowieka, ale ta pustka w nim samym, kiedy z kraju nie wyniósł ani cieplejszego spojrzenia, ani serdecznego słówka, ani nawet iskry nadziei”. Wyznaje, że dręczyły go luki w wiadomościach z miasta (ginął „Kurier”), i że za widok grudniowych „żywych obrazów” w Warszawie „dałby dziesięć tysięcy rubli” (znów — bo występowała w nich Izabela). Kulminacją jest wspomnienie samotnej przeprawy przez Dunaj: płynąc nocą z cygańskim przewoźnikiem wśród brzegów łudzaco podobnych do ojczystych, przez chwilę miał złudzenie, że jest w kraju — aż gdy zapadła noc i brzegi znikły, został „sam na ogromnej smudze wody”, a jedynym łącznikiem z domem stały się gwiazdy, na które „może nikt nie patrzy, nikt o mnie nie pamięta, nikt!”. Wtedy poczuł „wewnętrzne rozdarcie” i pojął, „jak głęboką ma ranę w duszy”.

Wokulski opisuje dalej swoją „dziwną chorobę”: dopóki pracował — pisał listy, liczył, odbierał towary — miał względny spokój, lecz gdy tylko odrywał się od interesów, czuł ból, „jakby mi ziarno piasku wpadło do serca”, tępe ukłucie i bezprzedmiotowy niepokój, który byle drobiazg (kształt drzewa, kolor obłoku, przelot ptaka) rozdmuchiwał w „szaloną rozpacz”, aż uciekał od ludzi, by „wyć z bólu jak pies”. Na pytanie Rzeckiego, co to za szal, odpowiada: „Tęsknota” — niby za krajem, „za wszystkim”. Gdy przyjaciel dopytuje, czemu nie wracał, zbywa go niecierpliwie: „nie miałem po co wracać... Umrzeć tu czy tam, wszystko jedno”. Rzecki, odsuwając mu wino, okazuje tu nieoczekiwaną przenikliwość — scena-klucz dla tematu ukrytej miłości: „Ty nie jeździłeś tam wyłącznie dla zrobienia pieniędzy... Bo i na co trzysta tysięcy rubli tobie, któremu wystarczało tysiąc na rok?”, a ściszywszy głos dodaje: „pieniędzy tych nie przywiozłeś dla siebie”. Wokulski najpierw przyznaje („Kto wie, czyś nie zgadł”), zaraz jednak wymija sprawę śmiechem („nic nie wiesz, stary marzycielu”) i wznosi z Rzeckim toast „za pomyślność wielkich zamiarów” — „wielkich dla mnie, ale w rzeczywistości bardzo skromnych”. Wzruszony Rzecki prosi, by przyjaciel kiedyś był jego swatem, i wspomina własne nieudane konkury sprzed piętnastu lat.

Gdy przechodzą do sklepu, prawdziwy cel Wokulskiego ujawnia się w czułym, niemal wzruszającym geście. Zamiast księgi dochodów żąda **księgi dłużników** i wyszukuje w niej nazwisko **Łękich** (dług 140 rubli), zauważając z udaną obojętnością, że „panna Łęcka ma także otwarty kredyt” i „onegdaj wzięła portmonetkę”. Wypytuje drobiazgowo, którą z portmonetek panna Izabela oglądała i którą chciała kupić — a usłyszawszy odpowiedź, bierze właśnie ją dla siebie („ja ją wezmę, bo moja już na nic”), pragnąc posiąść przedmiot, którego ona dotykała. Dokupuje jeszcze parasol i krawat, płacąc gotówką, lecz własny, świeżo odnowiony sklep zupełnie go nie interesuje („Ach, co mnie to ob...”), czym szczerze dziwi Rzeckiego. Cały rozdział potwierdza, że za pozą trzeźwego kupca kryje się człowiek owładnięty namiętnością.

## Rozdział V — Demokratyzacja pana i marzenia panny z towarzystwa

---

Rozdział przenosi akcję do świata **Łękich**. Zubożały **pan Tomasz Łęcki** mieszka z córką **Izabelą** i ubogą kuzynką **panną Florentyną** już nie we własnej kamienicy, lecz w wynajętym, ośmiopokojowym, gustownym lokalu przy Alei Ujazdowskiej, obsługiwany przez wierną służbę (stary kamerdyner Mikołaj z żoną-kucharką i panna Anusia). Pan Tomasz to sześćdziesięciokilkuletni, krwisty, dumny arystokrata „z panów”, wywodzący ród od senatorów; ojciec jego miał miliony, on sam za młodu krocie, lecz majątek roztrwonił na „zdarzenia polityczne”, podróże i „wysokie stosunki” — bywał na dworach francuskim, wiedeńskim i włoskim, a Wiktor Emanuel, oczarowany urodą jego córki, chciał mu nadać tytuł hrabiego (po śmierci króla pan Tomasz nosił krepę). Od kilku lat, gdy zabrakło pieniędzy „na błyszczenie na

dworach", siedzi w Warszawie. Pogłoski o utracie majątku i posagu Izabeli spłoszyły epuzerów i znajomych; obrażony pan Tomasz sam zerwał z towarzystwem, a wreszcie — ku zgorszeniu sfer — wpisał się do Resursy Kupieckiej (odmawiając prezesury). Krążące potem plotki (że jednak majątek zataił, by wybrać córcę męża kochającego ją „dla niej samej”) na przemian to ściągały, to odstraszały wielbicieli, aż trzecia wieść — o licytacji kamienicy — wywołała w towarzystwie zamęt: kandydaci, niepewni, czy Łęcki to bankrut, czy chytry bogacz, składali pannie ostrożne hołdy, nie angażując się. Pan Tomasz tymczasem z niezmaconą, dumną miną spacerował po Alejach i grywał w wista.

Centralny jest portret **panny Izabeli** — „niepospolicie pięknej kobiety”: wzrost ponad średni, kształtna figura, popielatoblond włosy, prosty nosek, perłowe zęby, modelowe dłonie i stopy, a nade wszystko niezwykle oczy — to „ciemne i rozmarzone”, to „jasnoniebieskie i zimne jak lód”. Narrator podkreśla grę jej twarzy: mówiąc, zdawała się „przelać swoją duszę w słuchacza”, słuchając — „wypić duszę z opowiadającego”; jej oczy umiały „tulić, pieścić, płakać bez łez, palić i mrozić”, a gdy zwabiony wielbiciel „topniał z rozkoszy”, wykonywała nagły ruch zdradzający, że „schwycić jej niepodobna” — wymknie się, odepchnie albo „każe lokajowi wyprowadzić wielbiciela za drzwi”. Kluczowa jest charakterystyka jej oderwanej od rzeczywistości duszy: zapytana, czym jest świat, odpowiedziała, że to „zaczarowany ogród, napełniony czarodziejskimi zamkami”, a ona sama „boginią czy nimfą uwięzioną w formy cielesne”. Od kolebki żyła bowiem w świecie „nadnaturalnym” — w puchach, jedwabiach, na hebanach, pijąc z kryształów, jadając ze sreber i kosztownej porcelany — co od początku tłumaczy jej wyidealizowany, arystokratyczny stosunek do życia.

Narrator rozwija ten obraz w rozległą, ironiczną analizę jej świata i psychiki. Dla Izabeli nie istnieją pory roku (tylko „wiekuista wiosna”), pory dnia ani różnice geograficzne — w Paryżu, Wiedniu czy Londynie spotyka tych samych ludzi, te same sprzęty i potrawy; nie istnieje dla niej nawet siła ciężkości, bo krzesła jej podsuwają, ją samą „na schody wprowadzano, na góry wnoszono”. Dwukrotnie przeżyła groźną burzę (w Alpach i na Morzu Śródziemnym), lecz śmiała się, nie dopuszczając myśli o niebezpieczeństwie — natura urządziła dla niej „piękne widowisko”, jak teatralni maszyniści. Ten „zaczarowany świat” zaludniają książęta, hrabiowie i stara szlachta, matrony, biskupi „wizerunki Boga na ziemi” i dzieci-cherubiny do kinderbali, a od czasu do czasu wzbija się tam na „Olimp” zwykły śmiertelnik okryty reputacją (inżynier łączący oceany, kapitan ocalony miłością murzyńskiej księżniczki, podróżnik, który „kosztował ludzkiego mięsa”, malarze i „natchnieni poeci”). Cała ta ludność „obchodzi wieczne święto” — wizyty, magazyny, obiady, teatr, salony, kolacje — w satyrycznie odmalowanej, jałowej krzątaninie, po której rozjeżdża się, „ażeby w śnie rzeczywistym nabrać sił do snu życia”.

Obok istnieje „inny świat — zwyczajny”, któremu Izabela lubi przypatrywać się z okna karety: rolnicy, kwiaciarki, starzec tłukący kamienie, pogrzeb — z dystansu „malowniczy i sympatyczny”, „ładniejszy od obrazów rodzajowych, gdyż porusza się”. Wie, że w tym niższym

świecie — niczym owoce w oranżerii — „wyrastają rzeczy jej potrzebne”: stamtąd pochodzą jej służący, tam wyrabiają meble, porcelanę i suknie. Zwiedziwszy raz szwalnię, była „pewna”, że sprawia pracownikom „wielką przyjemność”. Ubogim każe dawać kilka złotych, raz oddała bransoletę nędznej matce z chorym dzieckiem, żebrzące dzieci całuje — wyobrażając sobie w każdym biedaku „utajonego Chrystusa”, który zachodzi jej drogę, by dać okazję do dobrego uczynku. Jej życzliwość podszyta jest jednak całkowitą klasową ślepotą: skoro ludzi skazano na pracę („w pocie czoła pracować będziesz”), widać „popelnili jakiś ciężki grzech”, a tacy aniołowie jak ona — „dla której największą pracą było dotknięcie elektrycznego dzwonka” — mogą tylko nad ich losem ubolewać.

Tylko raz niższy świat zrobił na niej „potężne wrażenie” — to scena-klucz dla jej świadomości społecznej. Zwiedzając we Francji fabrykę żelaza, ujrzała „otchłań” czarnych dymów i białych par, piece „jak wieże średniowiecznych zamków, dyszące płomieniami”, strumienie rozpalonego żelaza i półnagich robotników „jak spiżowe posągi, o ponurych wejrzeniach”, a pod stopami „dreszcz wylęknionej ziemi”. Zdało się jej, że „z wyżyn szczęśliwego Olimpu zstąpiła do beznadziejnej otchłani Wulkana, gdzie cyklopowie kują pioruny mogące zdruzgotać sam Olimp” — i po raz pierwszy w życiu boginię ogarnęła trwoga („To są straszni ludzie, papo”). Pan Tomasz potwierdził, że nawet kobietom oni mogliby zaszkodzić, i z troską myślał o „zbliżającym się końcu starego świata”. Odtąd, czytając „z religijną czcią” poezje dalekiego kuzyna **Zygmunta** (czytelna aluzja do Zygmunta Krasińskiego), Izabela odnajdywała w widoku fabryki „ilustrację do *Nie-Boskiej komedii*”: dolinę zasnutą dymami widziała jako obóz „zbuntowanych demokratów”, gotowych zburzyć jej piękny świat — i dopiero wtedy pojęła, jak gorąco kocha tę swoją „duchową ojczyznę”, arystokratyczny raj, który „miałby runąć”. Te rozmyślenia nadały jej twarzy nowy wyraz „łagodnego smutku” — uznano, że „zupełnie dojrzała”.

Rozdział zamyka kluczowa dla całej powieści analiza jej poglądów na małżeństwo. Izabela zrozumiała, że na wyżyny wielkiego świata wzbic się można jedynie na „dwóch skrzydłach: urodzenia i majątku”, przywiązanych do wybranych rodzin „jak kwiat i owoc do pomarańczowego drzewa”. Stąd, w jej przekonaniu, obowiązek „ogłędnego zawierania małżeństw” — wszystko zależy od „trafnego doboru nazwisk i majątków”, a miłość („nie ta szalona, o jakiej marzą poeci, ale prawdziwie chrześcijańska”) przychodzi dopiero po sakramencie i wystarcza, „aby żona umiała pięknie prezentować się w domu, a mąż z powagą asystować jej w świecie”. Z zasłyszanych od młodych mężatek domowych sekretów nabrała przy tym „wstrętu do małżeństwa i lekkiej wzdargi dla mężczyzn” — mąż jawi się jej jako „nieciekawe stworzenie” w szlafroku, ziewające i mówiące „Głupia jesteś!”, choć przed ślubem każdy był „gorącym wielbicielem”. Toteż mając osiemnaście lat „tyranizowała mężczyzn chłodem”: po pocałowaniu jej ręki przez Wiktora Emanuela kazała ojcu jeszcze tego dnia opuścić Rzym, bogatemu francuskiemu hrabiemu odmówiła, że „za cudzoziemca nie wyjdzie”, magnata podolskiego zbyła deklaracją, że odda rękę tylko temu, kogo pokocha, a oświadczyły

amerykańskiego milionera „zbyła wybuchem śmiechu”. Wytworzyło to wokół niej wieloletnią pustkę. Z czasem zdecydowała się wyjść za mąż, lecz pod warunkiem, by przyszły towarzysz łączył w sobie trzy rzeczy — by się jej podobał, miał piękne nazwisko i odpowiedni majątek; ponieważ jednak żaden z napotkanych mężczyzn nie spełniał wszystkich trzech, „znowu upłynęło kilka lat”.

Gdy rozeszły się wieści o złym stanie interesów ojca, z „całego legionu konkurentów” zostali pannie Izabeli tylko dwaj poważni — pewien baron i pewien marszałek, „bogaci, ale starzy” — budzący w niej „niepokonaną odrazę”. Czując usuwający się grunt, obniżyła skalę wymagań, lecz odkładała decyzję, aż obaj, nie doczekawszy się odpowiedzi, wyjechali, a ona została zupełnie sama. Powieść odsłania tu osobliwą tajemnicę jej serca: Izabela nigdy nie była zakochana, a jej jedyną „miłością idealną” stał się **marmurowy Apollo**. Ujrzawszy w galerii posąg Apollina, kupiła jego kopię i ustawiła w gabinecie, godzinami się weń wpatrując i okrywając pocałunkami — aż w jej marzeniach „głaz ożył”: nieśmiertelny bóg zstępował z piedestału, siadał na krawędzi łóżka, szeptał „tajemnice nieba i ziemi”, a w swym boskim obliczu kolejno ukazywał jej „upiększone rysy” wszystkich mężczyzn, którzy kiedykolwiek zrobili na niej wrażenie — odmłodzonego generała-bohatera, sławnego tenora, księcia krwi, dzielnego strażaka, wielkiego rysownika, weneckiego gondoliera, cyrkowego atletę. Każdego z nich nie mogła pokochać „dla tych czy innych powodów”, lecz każdy wracał w postaci bóstwa, nadając jej oczom wyraz „nadziemskiego zamyślenia”. I właśnie przed rokiem, w jednej z takich chwil, **zobaczył ją Wokulski** — „odtąd serce jego nie zaznało spokoju” (to moment narodzin jego miłości).

Podczas gdy pan Tomasz „dźwigał jarzmo stanowiska”, głosząc w Resursie Kupieckiej, że arystokracja powinna przodować mieszczaństwu (co czynił „co dzień od dziewiątej wieczór do północy” przy wiście), Izabela trawiła się w samotności. Nocami błądziła po ciemnym salonie, nawiedzana przez „widziadła” dawnych gości i wspomnienie swej minionej świetności — „gdzie ona się znalazła, tam obok niej wszystko bladło; inne kobiety były jej tłem, a mężczyźni niewolnikami” — a teraz został tylko „niewidzialny pająk smutku”. Z dawnego świata wierna pozostała jej jedynie **hrabina Karolowa**, która jednak przy odwiedzinach bezlitośnie wytyka jej „błędy nie do darowania” (zwłaszcza odrzucenie hrabiego Saint-Auguste) i naciska na małżeństwo z marszałkiem, przekonując, że „położenie pięknej kobiety, mającej starego męża, nie należy do najgorszych” i że można mieć „na dnie duszy jakiś ideał”. Izabela wzdryga się — marszałek jest „obrzydliwy” („jemu nie żony trzeba, ale niańki, która by mu ocierała usta”), baron zaś „farbuje się, różuje i ma jakieś plamy na rękach”. Kluczowy dla intrygi jest finał rozmowy: hrabina odsłania nadciągającą katastrofę finansową — kamienicę sprzedadzą po św. Janie za sześćdziesiąt tysięcy (choć kosztowała sto), a co gorsza, ojcowskie **weksle** na kilka tysięcy rubli ktoś „skupił” pod koniec marca; podejrzenie pada na nienawistną **Krzeszowską**. Oburzona Izabela deklaruje, że na ich pokrycie wystarczy sprzedać jej serwis i srebra — byle nie pozwolić zabrać mebli ani „sprzedawać siebie” — i postanawia poprosić o pomoc **panią**

**Meliton.** (Czytelnik domyśla się — choć bohaterki nie wiedzą — że tajemniczym nabywcą weksli jest zakochany Wokulski.) Rozmowa toczy się po polsku „gęsto ozdobionym francuszczyzną, co robiło go podobnym do ludzkiej twarzy okrytej wysypką”.

## Rozdział VI — W jaki sposób nowi ludzie ukazują się nad starymi horyzontami

---

Jest początek kwietnia, szara pora przejścia między zimą a wiosną; około piątej po południu panna Izabela siedzi w gabinecie i czyta najnowszą powieść Zoli *Une page d'amour* — czyta jednak bez uwagi, raz po raz spoglądając w okno i pogrążając się w sennych, rozproszonych myślach o szarości nieba i firankach podobnych do „sopli śniegu”. Dręczy ją „cichy niepokój”, nieokreślone oczekiwanie: czeka na zaproszenie do udziału w **wielkotygodniowej kweście** (prestizowej kościelnej zbiórce), które wciąż nie nadchodzi, choć czasu coraz mniej. Lektura Zoli — scena, w której pan Rambaud naprawia zepsutą lalkę małej Joasi, a zapłakanej Helenie opat Jouve radzi, by wyszła za mąż („te kobiety, które zdają się tak gorąco szukać Boga (...) idą do kościoła, ażeby tam wielbić mężczyznę”) — wzbudza w niej pokrewny, bezprzedmiotowy żal. Odrzuca książkę i wraca do haftowania pasa pod kościelny dzwonek (rozpoczętego przed dwoma miesiącami), wyszywając róże i krzyże w przekonaniu, że ktoś tak oddany Kościołowi „nie może być zapomnianym przy kweście”. Wkrótce jednak uwagę zaprzętą jej praktyczne troski o nowy kostium „na groby” i toaletę na Wielkanoc — wszystko musi być nowe, a czasu mało i nic jeszcze nie zamówione.

Przypomniawszy sobie, że serwis i srebra są już u jubilera i lada chwila zostaną sprzedane, Izabela czuje ściśnięcie serca, lecz pociesza ją myśl o kweście i nowej sukni. Bezradnie przegląda „Le Moniteur de la Mode” (obok leżących nietkniętych Szekspira i Dantego), aż w scenie pełnej delikatnej ironii sięga po oprawną w kość słoniową książkę do nabożeństwa i czyta francuski *Acte de resignation*: w miarę jak wymawia słowa o pokornym oczekiwaniu „Bożej pomocy”, szare niebo się przeciera, chmury pękają, ukazuje się błękit i światło napęla gabinet — co Izabela odbiera jako znak, że modły zostały wysłuchane i że „będzie miała najpiękniejszą toaletę i najlepszy kościół do kwesty” (mistycyzm zlany z próżnością).

Wchodzi cicha, czarno ubrana, nieśmiała kuzynka **Florentyna** z listem od hrabiny. Na prośbę Izabeli czyta go po francusku. **List hrabiny Karolowej (Joanny)** wnosi kluczowy zwrot: hrabina wie o sprzedaży sreber (obcy nabywca oferuje pięć tysięcy rubli) i — zaniepokojona po rozmowie z Krzeszowską, że pamiątki „nie przeszły w niewłaściwe ręce” — proponuje zamiast tego trzy tysiące rubli pożyczki pod ich zastaw, by „wygodniej było im u niej”; przestrzega, że Izabela cierpiałaby, gdyby rodzinne srebra „zdobiły stół jakiego bankiera albo należały do wyprawy jego córki”. W dopisku pada informacja o ogromnej wadze fabularnej: będąc w sklepie „sławnego Wokulskiego” i prosząc o drobny datek dla swojej ochronki, hrabina

spodziewała się kilkunastu rubli, a otrzymała **tysiąc** — z oświadczeniem kupca, że „na jej ręce nie śmiałyby złożyć mniejszej sumy” („kilku takich Wokulskich, a na starość zostałabym demokratką”). To pierwszy widoczny ruch w obmyślonej przez Wokulskiego strategii zjednywania sobie otoczenia Izabeli.

List rani dumę Izabeli („Co za upokorzenie!” — oferować trzy tysiące pod zastaw, gdy obcy dają pięć), lecz trzeźwa Florentyna tłumaczy, że właśnie ten cierpki ton dowodzi, iż Łęccy nie są zrujnowani — ciotka „umie oszczędzać nieszczęście” i byłaby czuła, gdyby groziła im prawdziwa ruina. Rozwija się tu ważna, intymna rozmowa odsłaniająca tajemnicę finansów domu. Izabela, zniżając głos, daje do zrozumienia, że wcale nie jest naiwną „panną na wydaniu”: wie, że Florentyna od miesiąca pożycza na utrzymanie domu od kamerdynera **Mikołaja** i co rano podkłada ojcu kilka rubli do pugilaesu. Florentyna przyznaje, że to prawda, lecz dodaje rzecz zagadkową: od dwóch tygodni pan Tomasz „miewa po kilkanaście rubli” — choć nigdy „nie zaciąga długów w mieście” (wierzyciele sami przychodzą do jego gabinetu). Skąd więc bierze pieniądze i kto wykupił jego weksle? Florentyna jest pewna tylko, że nie Krzeszowska — więc „albo ciotka Hortensja, albo... sam ojciec”, który lubi niepokoić rodzinę dla zabawy. (Dramatyczna ironia: czytelnik wie, że dobroczyńcą jest Wokulski.)

Po wyjściu Florentyny zjawia się **pan Tomasz** — z miłą pewnością siebie zerkając w lustro na swą „piękną twarz” i nienaganny strój. Na obawę córki, że srebra znajdują się „na bankierskim stole”, odpowiada dumnym, szlacheckim frazesem: „Srebra naszych przodków bywały już na stołach Tatarów, Kozaków, zbuntowanych chłopów (...). Kto walczy, naraża się na straty”; dziś „zmieniła się tylko broń: zamiast kosą albo jataganem walczą rublem”. Gdy zrozpaczona Izabela mówi „więc jesteście zwyciężeni!”, ojciec zaprzecza z emfazą: „My dopiero zaczniemy triumfować” — i tego właśnie, twierdzi, boi się jego siostra z „koterią”, drażniona „każdym objawem żywotności”. Wyjawia tu swój ambitny plan: zamiast prosić rodzinę o pomoc, „zbliżyć się do mieszczaństwa”, zyskał wśród niego powagę, a teraz znalazł wykonawcę swoich idei — „**niejakiego Wokulskiego, kupca, żelaznego człowieka**”, przy którego pomocy zamierza zorganizować mieszczaństwo, „stworzyć towarzystwo do handlu ze Wschodem” i „dźwignąć przemysł”, by wysunąć się na pierwszy plan (choćby przy wyborach do rady miejskiej).

Znacząca jest pierwsza, lekceważąca reakcja Izabeli na Wokulskiego. Podejrzewa w nim „aferzystę, awanturnika” i przypomina sobie z niesmakiem niedawne spotkanie: gdy we wtorek zapytała w sklepie o cenę wachlarza, właściciel „trzeba było widzieć, jak spojrzał na mnie!” — nie odpowiedział, tylko z gniewem w głosie przekazał pytanie subiektowi („panie Mraczewski, pani zapytuje o cenę wachlarza”). Kwituje go ze śmiechem jako „gbura” i „niemiłego człowieka”, nie domyślając się, że owa szorstkość i czerwieniejąca „ogromna ręka” to oznaki skrywanego wzruszenia zakochanego mężczyzny. Pan Tomasz broni współnika jako „szalonej energii, żelaznego człowieka” i zapowiada, że pozna go bliżej, bo zamierza urządzić w domu „parę zebrań”.

Przy obiedzie rozmowa o Wokulskim stopniowo zmienia jego obraz w oczach Izabeli. Choć ona kwituje go jako „pień z czerwonymi rękoma”, pan Tomasz porównuje go do Trostiego, pułkownika strzelców z Paryża, a Florentyna — do „posągu triumfującego gladiatora” z Florencji, o twarzy „surowej, nawet dzikiej, ale pięknej”. Na pytanie o czerwone ręce pada wyjaśnienie, że „odmroził je na Syberii”, gdzie „pokutował za uniesienia młodości” — Wokulski okazuje się więc nie tylko milionerem, ale i „bohaterem”, co skłania Izabelę do uznania, że ojciec „zrobił dobry wybór”. W trakcie obiadu nadchodzi drugi list hrabiny, odwołujący poprzedni: ciotka oznajmia, że serwis już jej „nic nie obchodzi”, a chodziło jej naprawdę o to, by Izabela kwestowała wyłącznie z nią. Grób w ich kościele ma być „cudowny” — „mój pocziwy Wokulski daje fontannę, sztuczne ptaszki śpiewające, pozytywkę (...) i mnóstwo dywanów” — a w dopisku hrabina obiecuje zamówić dla Izabeli wiosenny kostium. Rozpromieniona panna widzi w tym spełnienie wszystkich nadziei, a pan Tomasz triumfuje: „Wokulski jest nieporównany! Szturmem zdobył Joasię”.

Kulminacją sceny jest mimowolne wyjawienie przez ojca upokarzającej prawdy. Twierdząc, że Wokulski to człowiek wielkiej energii, lecz bez „daru kombinacji”, pan Tomasz dowodzi tego... grą w pikietę: „przegrałem osiem do dziesięciu rubli, a wygrałem około siedemdziesięciu”. Izabela nagle pojmuje, że Wokulski celowo przegrywa do jej ojca — że to zakamuflowany sposób dawania mu pieniędzy. Blednie, upuszcza widelec („A!... a!...”) i opuszcza stół pod pozorem migreny. Sama w ciemniejącym gabinecie przeżywa scenę-klucz wstydu i upokorzenia: mimo przeprosin ciotki, najpiękniejszego grobu i nowego kostiumu czuje się nieszczęśliwa, jakby ujrzała na swej nowej sukni „ogromną tłustą plamę”. Dręczy ją świadomość, że od miesiąca dom zadłuża się u lokaja, a od dziesięciu dni ojciec na drobne wydatki „wygrywa pieniądze w karty” — i to „od kupców”. Marzy, by paść ojcu do nóg i błagać, żeby nie grywał z tymi ludźmi, i postanawia, że po sprzedaży serwisu da mu paręset rubli, „ażeby je przegrał do tego pana Wokulskiego” — wynagradzając go hojniej, niż ona wynagrodzi Mikołaja.

Z rozmyślań wyłania się pytanie: „Wokulski?... Wokulski?... któż to jest?” — człowiek, który „nagle ukazał się jej od razu z kilku stron”. Izabela kojarzy wreszcie rozproszone wieści: kupiec, który dał parę tysięcy na dobroczynność, kupiec, który dorobił się majątku na wojnie bułgarskiej, i ów „pocziwy Wokulski” ciotki, przegrywający do jej ojca w karty — to jedna osoba. Przypomina sobie jego spojrzenia: jak w sklepie nie chciał z nią mówić, lecz cofnąwszy się za japońskie wazony przypatrywał się jej „posepnie”, i jak raz w cukierni patrzył na nią dokładnie tak samo, jak gromadka obdartych, głodnych dzieci patrzyła zza szyby na jej czekoladę i ciastka — „z ciekawością i łakomstwem głodnych zwierzątek”. Przebiega ją dreszcz; podejrzewa, że Wokulski to „aferzysta, może oszust”, któremu potrzebne jest głośnie nazwisko jej ojca „na szyld do swoich przedsiębiorstw”.



Rozdział zamyka sugestywna scena-klucz — sen-wizja, w której zlewają się wszystkie lęki i fascynacje Izabeli. Blask ulicznych latarni rysuje na suficie kształt krzyża na tle jasności przesłanianej obłokiem, a ona, usypiając, marzy, że jedzie powozem przez krajobraz w kształcie „olbrzymiego pierścienia” lasów i gór, w którego głębi turkoczą maszyny i czernieje „jezioro czarnych dymów i białych par” (powracający obraz fabryki). Powóz zdaje się jednocześnie zjeżdżać i stać w miejscu, co ją drażni; obok siedzi ojciec, obojętnie oglądając paznokcie. Z jeziora dymu wynurza się do połowy mężczyzna o krótko ostrzyżonych włosach, śniadej twarzy „jak Trostiego” lub gladiatora i „ogromnych czerwonych dłoniach”, w zasmolonej koszuli — w jednej ręce trzyma karty ułożone w wachlarz, w drugiej, wzniesionej nad głową, jedną kartę gotową rzucić na siedzenie powozu. Na pytanie, co robi, ojciec odpowiada: „Gra ze mną w pikietę”, a na trwożne „to straszny człowiek, papo!” — „Nawet tacy nie robią nic złego kobietom”. Mężczyzna wpatruje się w nią „szczególnym wzrokiem”, nie rzucając karty. Izabela usiłuje odgadnąć, co ta karta oznacza — pieniądze przegrane ojcu? datek na dobroczynność? tysiąc rubli dla ciotki? kwit na ubranie grobu? Żadne z tych nie budziłoby w niej niepokoju. Aż napęnia ją „wielka bojaźń”: może to wykupione weksle ojca — wówczas spłaci je najpierw, by „uwolnić się od podobnego wierzyciela”. Lecz człowiek w dymie wciąż patrzy jej w oczy i karty nie rzuca — „Więc może... Ach!...” — narasta nieuświadomione przeczucie, że stawką w tej grze może być ona sama.

Zerwawszy się z drzemki, Izabela postanawia jednak nie sprzedawać sreber obcemu i każe Florentynie napisać do ciotki, że przyjmuje pożyczkę trzech tysięcy. Lecz kuzynka wyjawia, że jest już za późno — przed kwadransiem pani Meliton doniosła, że serwis i srebra są sprzedane. Na nalegania Izabeli, po wahaniu i niezręcznym kłamstwie („jakiś kupiec z Rosji”), Florentyna zdradza prawdę: kupił je **Wokulski**. W tej chwili oczom Izabeli „obeschły łyzy, nabierając barwy stalowej” — z przestraszonej panny zmienia się w „wielką damę” przesłuchującą służbę i oskarża kuzynkę o „śmieszny spisek”. Przekonana o niewinności Florentyny, drażni dalej i formułuje swoje „jasnowidzenie”: „nic nie wiem, ale wszystko przeczuwam... Ten człowiek chce zbliżyć się do nas... do mnie chce się zbliżyć!” — poznała to (wstydzi się dodać) „po jego spojrzeniu”. Przypomina sobie, że od roku nie było teatru, koncertu ani odczytu, na którym by go nie spotkała, i dopiero teraz „ta bezmyślna figura” wydaje się jej straszna. W szyderczej tyradzie o mężczyznach („znam całą tę maskaradę... jacy oni śmieszni”) zapewnia, że nie zabraniałaby Wokulskiemu „zagustować” w niej — wie wszak, że podoba się „nawet służbie”.

Kluczowa jest jej interpretacja sytuacji jako oblężenia. Wśród rodzinnej ruiny, gdy nawet drobne pieniądze ojca pochodzą z kart, „przychodzi ten kupiec, nabywa nasze weksle, nasz serwis, opętuje mego ojca i ciotkę (...), ze wszystkich stron otacza mnie sieciami jak myśliwiec zwierzynę. To już nie smutny wielbiciel (...), to zdobywca!”. Widzi w Wokulskim człowieka „wyrafinowanej nikczemności”, który „zakrada się do łask ciotki, ręce i nogi oplątuje ojcu, a mnie chce porwać gwałtem”. Nie chcąc niepokoić ojca ani prosić o pomoc ciotki (która popiera Wokulskiego, by zmusić ją do małżeństwa z marszałkiem), postanawia tylko jedno: nie

pozwolić ojcu wejść do żadnej spółki, „choćbym miała zabronić mu tego w imieniu zmarłej matki”. O „tych ludziach” mówi z mieszaniną grozy i podziwu — „w ich rękach stalowe szyny zwijają się jak wstążki (...), umieją łamać, usidlać, płaszczyć się, wszystko ryzykować, nawet cierpliwie czekać” — przeczuwając, że „ten człowiek po to jeździł na wojnę, ażeby ją zdobyć”. Rzuca mu wyzwanie: „Chce mnie kupić? (...) przekona się, że jestem bardzo droga”, a „złapać w sieci” się nie da — wymknie mu się „choćby w objęcia marszałka”. Myśl o upadku „z salonów Kwirynału do sklepu” — „to już nawet nie upadek, to hańba” — doprowadza ją do szloch.

## Rozdział VII — Gołąb wychodzi na spotkanie węża

---

Serwis i srebra są już sprzedane, a pieniądze (po potrąceniu „składowego”) wręczone panu Tomaszowi. Hrabina Karolowa, wzruszona „energią i poświęceniem” siostrzenicy, otacza ją teraz nową czułością — wymusza przyjęcie kostiumu, odwiedza ją codziennie i (w dowód „niesłychanej laski”) oddaje jej na całą Wielką Środę swój powóz, prosząc tylko, by Izabela „wyglądała ślicznie” podczas kwesty. W Wielką Środę o jedenastej rano Izabela siada w otwartym powozie z nieodłączną Florentyną i — ku zdziwieniu kuzynki — każe jechać „do sklepu Wokulskiego”, rzekomo po paryskie rękawiczki i perfumy, choć „to samo dostałyby gdzie indziej”.

Powieść wyjaśnia ten kaprys słynną sceną-kłuczem psychologicznym — anegdotą o tygrysie. Przed laty za granicą, w ogrodzie aklimatyzacyjnym, Izabela ujrzała wielkiego śpiącego tygrysa z uchem wysuniętym poza kratę i poczuła „nieprzepartą chęć pochwycenia tygrysa za ucho”: zapach klatki budził w niej wstręt, potężne łapy — trwogę, a mimo to czuła, że musi zwierzę dotknąć. Walczyła z tym pragnieniem, odchodziła i wracała, aż wreszcie „drżąca i blada — dotknęła tygrysięgo ucha”, odczuwając potem wstyd, lecz i „gorzkie zadowolenie” płynące z posłuchania instynktu. Podobny popęd budzi w niej teraz Wokulski: gardzi nim i mdleje na myśl, że mógł zapłacić za srebra więcej, niż były warte, a przecież czuje „nieprzeparty pociąg” — wejść do sklepu, spojrzeć mu w oczy i zapłacić za drobiazgi „tymi właśnie pieniędzmi, które pochodziły od niego”.

Na Krakowskim Przedmieściu dostrzega szyld „J. Mincel i S. Wokulski”, a o dom bliżej — **nowy, jeszcze niewykończony sklep o pięciu lustrzanych oknach**, przy którym robotnicy złocą drzwi i montują mosiężne bariery. Na wieść, że to zapewne „obszerniejszy lokal Wokulskiego”, przemyka jej gorzka myśl: „Dla mnie ten sklep!”. Gdy lokaj otwiera drzwi, Izabela słabnie tak, że nogi się pod nią chwieją i chce uciec, lecz opanowuje się i wchodzi „z podniesioną głową”. W sklepie wita ją niskimi ukłonami Rzecki, w głębi Lisiecki prezentuje damie brązowe kandelabry, Klejn dobiera laski młodzieńcowi (który na jej widok śpiesznie zakłada binokle), a wyperfumowany Mraczewski „palił wzrokiem i sztyletował wąsikami” dwie rumiane panienki — lecz Wokulskiego jeszcze nie widać.

W rzeczywistości siedzi on tuż przy drzwiach, schylony nad rachunkami. Gdy Izabela prosi o obsłużenie przez **Mraczewskiego**, rozgrywa się scena demonstracyjnego flirtu: panna z uśmiechem koryguje subiekta co do numeru swoich rękawiczek („pięć i trzy czwarte... już pan zapomniał!”), a zarumieniony, „pachnący jak kadzielnica” Mraczewski prawi jej dworne komplementy. Tymczasem Wokulski, udając, że liczy („29 a 36 to 65...”), spod oka obserwuje, jak Izabela odpowiada subiektowi „uśmiechem i spojrzeniami łagodnej zachęty” — aż pióro pryska mu w palcach. W jego myślach rodzi się gorzka, pozorna „kuracja z miłości”: „I ja mam niby to ją kochać?... Głupstwo! Przez rok cierpiałem na jakąś chorobę mózgową (...). Jak ona patrzy na tego osła... osoba, która kokietuje nawet subiektów, a czy tego samego nie robi z furmanami i lokajami! Pierwszy raz czuję spokój”. Widok jej zalotności wobec lokajskiego eleganta zdaje się go uzdrawiać z namiętności.

Lecz kluczowy jest dopiero bezpośredni dialog. Izabela — bardzo blada, „jakby ten człowiek wywierał na nią wpływ magnetyczny” — każe Florentynie zapłacić („zapłać temu panu”), po czym sama podchodzi do kantorka i wypytuje Wokulskiego o serwis. On odpowiada z chłodną, kupiecką rzeczowością: tak, kupił srebra, sprzeda je za granicą, „bo tam dadzą wyższą cenę”, kupił „dlatego, ażeby zyskać”. Gdy panna ironicznie sugeruje, że ukrywa rzecz przed jej ojcem, odpowiada z godnością, że nabył je od jubilera, sekretu nie robi, lecz „osób trzecich do sprawy nie miesza, ponieważ to nie jest w zwyczajach handlowych”. Ta uczciwa szorstkość nieoczekiwanie rozbija nienawiść Izabeli — jej oczy „tracą połysk nienawiści”. Na pytanie, za ile odstąpiłby srebra, gdyby ojciec chciał je odkupić, Wokulski odpowiada: „za jaką kupiłem”, z doliczeniem 6–8% rocznie — wyrzekając się spodziewanego zysku, bo „handel opiera się nie na zyskach spodziewanych, ale na ciągłym obrocie gotówki”. Izabela dziękuje „za wyjaśnienia” i wychodzi.

W powozie na wyrzut Florentyny („mówiłaś z tym człowiekiem?”) odpowiada znamienne: „On wszystko skłamał, ale...” — i to niedokończone „ale” zdradza, że godność Wokulskiego zachwiała jej pogardą. Wzburzona prosi, by Flora nic nie mówiła, „jeżeli nie chcesz, ażebym rozplakała się na ulicy”; na sugestię, że trzeba pomówić z ojcem lub ciotką, ucina, że to znaczyłoby „pomówić z marszałkiem albo z baronem”, na co „dziś nie ma jeszcze odwagi”. Po jej wyjściu Wokulski przeżywa równoległą scenę-klucz wewnętrznej iluzji spokoju: dziwi się, skąd po roku „gorączki i tęsknoty” nagła obojętność, i tłumaczy ją sobie jako wyleczenie z „częściowego obłąkania”. Z goryczą rozpamiętuje jej pańską pogardę dla „marnego kupca” („Zapłać temu panu!”) i klasową hipokryzję wielkiego świata, w którym „próżniak, szuler, nawet złodziej, byle miał nazwisko” jest dobrym towarzystwem, „ale kupiec — jest pariasem”. Przyznaje zarazem, że winien jej „dozgonną wdzięczność”, bo „gdyby nie szła dla niej, nie dorobiłby się majątku i spleśniałby za kantorkiem”; teraz jednak czuje pustkę, „jakby uciekła ze mnie dusza (...), a została tylko skóra i odzież”, i planuje wyjazd na wystawę do Paryża, a potem w Alpy.

Iluzja pryska, gdy Wokulski słyszy, jak subiekci plotkują o Izabeli: zrozumieli **Mraczewski** chęłpi się przed kolegami, że „Iza” do niego „łgnie”, że lada dzień dostanie „wonny bilecik” i schadzkę — przeciwstawiając codzienne „Matyldy” tej salonowej zdobyczy, która „będzie największym świętem”. Słuchając tych przechwałek o ukochanej, Wokulski siedzi bez ruchu, czując, „jakby mu na głowę i na piersi spadały ciężary” — a powtarzane „w rezultacie nic mnie to nie obchodzi” tym dobitniej zdradza nawrót cierpienia i zazdrości. Dusząc się, bierze kapelusz i wychodzi, odmawiając Rzeckiemu obejrzenia nowego sklepu („jestem zmęczony”). Subiekci komentują jego odmiennność: Lisiecki ostrzega, że „Żydzi (...) jak zwąchają jego projekta, dadzą mu łupnia”, Rzecki broni „moskiewskiego interesu” i wróży sojusz Wokulskiego ze szlachtą („tam są kapitały”), a socjalizujący Klejn z żalosną miną dorzuca: „Kto wie, co gorsze: Żyd czy szlachcic”.

## Rozdział VIII — Medytacje

---

Na ulicy Wokulski przystaje, nie czując, by go cokolwiek ku czemuś ciągnęło; na widok swojego nowego, wykończonego sklepu, przed którym gromadzą się już ludzie, odwraca się „ze wstrętem” i idzie w lewo. Rozważa, jak mało go teraz obchodzi to wszystko, co zbudował: kilkunastu ludzi, którym już daje pracę, kilkudziesięciu zatrudnionych od pierwszego maja, setki, dla których miał stworzyć nowe źródła zarobku, tysiące, którym jego tanie towary mogłyby poprawić „nędzny byt” — a mimo to czuje, że „ci wszyscy ludzie i ich rodziny nic go w tej chwili nie interesują”. Zniechęcony, postanawia: „Sklep odstąpię, nie zawiążę spółki i wyjadę za granicę” — co otwiera rozdział jego gorzkich medytacji o sensie własnego życia i pracy.

Błądząc po przedświątecznym mieście, Wokulski nosi w duszy „dziwną pustkę”, a na jej dnie „kroplę piekającej goryczy” — tak małą, „a tak gorzką, że cały świat można by nią zatruć”. Obserwując falujący tłum między pomnikami Kopernika a Zygmunta, snuje fatalistyczną refleksję: każdy człowiek, jak każdy ptak, sądzi, że „idzie tam, dokąd chce”, lecz „ktoś stojący na boku widzi, że wszystkich razem pcha naprzód jakiś fatalny prąd” — niczym smugę iskier z lokomotywy, które błyszczą przez mgnienie, „aby zgasnąć na całą wieczność, i to nazywa się życiem” (myśl podszyta cytowanymi z pamięci, eklezjastycznymi wersami o znikomości ludzkich pokoleń). Chcąc się czymś zająć, schodzi ulicą Karową ku Powiślu, by obejrzeć miejsce projektowanych przez siebie bulwarów nad Wisłą. Po drodze widok bosego tragarza, pijącego z radością wodę z wodotrysku, podsuwa mu gorzki paradoks własnego losu: „ten ma, czego pragnął. Ja, ledwie zbliżył się do źródła, widzę, że (...) wysychają moje pragnienia. Pomimo to mnie zazdroszczą, a nad nim każą się litować”.

Wędrówka po **Powiślu** rozwija się w przejmującą scenę-klucz pesymistycznej i społecznej diagnozy. Wokulski przygląda się nadrzecznej dzielnicy nędzy — „chory kąt, dziki kąt”,

„zasypany śmieciem z całego miasta”, pełen ruder zapadłych poniżej bruku, okien łątanych papierem, izb z połamanymi sprzętami — i bezrobotnych wyrobników, łaciarzy, przekupek z koszem zeschłych ciastek, brudnych dzieci i kobiet. Widzi w tym „miniaturę kraju, w którym wszystko dąży do spodlenia i wytępienia rasy”: „jedni giną z niedostatku, drudzy z rozpusty. Praca odejmuje sobie od ust, ażeby karmić niedołęgów; miłosierdzie hoduje (...) próżniaków”, a „jednostka z inicjatywą” nic nie poradzi, „bo wszystko sprzysięgło się, ażeby ją spętać i zużyć w pustej walce — o nic”. Ta pozytywistyczna obserwacja nędzy zapowiada przyszłą działalność dobroczynną i reformatorską bohatera.

Z medytacji wyłania się następnie pełna historia Wokulskiego, tłumacząca jego gorycz: jako dziecko łaknące wiedzy „oddano go do sklepu z restauracją”, jako subiekta wyśmiewano za nocną naukę, na uniwersytecie „prześladowano go porcjami, które niedawno podawał gościom”. Odetchnął dopiero na Syberii, gdzie zdobył uznanie i przyjaźń uczonych (Czerskiego, Czekanowskiego, Dybowskiego — zesłańców-badaczy), i wrócił „prawie uczonym” — lecz gdy szukał pracy naukowej, „zakrzyczano go i odesłano do handlu”, a potem zarzucano, że „się sprzedał” i żyje z pracy Minclów. Po śmierci żony, która zostawiła mu majątek, zbliżył się znów do książek i mógł zostać przyrodnikiem — gdyby pewnego razu w teatrze nie zobaczył **panny Izabeli**.

Retrospekcja tego momentu jest sercem rozdziału. Izabela siedziała w łoży w białej sukni, nie patrząc na scenę, lecz „gdzieś przed siebie” („może myślała o Apollinie?”). Wokulski poczuł, że już ją „kiedyś widział i dobrze zna”; wpatrzony w jej rozmarzone oczy, przypomniał sobie „niezmierny spokój syberyjskich pustyń”, a potem pojął, że nigdy jej nie widział, lecz „jakby na nią od dawna czekał” — „Tyżes to czy nie ty?”. Odtąd zaniedbał sklep i książki, szukając okazji, by ją widywać; nie nazwałby tego miłością — stała się dla niego „mistycznym punktem”, „ogniskiem, bez którego życie nie miałoby stylu, a nawet sensu”, a całe jego dotychczasowe życie wydało mu się szeregiem „etapów, którymi los prowadził go do zobaczenia panny Izabeli”. Czasem podejrzewał „omyłkę” — że to zwykła, „pospolita panna na wydaniu” — i nosił się z dziwnym zamiarem, by ją wprost zapytać: „czy ty jesteś tym, na co przez całe życie czekałem?”.

Postanowiwszy ją bliżej poznać, Wokulski sformułował trzy warunki, które tworzą zawiązek całej fabuły: trzeba „nie być kupcem albo być bardzo bogatym kupcem”, „być co najmniej szlachcicem” z arystokratycznymi stosunkami, a „nade wszystko mieć dużo pieniędzy”. Szlachectwo zdobył bez trudu (dyplom miał w grudniu), z majątkiem pomógł mu los: bogaty kupiec moskiewski **Suzin**, przyjaciel z Syberii, namówił go do udziału w wojennych dostawach („zrobisz okrągły milionik!”). Wokulski wahał się, niechętny opuszczeniu miasta, gdzie widywał Izabelę, lecz gdy w czerwcu wyjechała do ciotki, a Suzin naglił depeszami — zdecydował się i podjął z banku trzydzieści tysięcy rubli nietkniętej gotówki po żonie.

Rozdział zamyka wizyta u przyjaciela, **doktora Szumana** — Żyda, starego kawalera, „dziwaka” zajętego mikroskopowym „gatunkowaniem włosów” ras słowiańskiej, germańskiej i semickiej. W charakterystycznym, ironiczno-diagnostycznym dialogu Wokulski wypytuje go o swój stan: o uczucie, że „rozproszone wiadomości i uczucia złączyły się jakby w jeden organizm” (Szuman: to skojarzenie komórek mózgowych przy pracy umysłowej), o obojętność wobec śmierci połączoną z tęsknotą za życiem wiecznym (Szuman: „obojętność dla śmierci jest cechą umysłów dojrzałych, a pociąg do życia wiecznego — zapowiedzią nadchodzącej starości”) i wreszcie, czy można „kochać kobietę idealnie, nie pożądając jej” (Szuman: „naturalnie. Jest to jedna z masek, w którą lubi przebierać się instynkt utrwalenia gatunku”). Gdy Wokulski kpi z tej naukowej formuły, lekarz stawia trafną diagnozę: „Piąte [głupstwo] już zrobiłeś: zakochałeś się”. Na niedowierzające „Ja?... W moim wieku?” pada prorocza puenta: „Czterdzieści pięć lat — to epoka ostatniej miłości, najgorszej”.

Doradzając przyjacielowi małżeństwo jako „jedyne ratunek”, Szuman odsłania własną tragedię: nie ożenił się, bo „narzeczona umarła”, a on otrul się wówczas chloroformem — uratował go kolega, który „wysadził drzwi”, po czym przejął jego praktykę, ogłosiwszy go wariatem („najpodlejszy rodzaj miłosierdzia”); morał: „samobójcom nie należy przeszkadzać”. Wokulski całuje go na pożegnanie i oznajmia wyjazd do Bułgarii: „muszę zrobić duży majątek!... Albo... nie wrócę”. Szuman żegna go spokojnym „Sit tibi terra levis”, lecz zaraz, z charakterystyczną manią naukowca, woła za nim, by przywiózł mu próbki włosów — „bułgarskich, tureckich (...), od obu płci (...) w oddzielnych pakietach z notatkami”.

Wokulski budzi się z tych wspomnień — stoi na błotnistym Powiślu, między ulicą Radną a Wisłą. Tu rozgrywa się przejmująca scena-klucz dla jego budzącego się sumienia społecznego: spotkanie z **furmanem Wysockim**, dawnym przewoźnikiem towarów sklepu, który całuje go w rękę. Wysocki popadł w nędzę, odkąd na Nowy Rok padł mu koń; bezrobotny, mieszka w lepiance, żona pierze „takim, co nie bardzo mają czym płacić”, a jego brat-dróżnik przeniesiony spod Skierniewic również podupadł. Z prostą, wstrząsającą rezygnacją opowiada, jak w wielki post „człowiek krzepi się”, że pości za dusze zmarłe i na pamiątkę Chrystusa, lecz po świętach „nie będzie nawet sposobu dzieciom wytłumaczyć, na jaką intencję nie jedzą”. Wokulski natychmiast pomaga: daje dziesięć rubli na święta, obiecuje nazajutrz w sklepie kartkę na konia z Pragi i pracę przy transportach (trzy ruble dziennie), a przeczuwając więź losów, dopytuje o brata Wysockiego — **Kaspra**, dróżnika spod Częstochowy — i obiecuje: „Może Kaspra przeniosą do Skierniewic” (zapowiedź jego dyskretnej potęgi). Wzruszony do łez Wysocki, któremu wcześniej siostra miłosierdzia dała tylko kartkę na pud węgla i wymówkę, że „musi być ladaco”, nie może uwierzyć w tę bezinteresowną dobroć. Wokulski myśli: „Jak szczęśliwi ci, w których tylko głód wywołuje apatię (...). Nawet moim skromnym majątkiem mógłbym wydzwignąć parę tysięcy rodzin”.

Nad brzegiem Wisły natrafia na obraz o wielkiej wymowie — wielki **pagórek cuchnących śmieci** wznoszący się tuż obok zbiorników wody, „którą pila Warszawa”. Dostrzega w tym „ognisko wszelkiej zarazy” („co człowiek dziś wyrzuci, jutro wypije”) i formułuje swój pozytywistyczny projekt: „bulwar tutaj, kanały i woda źródłana na górze (...) — można by ocalić rokrocznie kilka tysięcy ludzi od śmierci”. Na śmietniku gnieźdzą się ludzkie wraki — pijacy, śmieciarki, „kochająca się para” złożona z trędowatej kobiety i beznosego suchotnika — „widma ukrytych chorób”, patrzące na obcego „z wyrazem zdziczałych psów”. Wokulski z ponurym humorem myśli, że w nocy „wyleczyliby go z melancholii”, i konstatuje gorzko, że sam bulwar takich nędzarzy nie wytepi — przeniosą się za Pragę i „nawet mnożyliby się”. Jedynym lekarstwem widzi „pracę obowiązkową — słusznie wynagradzaną”, która „bez krzyku wytepi złe”, a wzmocni „lepsze indywidua”.

Z tych rozmyślań wyrasta najważniejsza w rozdziale medytacja — przejmujący obraz **motyla i robaka**. Za wczesny żółty motyl, lecący ku miastu, podsuwa Wokulskiemu refleksję o dwóch „gatunkach”: motyle „w rodzaju ludzkim” mają „piękną barwę, latanie nad powierzchnią życia, karmienie się słodyczami”, podczas gdy robak ma „nurtować ziemię” i „przerabiać ją na grunt zdolny do siewu” — „oni bawią się, ty pracuj”. Stosuje to wprost do siebie i Izabeli: „jakiż łącznik może istnieć między mną i nią?... ona i ja to dwa różne gatunki istot, naprawdę jak motyl i robak”. Rozwija to w społeczną diagnozę: w Anglii społeczeństwo jest jeszcze „twórcze”, a wyższe warstwy „przyciągają do siebie nowe siły”, lecz „u nas wyższa warstwa zakrzepła jak woda na mrozie”, tworząc osobny gatunek, który „własną martwością krępuje wszelki ruch z dołu”. Dręczy go poczucie winy i klasowej zdrady: jego „swoi” to nędzarze ze śmietnika, a trzydzieści tysięcy rubli, które chce „wydawać rocznie na zabawę w motyla”, to „sześćdziesiąt drobnych warsztatów (...), z których żyją całe rodziny” — „głupi handlarzu, podły człowieku!”. Lecz zaraz znajduje usprawiedliwienie: „gdyby nie ona, czy miałbym dziś majątek? (...) może właśnie dopiero przy niej nabiorą [pieniądze] twórczych własności”. Widząc na ziemi własny cień, który „chodzi przed nim, za nim albo obok niego zawsze”, jak nieodstępna myśl o Izabeli, szepce z bezradnym gestem: „Nie mogę wyrzec się jej”.

Wracając do miasta ulicą Obozną, Wokulski czuje, że w ciągu tych nadrzecznych godzin „zaszła w nim jakaś zmiana”. Wspomnienie padłego konia Wysockiego ściska mu serce i przywołuje obraz innego konia ze sceny-klucza: kiedyś w marcu na Alei Jerozolimskiej widział wychudłą szkapę ze złamaną nogą, która „patrzyła wywróconym okiem” i „gryzła z bólu gałązkę okrytą szronem”, podczas gdy beztroski przechodzień kwitował to wesoło. Odtąd „przybył mu jakby nowy zmysł”: każdy obdarty człowiek jawi mu się jako „istota wołająca o ratunek (...), jak ów koń ze złamaną nogą”, każda uboga kobieta — jako praczka „o wyżartych od mydła rękach”, a każde mizerne dziecko — jako „skazane na śmierć przedwczesną” lub na życie w śmietniku. To przebudzenie wrażliwości społecznej staje się jednym z głównych rysów przemiany bohatera.

Nowy „zmysł” ogarnia nie tylko ludzi: Wokulski czuje teraz „zmęczenie koni” o karkach „tartych do krwi przez chomąto”, rozpacz wygłodniałej suki szukającej strawy dla szczeniąt, a nawet ból „drzew obdartych z kory”, wilgotnych ścian i połamanych sprzętów — każda rzecz zdaje się skarżyć: „Patrz, jak cierpię”. Uświadamia sobie kontrast: dotąd uchodził za „hojnego filantropa” (członkowie Towarzystwa Dobroczynności dziękowali mu, hrabina chwaliła jego datek na ochronkę), lecz rzucał tysiące rubli „ażeby kupić (...) rozgłos”, nie pytając, co się z nimi stanie. Dopiero dziś, gdy dziesięcioma rublami wydobył człowieka z niedoli, „kiedy nikt nie mógł głosić (...) o jego szlachetności”, poznał, „co to jest ofiara”. Rozumie, że to wielki ból osobisty „zaorał mu duszę”, na której wyrosło „współczucie powszechne”. Pojawia się jednak moralne rozdarcie między dwiema drogami: jedną jest „ocean cierpień powszechnych”, które należałoby zmniejszać, drugą — „cel realny i jasno określony — panna Izabela”. Wokulski rozstrzyga je kompromisem: „Nie jestem Chrystusem, ażeby poświęcać się za całą ludzkość (...). Zrobię, co się da (...), lecz osobistego szczęścia nie wyrzeknę się”.

Po powrocie do sklepu rozgrywa się scena wprowadzająca ważną dla fabuły parę — **Krzeszowskich**. Najpierw Rzecki referuje sprawy handlowe (transport z Paryża, moskiewskie obstalunki za dziesięć tysięcy), a Wokulski, znużony, rzuca, że „trzeba raz zerwać z tym kramarstwem” — co Lisiecki kwituje antysemicką uwagą o „zrywaniu z Żydami”. Uwagę przyciąga klientka: wysoka, czarno ubrana dama o twarzy „białej i razem żółtej”, pełnej smutku i tłumionej złości, targująca się „jak stu skąpców”. Wkrótce wchodzi roztargniony, ekscentryczny jegomość (Lisiecki: „podobny do suchotnika, któremu w trumnie zaczęły odrastać wąsy”), który na widok damy upuszcza binokle — to **baron Krzeszowski** i jego żona, **baronowa Krzeszowska**, prowadzący wojnę małżeńską na oczach sklepu. Baron demonstracyjnie zamawia sportowe drobiazgi (spinki „w kształcie czapki dżokejskiej”, kałamarz „z siodłem i dżokejką”), podczas gdy baronowa głośno wytyka: „na co podkowy ludziom, którzy nie mają za co utrzymywać koni?... czy nie wstyd kupować konie wyścigowe, kiedy kraj jest zrujnowany?”. Baronowa podchodzi do Wokulskiego, by wypytać o długi męża, wyjaśniając, że toczy z nim proces o zagarnięty majątek, lecz kupiec dyskretnie odmawia mieszania się „w stosunki między małżonkami”. Po jej wyjściu baron wraca, dopytując, „co mówiła dama”, i tłumacząc jej rozdrażnienie „śmiercią naszej córki”.

Z plotki Mraczewskiego poznajemy tło, splatające ten wątek z losem Łeckich: skłóceni Krzeszowscy od roku „prowadzą ze sobą wojnę” — on chce rozwodu i koni (zwłaszcza wyścigowca), ona chce odebrać mu zarząd swym majątkiem i kupić **kamienicę po Łeckich**, w której mieszka i „gdzie straciła córkę”. Mraczewski zdradza przy tym, że jest kuzynem Krzeszowskich i — co najważniejsze — wcześniej chęłił się, że dostanie „bilet miłosny od panny Izabeli”. Słuchając tego, Wokulski czuje narastający „gniew bezimienny” i myśli z pogardą: „Kuzyn Krzeszowskich... dostanie bilet miłosny od panny Izabeli... A, infamis!”. Gdy później Mraczewski arogancko napada na socjalizm i drwi z czytającego „broszurki” Klejna („wszyscy socjaliści są złodzieje”), Wokulski — pod pozorem niedopasowania, lecz w istocie z



zazdrości — chłodno go zwalnia: „Od jutra niech pan postara się o inne miejsce”. Mimo osłupienia subiekta zachowuje się hojnie (dobre świadectwo, pensja za kwartał z naddatkiem), polecając Rzeckiemu „zrobić rachunek do pierwszego października”. Scena ujawnia zarazem władczą stanowczość Wokulskiego, jak i to, jak głęboko miłość do Izabeli kieruje już jego postępowaniem.

Dymisja Mraczewskiego robi wśród subiektów wielkie wrażenie. Nazajutrz (Wielki Czwartek) wstawiają się za nim kolejno baron i baronowa Krzeszowscy — oboje jednak, zmieszani chłodną godnością Wokulskiego, wycofują się z niczym. Także Rzecki próbuje łagodzić („nie można aż tak karać człowieka za inne przekonania polityczne”), lecz lodowate „Polityczne?...” Wokulskiego, a potem ironiczne „Piękny? Więc niech pójdzie na utrzymanie, jeżeli taki piękny” ucinają sprawę. Na miejsce zwolnionego przychodzi nowy subiekt — **pan Zięba**, równie przystojny, lecz poważniejszy, a przy tym komiczny oportunistą-kameleon: jeszcze przed zamknięciem sklepu Rzecki widzi w nim „zagorzałego bonapartystę”, Lisiecki — gorszego od siebie antysemitę, a Klejn — „biskupa socjalizmu”; każdy zadowolony, „a pan Zięba spokojny”.

## Rozdział IX — Kładki, na których spotykają się ludzie różnych światów

---

Rozdział otwiera komiczna, lecz odsłaniająca rozdarcie bohatera scena wahań przed kwestą. Wiedząc, że hrabina i Izabela będą kwestować przy grobach, Wokulski raz po raz odlicza złote pólimperiały i raz po raz się rozmyśla — najpierw pięć, potem dziesięć, wreszcie postanawia „nie należeć do tej jarmarcznej dobroczynności” i w Wielki Piątek nie idzie. Lecz w Wielką Sobotę uświadamia sobie: „Oszalałem! Jeżeli nie pójdę do kościoła, gdzie ją spotkam? Jeżeli nie pieniędzmi, czym zwrócę na siebie jej uwagę?” — i bierze dwadzieścia pięć pólimperiałów, choć wstydzi się tego „dorobkiewiczowskiego” gestu „rzucania stosu złota w papierowych czasach”.

Zanim wejdzie do kościoła, Wokulski snuje rozległą medytację metafizyczną — scenę-klucz dla jego duchowych tęsknot. Patrząc na ogromny gmach, „który zamiast kominów ma wieże”, rozważa, że jak niegdyś potężne siły dźwigały łańcuchy gór, tak kiedyś w ludzkości istniała „niezmierna siła”, która wznosiła takie budowle, „wydzierając się” ku „innemu, wyższemu światu”; skoro przypływy mórz dowodzą realności księżyca, czemu te świątynie nie miałyby dowodzić „rzeczywistości innego świata?”. Wewnątrz, wśród mroku, żebraków i leżących krzyżem pobożnych, pojmując, „dlaczego odwiedzanie kościołów umacnia wiarę: tu wszystko (...) przypomina wieczność”. Od cieni modlących się wzrok jego biegnie ku oświetlonym stołom kwesty, otoczonym wytwornymi damami bawiącymi się „jak na raucie” — i rodzi się w nim wizja **trzech światów**: pierwszego (dawno zeszłego z ziemi), który modlił się i wznosił wielkie gmachy; drugiego, „ubogiego i pokornego”, który modlił się, lecz budował „tylko lepianki”; i

trzeciego, który „dla siebie murował pałace”, lecz „zapomniał o modlitwie i z domów bożych zrobił miejsce schadzek”. Pyta sam siebie: „A czymże ja jestem, zarówno obcy im wszystkim?”, a wewnętrzny głos odpowiada zagadkowo: „Może jesteś okiem żelaznego przetaka, w który rzucę ich wszystkich, aby oddzielić stęchłe plewy od ziarna”.

Kulminacją rozdziału jest pierwsza dłuższa rozmowa Wokulskiego z Izabelą w towarzystwie — przy stole kwesty hrabiny Karolowej. Złożywszy na tacy swój rulon imperiałów (i czując, „jak głupio musi wyglądać z tymi pieniędzmi”), Wokulski zostaje upokorzony przez Izabelę, która — sądząc, że kupiec nie rozumie po angielsku — głośno komentuje go w tym języku: „Mówiłam cioci, że przyjdzie, i to z workiem złota”, „On z pewnością nie rozumie”, „Domyślałam się tego”. Przerażona hrabina poci się ze strachu, a Wokulski, który **rozumie angielski**, rumieni się, lecz odpowiada z godnością, ironicznie pomniejszając swoje datki („postępki, które (...) mogłem spełniać w widokach zysku”). Wywiązuje się też ostra wymiana w sprawie Mraczewskiego: gdy Izabela broni „nietaktownych osób” odwiedzających sklep, Wokulski chłodno stawia ją na miejscu — „Im wolno, one za to płacą (...). Nam nie” — na co panna oblewa się rumieńcem i chowa za książką do nabożeństwa. Mimo doznanej wzgardy, by przypodobać się hrabinie i Izabeli, Wokulski wspaniałomyślnie obiecuje dać Mraczewskiemu posadę „ale w Moskwie”, z podwyżką „o trzysta rubli”, po czym przesiada się bliżej panny Izabeli.

Izabela, dziwnie nań patrząc, pyta, czy „nigdy nie cofa swoich postanowień”, i niespodziewanie wstawia się za Mraczewskim — co Wokulski, zmieszany, przyjmuje („jeżeli jednak pani każe...”). Hrabina serdecznie zaprasza go nazajutrz na święcone (gdzie „spotka wielu znajomych”, w tym panów z Towarzystwa Dobroczyńności), budząc w nim taką wdzięczność, że „na jej ochronę oddałby połowę majątku”. Po jego odejściu Izabela ostrzega ciotkę: „Cioteczka kokietuje tego pana... to zaczyna być podejrzane”, lecz hrabina broni znajomości jako „użytecznej” i zgodnej z „dobrym tonem”.

Wokulski jednak nie opuszcza kościoła — ukrywa się w pustym **konfesjonale** naprzeciw stolika hrabiny i niewidzialny obserwuje Izabelę, na której twarzy maluje się „zmęczenie i nudy”. Stąd rodzi się jego gorzka, demaskatorska refleksja o całej tej „jarmarcznej” pobożności: panna kwestuje „nie przez pobożność ani przez miłość do dzieci, ale dla rozgłosu i (...) wyjścia za mąż”, a on sam „niemało robi dla reklamy i ożenienia się” — „świat ładnie urządzony!”. Postanawia przy tym usunąć dwie przeszkody, które tego dnia obnażyły jego upośledzenie: nauczyć się **angielskiego** (by wiedzieć, „co o mnie myśli”) i sprawić sobie **powóz** (by móc odwozić Izabelę i „zawiązać między nami jeden węzeł”) — godząc się na te wydatki, „na cóż bowiem będę wydawał pieniądze, jeżeli nie na zapewnienie sobie szczęścia?”.

Centralna jest rozbudowana, liryczna medytacja o **Chrystusie** w mroku kościoła. Wśród dźwięków pozytywki i szmeru fontanny (darów samego Wokulskiego) zdaje mu się, że twarz białego Chrystusa ożywa: ciemnieje, gdy rozlega się „stukot pieniędzy i francuskie wykrzykniki”

bogaczy, lecz rozjaśnia się i „otwiera martwe usta”, powtarzając błogosławieństwa, gdy do krzyża zbliża się biedak. Gdy uróżowana dziewczyna (jawna prostytutka) nie śmie dotknąć krzyża, a klęczący patrzą na nią z niechęcią, Chrystus szepce „Kto z was jest bez grzechu, niech rzuci na nią kamieniem”, a ona pada i całuje jego nogi „jak niegdyś Maria Magdalena”. Wokulski ze wzruszeniem patrzy na tłum, który „od osiemnastu wieków oczekuje spełnienia się boskich obietnic” — „Kiedyż to będzie!” — podczas gdy przy stoliku hrabina drzemie, Izabela ziewa, a damy zaśmiewają się z wykwintnym młodzieńcem: „Inny świat!... Co za fatalność popycha mnie w tamtą stronę?”.

Tuż obok konfesjonału klęka inna postać — „niezwykle piękna” młoda kobieta z córeczką **Helusią**, z twarzą, jakby przyszła „nie z modlitwą, ale z zapytaniem i skargą” (rozczulająca scenka z rezolutnym dzieckiem). Wokulski myśli, że to zapewne nieszczęśliwa wdowa, i z żalem rozważa „brak ładu na świecie”: dwoje samotnych ludzi o krok od siebie, którzy mogliby dać sobie szczęście, lecz „nie zejda się” — „gdybym ją był spotkał rok temu” (to pierwsze, ulotne pojawienie się przyszłej pani Stawskiej). Tymczasem do Izabeli podchodzi elegancki młodzieniec, na którego widok ona „rozpromienia się”, a Wokulski z bólem i cynizmem obserwuje całą grupę, dochodząc do gorzkiego wniosku, że „panna na wydaniu musi mieć kilkunastu wielbicieli i wabić wszystkich, ażeby... sprzedać się najwięcej ofiarującemu” — tym bardziej że Izabela na pożegnanie obdarza każdego z asystujących jej młodzieńców „zupełnie tymi samymi spojrzeniami”, które jemu „zachwiały rozum”.

Rozdział zamyka scena-klucz dla pozytywistycznego, ewangelicznego rysu bohatera. Po wyjściu Łęckich Wokulski dostrzega, że płacząca prostytutka „już się sprzedaje z nędzy”, i z okrutnym bólem stawia moralną paralelę: z dwóch kobiet — Izabeli, która „chce się sprzedać za majątek”, i tej, „okrytej hańbą” — „ta druga (...), wobec jakiegoś wyższego trybunału może byłaby lepszą i czystsza”. Postanawia ją ocalić: zaczepia ją na ulicy i przyprowadza do pokoju Rzeckiego. Dziewczyna, biorąc jego intencje za zwyczajne, sądzi, że przysłał go „ten stary pan”, który obiecywał ją „wziąć”, lecz Wokulski wypytuje ją o przyczynę płaczu w kościele — a usłyszawszy „tak cyniczną historię” sporu z gospodynią, błędnie. (Z tego spotkania wyrośnie jeden z jego dobroczynnych, „naprawczych” czynów.) Sam kwituje swój odruch z autoironią: „Trzeba być kompletnym błaznem (...). Apostolstwo?... Szczyt głupoty (...); jestem tylko wykonawcą cudzej woli”.

Dziewczyna opowiada cyniczną, wstrząsającą historię swego losu — uciemiężenia przez „starą” (rajfurkę), zmyślonego długu „z pięćdziesiąt rubli” („za wszystko płacę podwójnie”), niewoli, z której „po świętach sprowadzą ją i zapłacą”. Ma naprawdę dziewiętnaście lat (udaje szesnaście), nie wierzy w wyjście na uczciwą pracę („z ośmiu rubli na miesiąc nikt nie wyżyje”). Wokulski stawia jej twardy warunek: nie do żadnego „pana”, lecz do **magdalenek** (zakonu opiekującego się upadłymi kobietami) — dług i poręczenie weźmie na siebie. Daje jej list i odsyła ją tam, choć dziewczyna odchodzi z niedowierzaniem i wzruszeniem ramion. Gdy Rzecki

kwaśno pyta o tę „znajomość”, Wokulski wygłasza pesymistyczną, lecz pozytywistyczną diagnozę: tępienie takich istot „do niczego nie doprowadzi, bo ciągle się odradzają”, więc „społeczeństwo musi się przebudować od fundamentów do szczytu. Albo zgnije”. Zetknięcie z realnym dnem nędzy budzi w nim jednak odruch odrazy, który — paradoksalnie — wynosi Izabelę „otoczoną jaśniejszym niż kiedykolwiek blaskiem”: wstydzi się, że mógł ją z „takim stworzeniem” zestawiać, i woli „wyrzucać pieniądze na powozy i konie aniżeli na tego rodzaju nieszczęścia”.

Kulminacją rozdziału jest **święcone u hrabiny Karolowej** — pełne wejście Wokulskiego w świat arystokracji. Już przed domem narrator daje satyryczny przegląd hierarchii ekipaży i służby (dumni woźnicy wielkich panów, krzykliwi bankierscy, rezolutni dorożkarze, wzgardzeni furmani najętych powozów). Wewnątrz Wokulski czuje się „dorobkiewiczem”, który „musi opłacać się każdemu na każdym kroku” (pięć rubli dla lokaja Józefa), a osamotniony na marmurowych schodach wśród obcych „form wykwintnych” doznaje napadu buntowniczego gniewu: przeczuwa, że między nim a „tym czcigodnym światem” musi się stoczyć „walka, w której albo ten świat runie, albo — on zginie” — lecz wewnętrzny głos podpowiada, że zostawi po sobie nie zemstę, lecz „przebaczenie i litość” („jesteś aż tak szlachetny”). Wita go pan Tomasz Łęcki z „majestatycznością”; gdy oznajmia „miły wypadek w rodzinie”, Wokulski błędnie z lęku, że to zaręczyny Izabeli — chodzi jednak tylko o pogodzenie się pana Tomasza z siostrą, hrabiną. Wokulski zbywa pańskie maniery z chłodną godnością („w moim namiocie pod Plewną bywali więksi panowie”), na co pan Tomasz reaguje uniżonym ukłonem („Oto fagas!” — myśli kupiec).

Pojawienie się Wokulskiego wzbudza w salonach sensację i dzieli arystokrację. Jedni hrabiowie patrzą z pogardą na „kupca galanteryjnego” dorobionego na wojnie, lecz **jenerał** stwierdza: „on taki kupiec jak ja i pan”, a zwłaszcza sędziwy **książę** — patriotyczny idealista — gorąco go broni: dostawy Wokulskiego były „uczciwe” (żołnierze poznawali dobry chleb „z mąki od Wokulskiego”), a jego rzetelność zwróciła uwagę „osób najwyższej położonych” — w styczniu odrzucił dwieście tysięcy rubli „tylko za firmę”. Gdy cyniczny hrabia kwituje to wzruszeniem ramion („miałby więcej o dwakroć sto tysięcy”), książę ripostuje: „miałby, ale nie byłby dziś tutaj”. Hrabina przedstawia Wokulskiego najlepszej przyjaciółce — sędziwej **prezesowej Zasławskiej**, bezdzietnej damie „z paroma ładnymi wnuczkami”. W trzecim salonie Wokulski widzi Izabelę w białoniebieskiej sukni i wielkich perłach, „tak piękną i majestatyczną”, że „skamieniał” („Nawet marzyć o niej nie mogę!”), a w oknie dostrzega znów rywala — młodzieńca z grobów, nieodrywającego od niej oczu („Naturalnie, że ją kocha! Jestem zgubiony”).

Rozdział wprowadza wreszcie kluczowy wątek ekonomiczny — rozmowę z **księciem** o spółce. Książę ostrzega, że projekty Wokulskiego wywołały „popłoch między bawełnianymi fabrykantami”, którzy oskarżają go o chęć „zabicia naszego przemysłu”. Wokulski wyjawia, że

ma u moskiewskich fabrykantów kredyt „do trzech, nawet czterech milionów rubli”, lecz traktuje rzecz czysto handlowo: jego towar „będzie tańszy”, a on „ma obowiązek dbać tylko o własny zysk i o taniość dla nabywców”. Gdy książę apeluje do niego „jako obywatela” („my już tak niewiele mamy do stracenia”), Wokulski odpowiada w duchu pozytywistycznym, że „dość po obywatelsku” jest „dostarczyć konsumentom tańszego towaru i złamać monopol fabrykantów”, którzy „wyzyskują naszych konsumentów i robotników”.

Książę przedstawia Wokulskiego Izabeli jako „dzielnego obywatela”, lecz w jej oczach kupiec dostrzega „takie przerażenie, taki smutek”, że ogarnia go rozpacz („Po com ja tu wchodził?”), tym bardziej że w oknie wciąż siedzi nieszczęśliwy rywal. Książę zachęca go, by „zbliżył się do ich sfery”, w której „są rozumy i szlachetne serca, ale brak inicjatywy”, i odrzuca jego „dorobkiewiczowskie” wymówki: „masz pan tytuł: pracę (...), uczciwość (...), zdolności (...), energię... Tych tytułów nam potrzeba do odrodzenia kraju (...), a przyjmiemy cię jak brata”.

Najważniejszym epizodem przyjęcia jest spotkanie z **prezesową Zasławską** — scena-klucz odsłaniająca głęboką paralelę dla losu bohatera. Sędziwa dama wypytuje Wokulskiego o ród i z poruszeniem rozpoznaje, że jego **stryj Stanisław** (oficer, kapitan siódmego pułku liniowego, zmarły przed pięcioma laty) był jej dawną, nieszczęśliwą miłością. Drżąc i wachając flakonik, dopytuje o pamiątki po nim — złoty krzyż, miniaturę z 1828 roku, paczkę papierów i drugą miniaturę, którą stryj „sam opieczętował przed śmiercią i kazał włożyć do trumny” — po czym rzewnie się rozpłakuje, ku poruszeniu całego salonu. (Zmieszany Wokulski, by ukryć zakłopotanie, wypija przez pomyłkę dwa kieliszki wina należące do generała i biskupa.) Tymczasem w salonach huczy od plotek: damy wyczuwają w Wokulskim „szlachetną rasę”, której „nie ukryje się nawet pod łachmanami”, i snują domysły o romansowej tajemnicy, a panowie kwitują „zamach stanu” hrabiny z mieszaniną ironii i uznania („my czasami sprzedajemy herby”; „ja bym mu sam oddał córkę”). Książę publicznie chwali Wokulskiego: „takiego nie było jeszcze między nami; gdybyśmy dawniej zbliżyli się do nich, nasz nieszczęśliwy kraj wyglądałby inaczej” — co przechodząca Izabela słyszy i błędnie. Pytana przez rywala, czy się zmęczyła, panna rzuca znaczące: „czy ja też potrafiłabym walczyć?... Myślę o prawdziwej walce z silnym nieprzyjacielem” — pierwszy sygnał, że zaczyna postrzegać Wokulskiego jako groźnego przeciwnika.

Hrabina prowadzi Wokulskiego przez amfiladę pokojów (mijają salonik, gdzie „najwyższa arystokracja”, zamiast siedzieć z gośćmi, beztrudno dokazuje przy fortepianie — co budzi w nim podziw dla swobody tej sfery) aż do cichego pokoju, gdzie czeka prezesowa. Tu staruszka wyjawia mu w pełni swoją historię, która okazuje się tragicznym zwierciadłem sytuacji samego Wokulskiego: kochała jego stryja, „ubożuchnego oficera”, lecz „rozdzielono” ich, bo była „bogata i bliska krewna dwu generałów” — w chwili pożegnania rozważali nawet wspólną śmierć, skok do zamkowej **studni** w Zasławiu („na wieki zostalibyśmy razem”). „Bywają wielkie zbrodnie na świecie, ale chyba największą jest zabić miłość” — mówi z goryczą, dodając,

że po pół wieku „sam tylko żal nie przeszedł”, świeży „jakby to było wczoraj”, a dzisiejsi ludzie „mają mocniejsze głowy, lecz zimniejsze serca”. Opowieść o miłości zniszczonej barierą majątku i urodzenia szarpie Wokulskiemu serce — odnawia jego własne rany. Prezesowa prosi go wreszcie o przysługę: ponieważ sama nie może jechać, ma on w jej imieniu postawić stryjowi **nagrobek** w Zasławiu — rozłupać kamień, „na którym siadywali” pod zamkowymi ruinami, i połowę umieścić na grobie, z mickiewiczowskim napisem („Jak cień tym dłuższy, gdy padnie z daleka... Tak pamięć o mnie: im dalej ucieka, / Tym grubszy kirem twą duszę zamroczy...”). Wzmianka o studni, „która miała ich połączyć”, wstrząsa Wokulskim do głębi — myśl o śmierci jako wybawieniu rezonuje z jego własnym stanem.

Oszołomiony przepychem komnat, portretów i „ludzi pełnych delikatności, o jakiej nigdy nie marzył”, Wokulski schodzi na dół z jedną tylko myślą — by jeszcze raz spojrzeć na Izabelę. Lecz panny nigdzie nie ma w salonach. Mimo że pożegnalna obecność wzbudza wśród gości szmer uznania (hrabina przedstawia go wyniosłej damie w brylantach, która natychmiast „przystępuje do interesu”, żądając płótna dla sierot — Wokulski chłodno obiecuje przysłać je „na ręce hrabiny”), a księżę i pan Tomasz zapewniają go, że „zrobił szalony efekt” i zdobył „lepszą pozycję”, niż mógł marzyć — Wokulski opuszcza przyjęcie „z desperacją w sercu”: „Cóż mi po świetnej pozycji, jeżeli jej tam nie ma?”.

Finał rozdziału to scena-klucz dla egzystencjalnego rysu bohatera. Odprawivszy powóz, Wokulski idzie pieszo Alejami wśród spacerujących mieszczan — kupców, rzemieślników i przemysłowców równych mu lub bogatszych — uświadamiając sobie z dumą i tajemną trwogą, że „z całego mnóstwa” tylko on jeden był dziś na święconym u hrabiny: „Z komórki przy sklepie do buduaru hrabiny, co za skok!... Czy aby ja nie za prędko awansuję?”. Na placu Ujazdowskim, wśród huśtawek, bud i rozbawionego tłumu zabaw ludowych, wspomina własne dzieciństwo — jak smakowała mu „bułka i serdelek”, jak na karuzeli czuł się „wielkim wojownikiem” — i z gorzkim zdumieniem konstatuje swoją wewnętrzną pustkę: „ja, bogacz (...), cóż mam?... Niepokój i nudy (...). Właśnie kiedy mógłbym posiadać to, co kiedyś było moim marzeniem, nie mam nic, bo dawne pragnienia wygasły”. Widok śmiałka, który zdobywa nagrodę na szczycie słupa i jest przez chwilę noszony na rękach, by za moment popaść w zapomnienie, odbiera jako „przestroagę dla siebie”. Wracając do miasta, raz po raz bierze obce kobiety za Izabelę i doznaje zawodu, aż po raz pierwszy ogarnia go tęsknota za śmiercią — „za twardym, nieprzespanym snem, którego nie niepokoiłyby żadne pragnienia, nawet żadne nadzieje”.

Rozdział zamyka znacząca reakcja Izabeli, która wróciwszy do domu z oburzeniem donosi Florentynie, że „ten Wokulski” był na przyjęciu, że ciotka jest nim „oczarowana”, a wszyscy „uważają go za jakąś znakomitość”. Trzeźwa Florentyna studzi ją: „Bohater sezonu (...). Przejdzie i to”. Lecz Izabela kończy słowami, które zdradzają jej rosnący niepokój: „Boję się tego człowieka”.

## Rozdział X — Pamiętnik starego subiekta

---

Rozdział wraca do dziennika Rzeckiego. Stary subiekt z dumą, lecz i niepokojem opisuje gwałtowny rozkwit interesu: nowy, okazały sklep „pięć okien frontu”, dwa magazyny, siedmiu subiektów, szwajcar, a do tego błyszczący powóz, kasztanowate konie, furman i lokaj w liberii — „wszystko spadło na nas w początkach maja”, w napiętej, przedwojennej atmosferze. Na obawy Rzeckiego, że „tak dużo wydajemy w niepewnych czasach”, Wokulski odpowiada z handlową pewnością: „dziś właśnie jest pora do robienia interesów”, „my tymczasem zdystansujemy wszystkich współzawodników”. I rzeczywiście — wojny nie ma, sklep huczy „jak na odpuszcie”, pieniądze płyną — lecz Rzecki, znając przyjaciela, raz po raz pyta: „na co to wszystko? Warum hast du denn das getan?”. Niepewny, czy nie zestarzał się jak nieboszczka Grossmutter, cofa się myślą do roku 1846 — ucieczki Ludwika Napoleona z więzienia, wrzenia w Europie, słów wuja Raczka („Bonapart wypłynie i piwa im nawarzy!”) — i do czasu, gdy sam, młody, wśród „rozgardiaszu” znikających ludzi i tajnych pisemek, zaczynał myśleć, „czy już nie pora wytknąć głowę na szerszy świat” (zapowiedź wspomnień o jego rewolucyjnej młodości).

Rozdział rozwija się w barwne, najważniejsze dla charakterystyki Rzeckiego wspomnienie jego udziału w **Wiośnie Ludów** (kampanii węgierskiej 1848–49). W lutym 1848 roku, gdy Ludwik Napoleon był już w Paryżu, młodemu Ignacemu ukazał się we śnie zmarły ojciec z napomnieniem: „Pamiętaj, wisusie, czegom cię uczył!”. Sklep mu obrzydł i — po komicznej, czulej radzie wuja Raczka („chcesz — idź, nie chcesz — zostań”, a po cichu: „gdyby nie podłe moje nogi, dawno bym był za granicą”), który dał mu na drogę piętnaście półimperiałów ze schowanej kieski — postanowił wyruszyć „bić Niemców”. Wzruszające jest pożegnanie z **Janem Minclem**: choć ten zawsze go do walki zachęcał, na widok odchodzącego nagle zerwał się z krzykiem „Świnia!... gdzie ty idziesz?” i rzucił się na łóżko, „szlochając jak dzieciak”. W sieni czekał na Ignacego milczący **August Katz**, gotów do drogi — i bez słów oznajmił: „Jedziemy razem”.

Wspólna wędrówka — opisana w lirycznej, rzewnej apostrofie do zmarłego już przyjaciela — trwała aż do października 1849 roku: długie marsze w spiekocie, woda pita z kałuży, noclegi w lasach, wspólny płaszcz za kołdrę i niezapomniane „tarte kartofle ze słoniną” („jeżeli w niebie nie ma węgierskiej piechoty i tartych kartofli, niepotrzebnieś się tam pospieszył, Katz”). Sercem wspomnienia jest **wielka bitwa**, o której Rzecki mówi: „jeżeli kiedyś zapyta mnie Pan Bóg, po com żył na świecie?... po to — odpowiem — ażeby trafić na jeden taki dzień”. Prus daje tu sugestywny, wielogodzinny obraz marszu ku frontowi: ucztę w węgierskiej wsi przerwana wieścią o nadciągających masach Austriaków („Nareszcie!” — Katz), tłumy uciekających, narastającą kanonadę („macają dystans”; setki armat grające „jakby kto zagrał na organach”), kontrast czystego, bezwietrznego nieba z „burzą” ognia na lewym skrzydle, oraz uczucie żołnierzy w obliczu słowa „Bitwa!” — „nie strach, ale tak coś jakby żal i ciekawość”. Rozdział urywa się w chwili, gdy klęczący na ostatnim wzgórzu żołnierze ujrzeli rozległą równinę z

„rzeką białego dymu” tyralierów, płonącymi wsiami i piechotą zwartą w „wielkie jeże z połyskującymi kolcami” — panoramą wielkiej batalii.

Pamiętnik rozwija obraz bitwy w jeden z najsugestywniejszych fragmentów powieści. Rzecki z bliska przeżywa swój chrzest bojowy: początkową naiwność („czy bitwy nie są hałaśliwymi komediami?”), celny ogień węgierskiej baterii („Bem komenderuje czy diabeł”, aluzja do generała Bema), pierwsze trupy i rannych, ogłuszający huk zlewający się w „ogłupiające warczenie”, paniczny odwrót rezerw pędzonych z powrotem do ognia („Naprzód, łajdaki!”), wreszcie krwawe natarcie na bagnety. Demaskuje romantyczne złudzenia o wojnie — świst kul „nie jest bynajmniej poetyczny, ale raczej ordynaryjny”, a w tłoku szturm Rzecki ze zgrozą orientuje się, że stoi „na człowieku, który jeszcze pochwycił go za nogę”. Kluczowy jest humanizujący moment: leżący obok młody, „o bardzo szlachetnych rysach” oficer austriacki szepce do niego z „nieopisanym smutkiem”: „Nie trzeba deptać... Niemcy są też ludźmi”. Ujawnia się też dwoista natura **Katza** — w boju ogarnięty morderczym szałem (z pianą w kątach ust, dźgający konia, gotów dobić bezbronnego kanoniera, aż Rzecki go powstrzymuje), poza nim zaś pogrążony w melancholii: nad polem zasłanym trupami („skrawkami białego i granatowego papieru”) wzdycha gorzko — „Mieli się też po co rodzić!”.

Zwycięska bitwa okazuje się jednak „bodaj ostatnim zwycięstwem” — odtąd węgierskie sztandary „częściej chodziły przed nieprzyjacielem aniżeli za nieprzyjacielem”, aż „pod Vilagos opadły z drzewców jak liście na jesieni” (kapitulacja powstania węgierskiego w 1849 roku). Na tę wieść Katz, już oficer, rzuca szpadę i mówi, „że teraz tylko sobie w łeb strzelić”; Rzecki, podtrzymywany wiarą, że „we Francji już siedzi Napoleon”, dodaje mu otuchy i obaj przedzierają się do twierdzy Komorno (Komárno). Tam przez miesiąc daremnie czekają odsieczy „z Węgier, z Francji, nawet z nieba”, aż twierdza kapitułuje. W dniu kapitulacji ujawnia się po raz pierwszy samobójcza rozpacz Katza — kręci się koło prochowni z tą samą twarzą, „kiedy chciał przebić leżącego kanoniera”, i towarzysze siłą wyprowadzają go z fortecy, napominając: „węgierska piechota nie tchórzy i nie łamie słowa danego, nawet... Szwabom” (gorzka zapowiedź późniejszego losu Katza).

Najtragiczniejszym momentem wspomnienia jest **śmierć Katza**. W pięciu — z Szaparym, Steinem i Liptakiem — łamią szpady, przebijają się za chłopów i przez trzy tygodnie, tropieni przez „sforę Haynaua”, brną ku Turcji wśród błota i deszczu, krzepiąc się złudzeniami (że Kossuth ich powoła, że ujmie się za nimi Turcja, że „Napoleon nas nie opuści”). Tylko Katz jest coraz bardziej pochmurny i gorączkujący; w chacie nad Sawą wybucha rozpaczliwym wyznaniem klęski wszystkich ideałów: „Nie ma sprawiedliwości dla tych, którzy nie umieli zginąć z bronią w ręku!... Węgry!... już nie ma Węgier! Równość... nigdy nie było równości! Sprawiedliwość... nigdy jej nie będzie!”. Tej nocy, gdy Rzeckiemu śni się dzieciństwo i kolęda „Bóg się rodzi — moc truchleje”, Katz **odbiera sobie życie** — gospodarz chaty budzi Ignacego, który widzi przyjaciela „skurzonego, z wystrzelonym pistoletem w ręku”, i mdleje.



Rano na furze daremnie go szuka. Rzecki żegna go wzruszającą apostrofą, wyobrażając sobie, że Katz „idzie na zmianę warty przed bożym tronem”, bo „kiepskim byłby Pan Bóg węgierski, gdyby się nie poznał na tobie”.

Po śmierci Katza Rzecki wkracza do Turcji, a przez następne dwa lata samotnie tuła się po Europie (Włochy, Francja, Niemcy, Anglia), trawiony biedą i tęsknotą za krajem („jak dziecko wołałem przez sen: ja chcę do kraju!”). Od desperacji ratuje go jedynie wiara w Ludwika Napoleona, który „miał wykonać testament Napoleona I” — gdy zaś tamtemu się nie udaje, Rzecki pociesza się: „zostawił syna. Nie od razu Kraków zbudowano!” (niezłomny, anachroniczny bonapartyzm). W grudniu 1851 roku wraca przez Galicję, zostaje internowany w Zamościu (gdzie „dobrze drwa rąbał”), aż wierny **Jan Mincel** — chodząc do generałów po kampanii węgierskiej, by „ratować kolegę” — wyjednuje mu powrót; w lutym 1853 Rzecki może jechać do Warszawy, odzyskawszy patent oficerski (jedyną pamiątkę prócz dwóch ran). List Mincla, pełen ciepła i nienawiści do brata Franca („ten złodziej (...), któremu nawet pies porządny nie powinien podawać ręki”), przynosi też wieść, że stary Raczek i ciotka pomarli, zostawiając Ignacemu trochę gratów. Rozdział zamyka komiczno-rzewny opis powrotnej podróży: pocziwy Żydek, który nie chce zapłaty „od takie osobe, co z migracje wraca”, lecz nie pojmuje, „po co pan chodził na Węgry”, skoro nie przywiózł dukatów; przeładowana fura, gdzie furman dosadza coraz to nowych krewnych; i wreszcie — mimo brudu, pcheł i ścisku — szczęśliwy powrót „do kraju”. Na widok sklepu Mincla na Krakowskim Przedmieściu, z tym samym blaszanym pałaszem, bębniem i skaczącym kozakiem co w dzieciństwie, Rzeckiemu „serce zaczęło się trząść” — domyka się krąg jego życia, na powrót związany ze światem Minclów.

Powitanie z **Janem Mincllem** jest milczące i wzruszone — obaj myślą „o biednym Katzu i o zawiedzionych nadziejach”. Pamiętnik kreśli tu barwny portret **wiecznego sporu braci Minclów**: nie ma tygodnia bez dwóch kłótni i dwóch pogodzeń, lecz powody nigdy nie są materialne (wzajemnie poręczają sobie kwity i płacą długi) — tkwią w charakterach. Jan to „romantyk i entuzjasta”, gorący bonapartysta, dowodzący, że Minclowie pochodzą „ze starożytnej polskiej rodziny Miętusów” (na dowód pokazuje dwa niezwiązane z niczym dyplomy); Franc — „spokojny i zgryźliwy” republikanin, wróg Napoleona III, przyznający się do niemieckiego rodowodu i drwiący z brata. Ich utarczki (np. o amarantowy kontusz Jana na weselu, który Franc groził „podać do policji”) są komiczne, lecz pod spodem kryje się głębokie przywiązanie: gdy Franc umiera (1856), choć w ostatnich dniach „dwa razy się wykleli”, zapisuje cały majątek Janowi, a Jan z żalu choruje i połowę fortuny oddaje sierotom. Powracają też ciepłe sceny u Grossmutter, gdzie staruszka, słuchając opowieści Ignacego o wojnie i o śmierci Katza, raz po raz powtarza swój komiczny, a zarazem wymowny refren niezrozumienia: „Der Kaffee war ja immer gut (...) — warum hat er denn das getan?” („po co on to zrobił?”).

Ten sam refren Rzecki odnosi dziś do **Wokulskiego** — i w długiej litanii pytań „na co to wszystko?” mimowolnie zbiera wszystkie wątki powieści: po co Wokulski, mając „spokojny kawałek chleba”, pojechał do Bułgarii? po co rozszerzył sklep i tworzy spółkę? po co wynajął ogromne mieszkanie, kupił powóz i konie, pnie się do arystokracji, a unika kupców? po co opiekuje się furmanem Wysockim, jego bratem dróżnikiem, biednymi czeladnikami, a nawet nierządnicą u magdalenek? Stary subiekt wyczuwa też w przyjacielu coś więcej: gdy donosi mu o zamachu Hödla na cesarza Wilhelma, Wokulski reaguje lodowatym „Wariat (...). I słusznie [zetną mu głowę], nie będzie się mnożył ród wariacki” — „skamieniałem wobec jego zimnej krwi”. Rzecki podejrzewa, że przyjaciel „wie więcej”, niż mówi, i boleje, że „nie ma do niego zaufania”. Charakteryzuje go zarazem trafnie: Wokulski obmyśla „genialny plan, wykona go w ogólnych zarysach, ale ani dba o szczegóły” — przeniósł i zorganizował wspaniały, pięciosalonowy sklep (ruskie tkaniny, galanteria zagraniczna), po czym przestał się nim zajmować, składa wizyty panom, jeździ do Łazienek lub „znika bez śladu”, roztargniony i rozdrażniony, „jakby na coś czekał albo czegoś się obawiał”.

Rozdział zamyka jeden z najczulszych obrazów powieści, dowód „złotego serca” Wokulskiego. Rzecki, przygnębiony koniecznością opuszczenia pokoiku, w którym przemieszkał dwadzieścia pięć lat, słyszy od przyjaciela, że ma się przeprowadzić do nowego lokalu „w tym samym domu”, już opłaconego. Wprowadzony tam, ujrzał najpierw obcy mu, wytworny salon (z biblioteką zawierającą „trzy historie Napoleona I, życie Garibaldiego i Kossutha, historię Węgier”) — a gdy Wokulski otworzył drugie drzwi, Rzecki zobaczył **swój własny pokój odtworzony co do szczegółu**: zakratowane okna, zieloną firankę, czarny stół, żelazne łóżko, dubeltówkę i pudło z gitarą. Wokulski wiernie odbudował ukochane, grobowe wnętrze starego subiekta — niemy gest głębokiej przyjaźni.

Wzruszony tą delikatnością („on sam odgadł, że mogę tęsknić za dawną siedzibą”), Rzecki snuje dalej refleksje o przyjacielu, ubolewając, że ten się nie ożeni, choć „jakieś dzikie myśli snują mu się po głowie”. Przez sklep przewijają się tymczasem dziesiątki **swatów**: bogata wdowa pani Szperlingowa (sto tysięcy rubli i dystylarnia) raz po raz dopytuje, czy Wokulski się nie żeni; rymarz Szmeterling oferuje córkę z dziesięcioma tysiącami towaru rocznie; radca Wroński biada, że „ma tu Polska nie ginąć, kiedy tacy jak Wokulski się nie żenią”; matki i ciotki przyprowadzają panny na wydaniu, które „odważniejsze od węgierskiej piechoty” paradują po sklepie — lecz Wokulski nawet na nie nie patrzy.

Poza rodzinami z córkami Wokulski „nie cieszy się sympatią”, bo zraził sobie fabrykantów i kupców. Sercem rozdziału jest podsłuchana przez Rzeckiego w handelku **plotkarska rozmowa kupców**, kondensująca całą społeczną wrogość: zarzucają Wokulskiemu, że „za młodu wysługiwał się takim jak my, a ku starości chce fagasować wielkim panom”, że jego wojenne miliony „pachną kryminałem”, że „zabija przemysł krajowy” sprowadzaniem ruskich perkali i że jego patriotyzm jest fałszywy. Gdy jeden z głosów go broni (przypominając furmana

Wysockiego, którego Wokulski uratował od głodu), reszta kwituje to drwiną: „Dobroczyńca!... za pieniądze z dostaw”. Oburzony Rzecki wymyka się, bo „znając Stacha od dziecka, mógłby im powiedzieć tylko: jesteście podli”. Tę obłudę „surdutowców” przeciwstawia szlachetności prostych ludzi, których Wokulski podźwignął: dróżnik Wysocki, dziękując za przeniesienie do Skierniewic, przyprowadza syna Pietrka ze słowami „to nasz największy dobrodziej (...); jakby zechciał, żebyś sobie uciął rękę dla niego, utnij”, a dziewczyna od magdalenek pisze, że „przypomniała sobie modlitwę z dziecinnych czasów, ażeby modlić się za pana”.

Rozdział rozwija też komiczny, oparty na **dramatycznej ironii** wątek konspiracyjnych domysłów Rzeckiego. Starego bonapartystę niepokoją nowe znajomości Wokulskiego: nauczyciel angielskiego **Wiliam Colins** oraz tajemnicza, trajkocząca **pani Meliton**, której wizyty w sklepie (i polecenia, by Wokulski stawiał się „w Łazienkach około pierwszej”) zbiegają się w czasie z politycznymi sensacjami — zamachem Hödla, kongresem berlińskim, zamachem Nobilinga. Rzecki, przekonany, że przyjaciel jest zamieszany w wielką politykę, „traci sen i resztę apetytu” (czytelnik domyśla się jednak prawdy: nauka angielskiego ma posłużyć załotom, a pani Meliton jest płatną pośredniczką aranżującą spotkania Wokulskiego z Izabelą w Łazienkach — polityczne zbiegi okoliczności są czysto przypadkowe). Na koniec Rzecki opisuje „niezdrowy ferment” wśród siedmiu skłóconych subiektów (starzy Klejn i Lisiecki przeciw trzem nowym, daremnie godzonym przez pocziwego Ziębę) oraz wprowadza ważną postać — **Szlangbauma**, siódmego subiekta „mojżeszowego wyznania, ale człowieka porządnego”: małego, brzydkiego i zgarbionego, lecz przy obsłudze klientów tak sprawnego i wymownego, że „Mraczewski w ką!”.

Wokół Szlangbauma Prus rozwija ważny **wątek narastającego antysemityzmu**. Rzecki spostrzega, że „od roku” rośnie niechęć do Żydów: ci, co dawniej nazywali ich „Polakami mojżeszowego wyznania”, dziś mówią „Żydzi”, a podziw dla ich pracowitości zamienił się w oskarżenia o „wyzysk i szachrajstwo”. Stary subiekt widzi w tym „mrok duchowy, podobny do nocy”, i z goryczą wspomina, że jego pokoleniu „kule nad głowami inne wyświstywały hasła” (egalitarne ideały Wiosny Ludów). Szlangbaum jeszcze rok temu nazywał się **Szlangowskim**, obchodził święta chrześcijańskie i jadał kiełbasę, a z Syberii wrócił razem z Wokulskim i doktorem Szumanem; teraz, wymówiony z posady, pokornie prosi Stacha o przyjęcie („utonę na Nalewkach”). Gdy Lisiecki rzuca antysemickie zaczepki („co tu czosnek zalatuje”, „jak te kanale Żydy cisną się na Krakowskie”), Wokulski staje w obronie kolegi z zesłania: „Pan Henryk Szlangbaum był moim kolegą wówczas, kiedy działo mi się bardzo źle (...); jeżeli opuścisz kiedy ten sklep, to chyba razem ze mną”. Szlangbaum, dręczony i tak „półśłówkami, minami i spojrzeniami”, tłumaczy, że nie może się ochrzcić, bo „jako Żyd jestem tylko nienawistny dla chrześcijan, a jako meches byłbym wstrętny i dla chrześcijan, i dla Żydów” — i woli biedować po sklepach, niż brać grosz od ojca-lichwiarza. Rzecki kwituje rzecz bezradnie: „źle być Żydem, źle mechesem... Noc zapada!”. Wokulski cierpi za swoją postawę — daje towary żydowskim kupcom i paru przyjął do spółki, czym oburza „naszych”, lecz się nie ugina.

Komicznym kontrapunktem jest **socjalistyczno-nihilistyczny** wątek wokół Mraczewskiego. Wysłany przez Wokulskiego do Moskwy (z podwyżką), wraca po towary, przywożąc trzech podejrzanych „prykaszczików” i pakę broszur — w których Rzecki, swym konspiracyjnym, bonapartystowskim umysłem, dopatruje się przygotowań „do jakiejś rewolucji” (tym bardziej że tajemniczy goście znają okolice Cytadeli i bywają odprowadzani do cyrkułów). Lakoniczne „to jeszcze nic” Wokulskiego utwierdza go w przekonaniu, że Stach „grubo zaawansowany w stosunkach z nihilistami”. Ośłupiały Rzecki odkrywa przy tym, że Mraczewski — zwolniony niegdyś za wymyślanie na socjalistów — sam stał się „gorszym socjalistą od Klejna”, wykładając z zapalem program rewolucji (wspólna ziemia, fabryki, brak Boga, a nawet „wspólność żon” — która staremu kawalerowi „trochę się podobała”).

Rozdział wprowadza wreszcie **swatowski plan** Rzeckiego, splatający się z postacią pięknej wdowy. Pragnąc ożenić Wokulskiego (by oderwać go od „podejrzanych stosunków” z Colinsem i Meliton), Rzecki upatrzył mu „partię” — bywającą w sklepie kobietę „dziwnej urody” (szatynka o szarych oczach, z córeczką **Helunią**), którą podziwia z rubasznym zachwytem. Jest to ta sama młoda wdowa (przyszła pani Stawska). Plan jednak krzyżuje powrót Mraczewskiego, który nazajutrz wchodzi do sklepu „z moją wdową” i chełpi się przed Rzeckim wulgarnie, że „ona szaleje za mną” (przechwałki, jak się okaże, fałszywe). Oburzony Rzecki konkluduje, że „szkoda byłoby takiej kobiety dla takiego Mraczewskiego”. Pod koniec maja Wokulski postanawia urządzić **poświęcenie magazynu** — co daje Rzeckiemu okazję do gawędy o tym, jak „zmieniają się czasy” w obyczaju kupieckich obrzędów.

Poświęcenie sprowadza się dziś głównie do wystawnego obiadu (z komiczną wizytą obcesowego reportera, który ubolewa, że „najlepszą reklamą byłoby, gdyby się tak kto powiesił”). Uczta w Hotelu Europejskim gromadzi ponad sto pięćdziesiąt osób — kupców, fabrykantów, a nawet dwóch hrabiów i księcia — i kosztuje przeszło trzy tysiące rubli; gdy książę wznosi toast, a sala huczy „Niech żyje!”, wzruszony Rzecki szepce: „Widzisz, jak cię kochają”, na co Wokulski odpowiada gorzko: „Lubią szampana”. Kluczowe jest pijackie wyznanie Mraczewskiego, które wreszcie odsłania Rzeckiemu prawdę: „To tak dla panny Łęckiej... te spółki... ten sklep... ten obiad... Wszystko dla niej”. Mraczewski zdradza nadto, że to sama Izabela („Żabcia”) wyjednała mu — szepnąwszy „słoweczko” Wokulskiemu — moskiewską posadę z podwyżką, co dowodzi jej wpływu na zakochanego kupca.

Najważniejsza jest jednak nocna rozmowa Rzeckiego z **doktorem Szumanem** — scena-klucz dla zrozumienia bohatera i zapowiedzi finału. Na niepokój starego subiekta, że w Wokulskim zaszła „dziwna zmiana”, Szuman odpowiada przenikliwą diagnozą: „Stopiło się w nim dwu ludzi: romantyk sprzed roku sześćdziesiątego i pozytywista z siedemdziesiątego. To, co dla patrzących jest sprzeczne, w nim samym jest najzupełniej konsekwentne”. Wokulski to „człowiek czynu”, który „jeżeli wymyślił jakieś głupstwo (...), robi głupstwo kapitalne”. Zapytany, co z nim będzie, Szuman wieszczy złowrogo: „Będzie źle. Tacy ludzie jak on albo

wszystko naginają do siebie, albo trafiwszy na wielką przeszkodę rozbijają sobie łeb o nią (...). Możemy zobaczyć tragedię" — proroctwo, które odbiera Rzeckiemu sen w dzień triumfu.

## Rozdział XI — Stare marzenia i nowe znajomości

---

Rozdział kreśli najpierw gorzki życiorys **pani Meliton**, która „przeszła twardą szkołę życia”. Wbrew powszechnym opiniom — że ładna i dobra panna wyjdzie za mąż, że wykształcona nauczycielka zdobędzie szacunek, że szlachetny hrabia poślubi ubogą nauczycielkę — nie wyszła za mąż, była dręczona przez pupilki, a hrabia, któremu „oddawała serce”, jej ręki nie pojął. Po trzydziestce poślubiła pijaka-guwnernera Melitona „ażeby go moralnie podźwignąć”, lecz ten pił jeszcze więcej i ją bił; po jego śmierci pies, którego wzięła, wściekł się i przyprawił ją o pół roku szpitala. Wyszła stamtąd „chuda, stara, posiwiata” — i „zmądrzała”: odtąd nie jest nauczycielką, lecz rekomenduje nauczycielki, nie wychodzi za mąż, lecz swata, a we własnym mieszkaniu „ułatwia schadzki zakochanym” — za wszystko biorąc zapłatę („Ksiądz ma dochody ze ślubów, ja z zaręczyn”).

Kluczowe jest wyjaśnienie jej **układu z Wokulskim**: dostrzegłszy, jak „nabożnie przypatruje się pannie Izabeli”, po jego powrocie z Bułgarii zaoferowała mu swoje usługi. Za hojną zapłatę dostarcza mu wszelkich informacji o Łęckich i ich otoczeniu, a za jej pośrednictwem Wokulski nabył weksle pana Tomasza i srebra Izabeli. Gdy pani Meliton chwali skup weksli jako „arcydzieło — znać kupca!”, Wokulski wyjmując paczkę i — wbrew kupieckiej logice — **drze ją na jej oczach**, pytając z ironią: „Znać kupca?”. Ten idealistyczny, szlachetny gest (rezygnacja z weksli jako narzędzia nacisku) spotyka się z cynicznym ostrzeżeniem doświadczonej swatki, formułującym centralne napięcie powieści: „kobiet nie zdobywa się ofiarami, tylko siłą — siłą piękności, zdrowia, pieniędzy”. Gdy Wokulski odpowiada, że „jeżeli panna Izabela jest taką, jak mi się wydaje, to może mnie kiedyś oceni”, pani Meliton radzi mu rozczarować się „wcześniej”, bo „łatwiej wyrzucić tysiące rubli z kieszeni aniżeli jedno przywiązanie z serca”.

Istota „spisku” pani Meliton wyjaśnia się: za opłatą zawiadamia ona Wokulskiego, w które dni hrabina spaceruje z Izabelą po **Łazienkach**. Te wiadomości wtrącają Wokulskiego w stan gorączkowej udręki — na wieść, że nazajutrz zobaczy ukochaną, traci spokój, obojętnieje dla interesów, czas „rozciąga mu się” w nieskończoność, a noce wypełniają „dzikie marzenia”. Przybywszy nad sadzawkę przed czasem, czeka „zalany zimnym potem”, a gdy wreszcie mija Izabelę i ledwie wymienia z nią ukłon, ogarnia go rozpacz i suicydalna pokusa: „połyskująca woda sadzawki ciągnie go z nieprzepartą siłą”. Powtarzające się sceny obnażają jałowość tej miłości — raz Wokulski całymi godzinami śledzi szarą suknię, by w końcu odkryć, że to wcale nie Izabela („Jestem piramidalnie głupi”). Tymczasem sama Izabela, indagowana przez ciotkę, określa go chłodno jako „zabawnego”, a zaraz „nieprzyjemnego”.

Ważnym sojusznikiem Wokulskiego okazuje się **prezesowa Zasławska**: odwiedzając ją, by mówić o stryju i nagrobku, zdradził mimowolnym wzruszeniem swoje uczucie do Izabeli, a przenikliwa staruszka, spytawszy „czy panna Łęcka nie jest ci obojętną?”, skwitowała rzecz znaczącym „Ha...”. Gdy pani Meliton donosi, że nazajutrz Izabela ma spacerować z hrabiną i z prezesową, Wokulski przeczuwa, że ta chce ich zbliżyć — i wpada w takie podniecenie, że „nie mógł zrachować, ile godzin upłynie”. Lecz w decydującej chwili plan krzyżuje **książę**, który zjawia się, by zawieźć go na zebranie w sprawie spółki: „Aresztuję pana i zabieram do siebie”. Rozdarty Wokulski o mało nie odmawia, lecz rozstrzyga go myśl: „Spacer — to dla mnie, spółka — dla niej” — i jedzie, dławiąc wściekłość (przypomina sobie aforyzm Meliton o zdobywaniu kobiet „siłą, bodaj pięści”).

Rozdział rozwija się w rozbudowany, satyryczny **portret księcia** — kluczowy dla pozytywistycznej krytyki Prusa. Książę to „arystokrata od włosów do nagniotków”, uchodzący za „zagorzałego patriotę” i „najlepszego obywatela”, wierzący, że społeczeństwo dzieli się na „zwyczajny tłum” (mogący pochodzić „od małpy, jak (...) utrzymywał Darwin”) i „klasy wybrane” o boskim lub bohaterskim rodowodzie. Jego francuski kuzyn, „dotknięty zarazą demokratyczną”, drwi z tych mrzonek („to tylko kulisy i kostiumy, które z jednego Wojtka robią księcia, a z innego parobka”), co księcia głęboko rani. Ludem się nie brzydzi — przeciwnie, czuje się jednym z „Prometeuszów” mających „sprowadzić tym biednym ludziom ogień z nieba” — lecz cała jego działalność sprowadza się do zwoływania sesji, dawania po kilkadziesiąt rubli „na akcje” i nieustannego „cierpienia nad nieszczęśliwym krajem”, które każe kończyć frazesem: „myślmy najpierw o tym, ażeby podźwignąć nasz nieszczęśliwy kraj”. Narrator demaskuje tę jałowość ostrą puentą: gdyby księcia spytać, „czy zasadził kiedy drzewo (...) albo czy usunął z drogi kamień raniący koniom kopyta? — byłby szczerze zdziwiony”; „czuł i myślał, pragnął i cierpiał — za miliony. Tylko — nic nigdy nie zrobił użytecznego” (jaskrawy kontrast z konkretnymi czynami Wokulskiego).

Rozdział zamyka obraz czerwcowej Warszawy, wypełnionej zjeżdżającymi na jarmark wełny i wyścigi ziemianami (tędy, opaleni, w prowincjonalnych garniturach) — z czego książę korzysta, by „zbliżyć Wokulskiego z ziemiaństwem”. W jego pałacu, na męskich zebraniach, ścierają się stronnictwa (jak na ostatniej sesji o statkach śrubowych na Wiśle: zapaleńcy księcia, ostrożni mieszczaństwo i para sceptyków) — co zapowiada burzliwe obrady nad spółką do handlu ze Wschodem.

Samo **zebranie spółki** jest jednym z najświetniejszych satyrycznych obrazów powieści. Prus z drwiną kreśli galerię arystokratów i szlachty: otyłego **marszałka** (który ocenia Wokulskiego jak konia na polowaniu i z entuzjazmu raz po raz oferuje „dziesięć tysięcy rubli”, nie rozumiejąc, na co), barona „z fizjognomią Mefistofelesa”, dwóch hrabiów (jeden zgarbiony, drugi ucharakteryzowany na Anglika, kwitujący wszystko monosylabą „Tek”), oraz wygadanego, zakochanego we własnych frazesach **adwokata** — prawą rękę księcia. Sam książę

wygłasza nieporadną mowę, płacząc się w „interesie publicznym” i „naszym nieszczęśliwym kraju”, a meritum oddaje „człowiekowi fachowemu”, Wokulskiemu.

Na tym tle poważnie wybrzmiewa **ekonomiczny program Wokulskiego**. Wykłada, że Warszawa, leżąca na szlaku handlowym między Zachodem a Wschodem, mogłaby czerpać zyski, „gdyby nasz handel był prowadzony porządnie”; jego spółka ma dwa źródła dochodu — uporządkowanie handlu Warszawy z zagranicą (kapitałami chrześcijańskimi) oraz handel z Rosją, dający „piętnaście do dwudziestu procentów rocznie”, zwłaszcza na tanich tkaninach. Na zarzut „podkopywania krajowego przemysłu” odpowiada pryncypialnie: „mnie nie obchodzą fabrykanci, tylko konsumenci” — a tańszy o dwa grosze łokieć perkalu to „fundament dobrobytu dla dwudziestu rodzin”. Kluczowy jest jego nacjonalistyczno-ekonomiczny argument, że „owe nasze fabryki nie są naszymi, lecz niemieckimi” (niemiecki kapitał, administracja i zarząd, a polski robotnik „źle płatny (...) i germanizowany”); gotów wyliczyć nazwiska, czego oponenti-kupcy roztropnie nie żądają. Wreszcie kusi kapitalistów: zamiast trzymać pieniądze w bankach na niski procent, mogą je „użyć bezpośrednio” w jego przedsięwzięciu. Przemowa, podszyta patetyczną euforią księcia i adwokata (i wzruszeniem aż do łez), kończy się **zawianiem spółki** — sygnalizują subskrypcje (zgarbiony hrabia pięćdziesiąt tysięcy, baron i Anglik po trzydzieści, marszałek „dwa-trzy razy tyle”), a nawet część kupców-oponentów przystępuje z „tkliwymi spojrzeniami”.

Na koniec do Wokulskiego podchodzi ważna postać drugoplanowa — **Maruszewicz**, młody człowiek o twarzy „przedwczesnego zniszczenia”, którego kupiec widywał w najszybszych dorożkach. „Kładąc karty na stół”, prosi o posadę w spółce, choć przyznaje, że „fachu jeszcze nie wybrał”, lecz „ma wielkie zdolności”. Wokulski, czując instynktowny niesmak wobec tej „niemajętnej”, podejrzanej figury, chłodno wypytuje go o umiejętności i oczekiwaną pensję (Maruszewicz, jak się okaże, to nieuczciwy pasożyt powiązany z baronem Krzeszowskim).

Po formalnym zawiązaniu spółki (z dalszymi planami sesji o zbożu i okowicie) adwokat odsłania Wokulskiemu trzeźwą prawdę o arystokracji: są to „ludzie dobrych chęci”, którzy „mają nawet rozum i ukształcenie, ale energii brak!... Choroba woli (...); cała klasa jest nią dotknięta” — mając „wszystko: pieniądze, tytuły, poważanie”, niczego nie pragną, a przez to „muszą być narzędziem w ręku ludzi nowych i ambitnych”. To kluczowa diagnoza: bezwolna arystokracja vs. energiczni „ludzie nowi” (Wokulski).

Sercem rozdziału jest wprowadzenie **Juliana Ochockiego** — młodego kuzyna Łęckich, którego Wokulski widywał przy boku Izabeli i w którym z miejsca podejrzewa rywala. Ochocki, niespełna trzydziestoletni, o twarzy przypominającej „rysy Napoleona Pierwszego, przysłonięte (...) obłokiem marzycielstwa”, odprowadza Wokulskiego ku Łazienkom. Z rozmowy wyłania się jego niezwykła osobowość: to **genialny wynalazca** (skończył wydział przyrodniczy i politechnikę, ulepszył mikroskop, zbudował „nowy stos elektryczny”, lampę), trawiony jednak rozpaczą, że „w dwudziestym ósmym roku tylko tyle zrobił” — „rwać się gdzieś od dzieciństwa i

utknąć na lampie — to okropne (...); dobiegać środka życia i nie znaleźć (...) drogi, po której by się iść chciało — cóż to za rozpacz!". Marzy o rzeczach wielkich (machinach latających), a niedbały o powierzchowność, „mimowolny” w każdym ruchu — uosabia czysty, bezinteresowny idealizm nauki, czyniąc go duchowym pobratymcem Wokulskiego.

O Izabeli Ochocki mówi z zachwytem („nie dystyngowana — bogini!"), lecz z charakterystycznym dystansem: opowiada, jak pewnego księżycowego wieczora, siedząc z nią na ławce, w pół zdania porzucił rozmowę o gwiazdach, bo „zbudziła się jego idea czy obłąd” o maszynach latających — wstał „bez pożegnania” i odszedł, czym uraził kuzynkę. Mimo nalegań ciotki, że Izabela to „żona akurat dla niego”, odrzuca tę myśl: „gdzieżby ona dla laboratorium mogła opuścić salon!... ptak potrzebuje powietrza, ryba wody”. Słuchając tego, Wokulski cierpi z zazdrości („panna Izabela już kocha się w Ochockim”), lecz doznaje ulgi, gdy pada wyznanie: „ożeniłbym się z nią, gdybym miał pewność, że już nic w nauce nie zrobię” — Ochocki nie jest rywalem, bo poślubił naukę.

Rozdział zamyka się zaskakującym zwrotem: „ważny interes”, z którym Ochocki zwraca się do Wokulskiego (przygotowanego na rozmowę o Izabeli), okazuje się nie mieć z nią nic wspólnego. Pełen szacunku dla Wokulskiego jako dawnego „przyrodnika entuzjasty” (o czym wie od Szumana), Ochocki zadaje mu dwa rozbijające szczere pytania o... własną przyszłość: „w którym roku życia osłabnął pański zapał” do nauki (Wokulski, „jakby uderzony toporem”, odpowiada, że w zeszłym, mając czterdzieści pięć lat — co Ochockiemu „dodaje odwagi”, bo ma „jeszcze przeszło piętnaście lat”) oraz „w którym roku życia zaczynają mężczyźnie obojętnieć kobiety?”. Te pytania, obnażające jego bez reszty oddanie nauce, są zarazem komiczną ulgą dla udręczonego Wokulskiego i głębokim rysem charakterystyki Ochockiego jako pozytywistycznego ideału postępu.

Ochocki wyznaje, że kochał się „siedem razy” i wzgardził miłością jako rzeczą zdradliwą („gdy raz opanuje człowieka idea, już go nie opuszcza i nie zdradza nigdy”), po czym roztacza przed Wokulskim swoją wielką wizję — **machiny latające** „cięższej od powietrza”, która znieśie „fortece, armie, granice” i da ludzkości skrzydła: „oszałamie albo... przypnę ludzkości skrzydła”, a nagrodą będzie „sława, jakiej nie dosięgnął żaden człowiek — to moja żona, to moja kobieta”. Po jego odejściu Wokulski, wstrząśnięty („Wariat czy geniusz?... A jeżeli geniusz?”), błąka się wśród tłumów przepełniających parki („Zaczyna mi już braknąć miejsca na świecie!"). W ustronnych Łazienkach pogrąża się w gorzkim **rachunku sumienia**, porównując się z Ochockim: ten o osiemnaście lat młodszy, piękny, skończył dwa fakultety i zrobił trzy wynalazki, gdy on — „żadnego”; nosi w sobie „wielką ideę”, podczas gdy miłość Wokulskiego to „uczucie osobiste”, po którego zniknięciu zostałby „zwyczajnym kapitalistą”. Zarazem broni siebie jako „człowieka czynu”, który daje byt setkom ludzi, wobec Ochockiego-„marzyciela”, lecz świadomość, że spotkał wreszcie „człowieka wyższego od siebie”, pogłębia jego rozpacz.



Kulminacją jest nocna scena-klucz dla samobójczego nastroju bohatera. Pograżony w myślach o śmierci („dziś nie wolno zabijać innych, tylko siebie można”), Wokulski w ciemnej alei prowokuje napastników: na „Która godzina?” obdartego człowieka odpowiada „Zabij mnie, to sam zobaczysz”, oferuje rabusiom swój zegarek i pieniądze („bronić się nie będę!”) — lecz ci, przerażeni jego szaleństwem, uciekają, mrużąc, że „taki to zejdzie, gdzie go nie posięją”. Zbłąkany, z bijącym sercem, doznaje „pierwszy raz w życiu obawy nocy”, aż odnajduje drogę i wraca do domu, gdzie blask światła przywraca mu trzeźwość: „Cóż znowu za przywidzenia?... Jakiś Ochocki... samobójstwo!... Ach, głupota”. Czeką na niego list od pani Meliton, która była u niego dwukrotnie.

## Rozdział XII — Wędrówki za cudzymi interesami

---

Otwierając list, Wokulski otrząsa się z nocnych majaków i z udaną obojętnością myśli: „I panna Izabela taka sama kobieta jak inne... Wyjdzie za mnie — dobrze; nie wyjdzie — to przecież nie umrę”. **List pani Meliton** uruchamia jednak dwa kluczowe dla fabuły wątki. Po pierwsze, donosi, że za kilka dni Łęckim **sprzedadzą kamienicę**, a jedynym kupcem będzie nienawistna **baronowa Krzeszowska**, która zapłaci tylko sześćdziesiąt tysięcy rubli — przez co przypadnie resztką posagu Izabeli (trzydzieści tysięcy); chwila jest „pomyślna”, bo panna, „postawiona między biedą a wyjściem za marszałka”, zgodzi się „na każdą inną kombinację”. Swatka, przewidując, że tym razem Wokulski nie postąpi „jak z weksłami, które podarł”, radzi mu bezwzględność: „kobiety tak lubią być ściskane, że dla spotęgowania efektu trzeba je niekiedy przydeptać nogą”. Po drugie, podsuwa mu sposobność „sprawienia Beli małej przyjemności”: baron Krzeszowski sprzedał żonie swoją ulubioną wyścigową **klacz**, a Izabela byłaby rada, gdyby w dniu wyścigów nie posiadał jej ani baron (zawstydzony sprzedażą), ani baronowa (zrozpaczona cudzym zyskiem) — okazję do kupna klaczy ma przynieść Wokulskiemu sam **Maruszewicz**, przyjaciel Krzeszowskich. Tak rozpoczyna się rozdział „wędrówek” Wokulskiego za cudzymi interesami, podejmowanych w istocie dla zbliżenia się do Izabeli.

List odnawia w Wokulskim energię „jak wówczas, kiedy wyjeżdżał do Bułgarii”. Postanawia, że Izabela „nigdy nie znajdzie się” w położeniu „między biedą a wyjściem za marszałka”, i drobniawo wylicza koszt operacji: klacz (do tysiąca rubli), dom (sześćdziesiąt tysięcy) plus posag (trzydzieści tysięcy) — razem „prawie trzecia część majątku”. Jego plan jest dyskretnie szlachetny: kupić kamienicę, skłonić pana Tomasza, by powierzył mu trzydzieści tysięcy posagu (płacąc od nich pięć tysięcy rocznej „dywidendy”), a po roku „wycofać się z kamienicy choćby ze stratą — wreszcie to nie strata, to jej posag”. Znamienne, że choć z natury „chwyciłby wszystko za kark”, jednej Izabeli „chciał zostawić absolutną wolność”.

Nazajutrz dochodzi do skutku **transakcja z Maruszewiczem**, który przychodzi sprzedać wyścigową klacz baronowej Krzeszowskiej za osiemset rubli, tłumacząc jej zawiłą genezę (baron pod groźbą samobójstwa wymusił od żony pieniądze za ukochanego konia, a baronowa, „nieprzyjaciółka wyścigów”, chce się go teraz pozbyć ze wstydu). Wokulski płaci osiemset rubli i bierze pokwitowanie, lecz drżenie rąk i mieniąca się twarz młodzieńca zdradzają oszustwo: schodząc, Maruszewicz planuje zwrócić baronowej tylko sześćset i zatrzymać dwieście, licząc, że strony „nie zetkną się” — i z pogardą myśli o „geszefciarzu i parweniuszu”, który „kazał sobie pisać kwit”. (Ten drobny szachraj stanie się źródłem późniejszych komplikacji.)

Druga połowa rozdziału to barwny obraz **żółtej kamienicy Łęckich**, którą Wokulski postanawia obejrzeć (uświadomiwszy sobie z komizmem, że ma ją kupować, „nie wiedząc, ani jak dom wygląda, ani gdzie leży”). Prus z humorem opisuje „najżółciejszą” kamienicę Warszawy — z bramą w obsesyjnym motywie **wachlarza** (powracający symbol), malowanymi krajobrazami w sieni i obtłuczoną, kolorową nimfą na schodach. Tu wprowadzeni zostają kluczowi dla drugiego tomu lokatorzy: piękna wdowa **Helena Stawska** z córeczką Helunią i matką Misiewiczową (Wokulski rozpoznaje w niej kobietę widzianą na grobach i w sklepie), nienawistna **baronowa Krzeszowska** na drugim piętrze, sam Maruszewicz w oficynie oraz hałaśliwi **studenci** na trzecim piętrze. Rozdział kończy komiczna scenka sąsiedzkiej wojny: studenci, drażniąc baronową i przywołując do siebie jej służącą Marysię, wylewają na wychyloną głowę baronowej strumień wody — „Nikczemnicy!” — zapowiadając pełen zatargów świat tej kamienicy.

Z kamienicy Wokulski jedzie do **adwokata** — i ta rozmowa staje się sceną-kluczem dla głównego konfliktu moralnego powieści. Gdy Wokulski oświadcza, że chce kupić dom Łęckich, lecz „choćby za dziewięćdziesiąt tysięcy” (a nie sześćdziesiąt, ile zapłaciłaby Krzeszowska), bo „nie chce obdzierać przyszłego współnika”, przenikliwy adwokat błyskawicznie odgaduje prawdę: „Sześćdziesiąt od dziewięćdziesięciu... posag panny Izabeli... Aha!”. Z miejsca staje się sprzymierzeńcem, lecz wyklada przy tym swą cyniczną filozofię. O arystokracji mówi bez ogródek: to „parę tysięcy ludzi, którzy wysysają cały kraj (...) i sami giną: ekonomicznie, fizjologicznie i moralnie”; warto ją „skrzyżować z innymi warstwami” (bo to „organizacje subtelniejsze”) — dlatego popiera małżeństwo Wokulskiego z Izabelą, ale „do strwonienia trzydziestu tysięcy rubli” się nie godzi: „Łęcki-bankrut może zostać krewnym (...) kupca-szlachcica. Ale Łęcki z trzydziestoma tysiącami rubli w kieszeni!” — bez ruiny ojca Izabela nie zostanie wydana. Stwierdza, że stanie do licytacji, lecz „sam z sobą licytować się nie będzie”, i na koniec wydaje wyrok zbieżny z radą pani Meliton: „kto chce zdobyć, musi zwyciężyć, zdusić przeciwnika, nie zaś karmić go z własnej spiżarni (...). Romantyk!... romantyk!”. Wokulskiego irytuje zarówno odkrycie jego tajemnicy, jak i ta krytyka — bo przecież „zdobyczą miała być panna Izabela”.

Druga połowa rozdziału to wizyta u **starego Szlangbauma** (ojca subiekta Henryka), prowadzącego kantor wymiany i loterii — scena rozwijająca wątek **antysemityzmu** z humorem i goryczą. Stary Żyd skarży się, że „na Żydów zaczyna się prześladowanie”, i jako dowód przytacza odrzucenie przez redakcję „Kuriera” jego niewinnej szarady (o „Kozakach”) jako „niegramatycznej i niepolitycznej”, podczas gdy pół roku wcześniej traktowano go inaczej — „a co teraz drukują w gazety na Żydków”. Wzruszająca jest opowieść o dziewięcioletnim wnuku Michasiu, który układa szarady i prosi dziadka o sześć rubli „na kortowy interes” (spodnie), bo z „upartości Henryka” (odmawiającego pomocy bogatego ojca) „chodzi bez spodnie”. Szlangbaum kończy pochwałą żydowskiego etosu intelektu: u nich młodzież „nie zajmuje się jak u państwo tańcami (...), ale robią rachunki, oglądają uczone książki, rozwiązują szarady” — „u nas ciągle jest zajęty rozum (...) i dlatego (...) oni cały świat zawojują (...) przez mądrość i cierpliwość”, podczas gdy „u państwa wszystko robi się przez sercowe gorączki i przez wojnę” — celny kontrast dwóch postaw życiowych.

Słowa o „mądrości i cierpliwości” dodają Wokulskiemu otuchy (sam wszak zdobywa Izabelę cierpliwie) i skłaniają go do powierzenia Szlangbaumowi delikatnej misji: chce, by dom Łęckiego „poszedł za dziewięćdziesiąt tysięcy”, i potrzebuje kogoś, kto by „licytował do tej sumy”. Zdumiony Żyd („pan chce zapłacić drożej o trzydzieści tysięcy?”) najpierw odradza „takie głupstwo”, a potem — błędnie domyślając się, że Wokulski kupuje sobie u Łęckiego korzystne stosunki — z entuzjazmem oferuje **sfigowaną licytację**: podstawionych licytantów (katolika za piętnaście rubli, „dystygowaną damę” za dziesięć, paru Żydków po pięć), którzy podbiją cenę tak, że „nikt nie zmiarkuje, jaki jest interes”. Zapewnia o dyskrecji: „pański sekret to mój sekret. Pan ujął się za mój Henryczek”.

Druga połowa rozdziału przenosi akcję do **rajtszuli** (ujeżdżalni Millera), dokąd Wokulski jedzie z Maruszewiczem obejrzeć kupioną wyścigową **klacz**. Prus daje tu komiczny obraz lekcji jazdy (nieudolni jeźdźcy, dyrektor i jego pomocnik Szulc szczerze szafujący batem, kaskadowa, groteskowa przemoc wobec stajennych) oraz wybuch dyrektora Millera, urażonego plotką, jakoby sprzedął „konia, co miał koler”. Klacz — „piękne zwierzę na cienkich nóżkach, z małą główką”, o oczach pełnych „dowcipu i rzewności” — wacha Wokulskiego, „jakby w nim odgadła pana”, i z miejsca budzi jego czułość. Miller zakłada się „o pięćdziesiąt rubli, że wygra”, a Wokulski prosi, by wystawić ją na wyścigi anonimowo.

Kluczowy jest narastający **przesąd** Wokulskiego: „Jeżeli ta klacz wygra, to panna Izabela pokocha mnie”. Odtąd jeździ do maneżu po kilka razy dziennie, karmi klacz cukrem, pieści ją („gdybyś ty wiedziała, co od ciebie zależy!”), a jej nastrój odczytuje jako wróżbę. Towarzyszy temu dramatyczny **wewnętrzny spór** — uosobienie diagnozy Szumana (romantyk + pozytywista). Głos przyrodnika tłumaczy mu jego stan racjonalnie: „oto jak mści się natura za pogwałcenie jej praw. Za młodu (...) drwiłeś z miłości, sprzedawałeś się na męża starej kobiecie, a teraz masz!... kapitał uczuć zwraca ci się dziś z procentem”. Głos romantyczny podsuwa zaś

legendę o duszach, które „przed wiekami” stanowiły „jedną całość” — i wiarę w omeny: „Jeżeli klacz wygra (...), będzie to znakiem, że mnie panna Izabela pokocha... Ach! stary głupcze, wariacie, do czego ty dochodzisz?”.

Rozdział zamyka wizyta **hrabiego-Anglika**, który w imieniu barona Krzeszowskiego prosi Wokulskiego o odsprzedaż klaczy (za tysiąc dwieście rubli, bo baron „porobił duże zakłady”). Wokulski — dla którego utrata konia oznaczałaby pogardę Izabeli — odmawia, powołując się na „własne widoki” na klacz. Hrabia interpretuje to po swojemu, jako objaw szlacheckiej dumy: „pan jesteś przede wszystkim szlachcicem, i to w angielskiej edycji” — i przy okazji deklaruje przystąpienie do spółki „z pięćdziesięcioma tysiącami rubli”. Po jego wyjściu Wokulskiego niepokoi pytanie, skąd baron wie, że to on kupił klacz — i nabiera podejrzeń wobec Maruszewicza.

## Rozdział XIII — Wielkopańskie zabawy

---

Rozdział rozgrywa się w **dzień wyścigów** — punkt zwrotny w relacji Wokulskiego z Izabelą. Od piątej rano dręczony niepokojem („Czy klacz wygra?... A jeżeli klacz złamie nogę!”), Wokulski przybywa na zatłoczone pole na Mokotowskich polach. Najpierw odnajduje klacz wraz z dyrektorem Millerem i słynnym dżokejem **Yungiem** (chudym, małym, taksującym Wokulskiego „jak konia”), któremu obiecuje dodatkowe pieniądze za zwycięstwo. Potem na próżno szuka Izabeli — ogarnia go rozpacz („Może nie przyjedzie?... Może pani Meliton okłamała go?”) i czarny pesymizm: w wyobraźni widzi galerie, na których nocą zasiadają „zmarli bankruci, pokutujące kokoty (...), wypędzeni z piekła”, przyglądający się „wyścigom szkieletów koni” — gotycki obraz jego desperacji. Podśłuchuje też uwagę sportsmena Wrześnińskiego, że dorobkiewiczze, którzy „moralizują” o zbytkach, sami puszczają konie na wyścigach, i przyznaje mu rację: „staję na wyścigach pierwszy i ostatni raz w życiu”.

Wszystko zmienia przyjazd powozu hrabiny — z prezesową, panem Tomaszem i **Izabelą**. Po raz pierwszy panna jest wobec Wokulskiego niezwykle łaskawa: cieszy się, że pokrzyżował plany barona, wyznaje, że przyjechała „tylko na ten wyścig”, i z dziecięcym zapałem zachęca: „Ach, panie, pan musi wygrać”, na co on odpowiada: „Jeżeli pani zechce, wygram”. Nigdy nie wydała mu się tak piękna, nigdy nie marzył, by rozmawiała z nim „tak łaskawie”. Zauważa zarazem, że wokół powozu Łęckich nikt nie stoi — marszałka i barona Izabela zbyła chłodno, a młodzież „kłaniała się z daleka i omijała”: wieść o licytacji domu odstręczyła konkurentów, co Wokulski kwituje w duchu: „przekonaj się, kto naprawdę kocha ciebie, nie twój majątek”.

Kulminacją jest sam **wyścig**: wśród narastającego napięcia tłum klacz **Sułtanka** dosiadana przez Yunga zwycięża, a publiczność wpada w „szalony zapał”, że „warszawski kupiec pobił dwu hrabiów” (mimo że koń startował anonimowo, tłum skanduje „Brawo Wokulski!”). Triumfujący Wokulski dokonuje wówczas wytwornego gestu: nagrodę (trzysta rubli) wraz z sumą ze

sprzedaży klaczy (osiemset) składa na ręce Izabeli „dla ochrony pań” — a panna przyjmuje paczkę „z uśmiechem i prześlicznym spojrzeniem”. W chwili tego triumfu pojawia się jednak, „blady z gniewu”, **baron Krzeszowski**, który podchodzi do powozu i wyciąga rękę do Izabeli, wołając coś po francusku — co zapowiada zbliżający się gwałtowny zatarg (i pojedynek).

Baron, urażony stratą klaczy, rzuca pod adresem Izabeli i Wokulskiego impertynencje („cieszę się, kuzynko, że triumfują twoi wielbiciel... przykro mi tylko, że na mój koszt”). Wokulski reaguje zimno i stanowczo: przypomina baronowi, że ten go „potrącił”, a niezadowolony z przeprosin, żąda satysfakcji — obaj wymieniają adresy z wyszukaną uprzejmością. Zirytowana hrabina każe wracać do domu, lecz odjeżdżając Izabela wychyla się i, podając Wokulskiemu „końce palców”, szepce „Merci, monsieur...” — gest, od którego kupiec „osłupiał z radości”.

Następuje przygotowanie **pojedynku**. Wokulski zwierza się **doktorowi Szumanowi** (zajętemu komiczną korektą swojej etnograficznej rozprawy o włosach mieszkańców Królestwa, którą udaje, że nikt nie czyta, choć kazał odbić cztery tysiące egzemplarzy). Szuman, początkowo wzdragający się przed rolą lekarza („patrzyć, jak dwu dudków strzela sobie we łby”), zgadza się być sekundantem, trafnie domyślając się przyczyny („Spódnica, co?”). Drugim sekundantem zostaje Rzecki. Nazajutrz obaj jadą ustalić warunki z hrabią-Anglikiem (świadkiem barona) i jego osobliwym towarzyszem — myśliwym na lwy i egiptologiem. Mimo że baron jest gotów „przeprosić nawet listownie”, Rzecki — w którym „ocknął się były oficer węgierski” — oświadcza, że „nie mają upoważnienia do żadnych kroków pojednawczych”, i dyktuje ostre warunki: dwadzieścia pięć kroków z marszem po pięć, „pistolety gwintowane z muszami”, „strzały do pierwszej krwi”, termin nazajutrz przed południem. Po podpisaniu protokołu Szuman wybuchają na ulicy: „Niech was wszystkich diabli porwą z waszymi głupimi przesądami!”.

Wieczorem Wokulski stanowczo odrzuca wszelkie przeprosiny i zaprzecza, by miało go spotkać „jakikolwiek nieszczęście”, lecz w samotności pisze list pożegnalny zaadresowany do Rzeckiego (rodzaj testamentu). Dręczony wspomnieniem barona i obrazem twarzy Izabeli „oblanej rumieńcem wstydu”, czuje „głuchą wściekłość” i dziwną siłę, a myśl o śmierci budzi w nim spokój: „śmierć nie rzuca się na odważnych; staje tylko naprzeciw nich jak zły pies (...): czy nie zmrużą powieki?”.

Rozdział zamyka komiczny, satyryczny portret **barona Krzeszowskiego**. Lekkomysłny utracjusz przesiaduje noc przed pojedyńkiem przy kartach, aż partner ostrzega go, że „będą mu drżały ręce i spudłuje”. W domu kłóci się z wiernym kamerdynerem Konstantym, który zamiast współczucia wytyka mu długi i niezapłacone komorne („kto weksle jaśnie pana zapłaci?”). W swym monologu baron biada nad „szczęściem” pojedynkowania się „z kupczykiem” (trafić go to jak „zabić chłopu cielną krowę”, zginać — jak gdyby „zwalil go batem dorożkarz”) i wzdycha za czasami, gdy ojciec kazałby „takiego zucha oćwiczyć psiarczykom”. Zasypia, marząc, jak Wokulski go zabija, żona spłaca długi i wyznacza tysiąc rubli na pogrzeb, a on

„zmartwychwstaje” i zabiera te pieniądze „na drobne wydatki”. Rano, ledwo zbudzony zimną wodą, przysięga zabić przeciwnika — lecz na widok „pięknej pogody” jego nienawiść słabnie i postanawia jedynie „przestrzelić mu nogę”.

Sam **pojedynek** w lasku bielańskim nad Wisłą rozstrzyga się w sposób groteskowy, lecz brzemienisty. Wokulski, w którym „obudziło się drapieżne zwierzę”, staje na mecie z „dziką zjadłością” (hrabia-Anglik domyśla się, że „tu chyba nie chodzi ani o klacz”). Baron mierzy mu w obojczyk, lecz w ostatniej chwili zsuwają mu się binokle, kula chybia — a strzał Wokulskiego trafia w sam pistolet barona, wbijając mu zamek broni w szczękę (wybity ząb, „dziura w twarzy”, lecz rany niegroźne). Po pierwszej krwi przeciwnicy się godzą; baron, zaintrygowany, „że człowiek pańskiego fachu tak dobrze strzela”, odciąga Wokulskiego na bok i pyta, „za co właściwie został kaleką”. Gdy słyszy: „Obraziłeś pan kobietę”, pojmuje („Ach, C'est ça!”) i obaj wymieniają przeprosiny. Wokulski wraca zamyślony, Rzecki zachwycony „odwagą i uprzejmością barona”, a tylko Szuman wściekły: „A to bydlęta!”.

Trzy dni później Wokulski godzinami konferuje z **Wiliame Colinsem** — co służący, podglądając przez dziurkę od klucza i nie rozpoznając obcej mowy, bierze za knucie „fajnej spekulacji” (czytelnik wie, że to lekcje angielskiego, podjęte ze względu na Izabelę). W trakcie nauki zjawia się **Maruszewicz** i rozgrywa się scena-klucz jego demaskacji. Tłumacząc, że nie może pomóc przy licytacji domu, młodzieniec wygaduje się, że wie o niej „od poczciwego Szlangbauma” — i nagle milknie. Wokulski, wpatrując się w niego „jak myśliwy w ugór”, w jednej chwili składa sobie fakty: to Maruszewicz jest owym „porządnym katolikiem”, którego Szlangbaum wynajął do sfingowanej licytacji (radząc nie dawać mu wadium do ręki); to on był zmieszany przy odbiorze ośmiuset rubli za klacz i to on rozgłosił, kto ją kupił — „służy od razu dwom bogom: baronowi i jego małżonce”, a przy tym „za dużo wie o moich interesach”. Pod tym przenikliwym spojrzeniem nerwowego Maruszewicza „wił się jak gołąbek pod wzrokiem okularnika”, aż Wokulski ucina jego wyznania zimnym: „Ja już wiem, co potrzebuję wiedzieć”. Upokorzony szachraj ucieka, w duchu miotając obelgi („taki kramarz chce mi imponować!... on musiał kogoś zamordować”) i biadając nad własnym położeniem (komornik, dług honorowy do spłaty).

Nazajutrz Maruszewicz wraca jednak z prośbą — przychodzi do sklepu (każąc Rzeckiemu zapłacić za swoją dorożkę) i w gabinecie wyklada Wokulskiemu interes: baronowa Krzeszowska chce kupić dom Łęckich, lecz baron „położył veto” na część jej funduszków; brak mu chwilowo **tysiąca rubli**, których pożyczki potrzebuje, by „dość energicznie opierać się woli żony” (czyli — paradoksalnie — by blokować zakup kamienicy przez baronową, co byłoby na rękę samemu Wokulskiemu).

Wokulski daje nie tysiąc, lecz czterysta rubli na kwit z podpisem barona (podejrzewając zresztą, że podpis jest sfałszowany). Maruszewicz odchodzi z pogardą i poczuciem upokorzenia („podły kupczyk... dał mi czterysta zamiast tysiąca”), Wokulski zaś trafnie ocenia go jako „hultaja dużej

ręki", który „śledzi go i donosi innym", i pogrąża się w pesymizmie: „cztery dni temu o mało nie zabiłem człowieka, dziś dla drugiego postawiłem most do więzienia — i wszystko dla niej za jedno: merci".

Następnie zjawia się **adwokat** z poważnym ostrzeżeniem — kolejną odsłoną konfliktu między romantycznym stylem Wokulskiego a interesem spółki. Donosi, że hrabia Sanocki chce się wycofać, urażony, że kupiec „bawi się w wyścigi", a w dodatku „bije go na wyścigach"; cytuje też miażdżący sąd hrabiego Licińskiego: „Wokulski jest skończony dżentelmen, strzela jak Nemrod, ale... to żaden kierownik interesu kupieckiego. Bo dziś rzuci miliony w przedsiębiorstwo, a jutro wyzwie kogo na pojedynek i wszystko narazi". Adwokat usilnie odradza zakup kamienicy Łęckich („gdy włożysz w nią dziewięćdziesiąt tysięcy, (...) spółka rozwieje się jak dym z fajki", a ludzie zaczną „podejrzynać"). Wokulski wybucha hardo („Nie chcę żadnych spółek! (...) Hrabiowie i książęta nie mają monopolu na fantazję"), lecz przy kamienicy się nie cofa — przyjmuje jedynie kompromis: dom kupi tymczasowo podstawiona osoba (firma adwokata), by ukryć udział Wokulskiego, który „za rok" stanie się jego nominalnym właścicielem (adwokat tłumaczy, że jawne kupno postawiłoby go w „fałszywej pozycji wobec Łęckich").

Wokulski uświadamia sobie, że „ludzie sądzą go poza plecami", i wprost pyta Rzeckiego: „co mówią o mnie?". Stary subiekt odpowiada szczerze: „jedni — że zaczynasz wariować, drudzy — że chcesz zrobić szwindel, a wszyscy — że zbankrutujesz", sam zaś radzi, by przyjaciel „cofnął się w porę". W odpowiedzi pada żarliwe wyznanie-credo bohatera: „Nie cofnę się! Człowiek spragniony nie cofa się od krynicy (...). Od dzieciństwa żyłem jak ptak spętany (...); a dziś, kiedy rozwinęły mi się skrzydła, zaczynacie na mnie wrzeszczeć jak swojskie gęsi na dziką, która zerwała się do lotu (...). Ja chcę żyć!". W tej chwili nadchodzi przełomowy **list od pana Tomasza**: „Córka moja koniecznie życzy sobie bliżej poznać Pana (...); proszę Pana na jutro (...) na obiad". Wokulski, oszołomiony, „tak osłabł, że musiał usiąść" i czyta zaproszenie cztery razy — bo to **sama Izabela go zaprosiła**. Na ostatnie napomnienie Rzeckiego odpowiada: „Gdyby mi się ziemia rozstała pod nogami (...) — nie cofnę się... Za takie szczęście oddam życie".

## Rozdział XIV — Dziewicze marzenia

---

Rozdział przenosi punkt widzenia do **Izabeli**, która od Wielkanocy często rozmyśla o Wokulskim. Uderza ją, że „człowiek ten przedstawiał się coraz inaczej". Dotąd każdą znajomą osobę umiała streścić w jednym zdaniu (książę — patriota, ciotka — dumna, prezesowa — dobra, Ochocki — dziwak, Krzeszowski — karciarz); „człowiek" był dla niej „jakąś zaletą albo wadą (...), tytułem lub majątkiem, który miał głowę, ręce i nogi". Wokulskiego natomiast „niepodobna było określić jednym wyrazem, a nawet stoma zdaniami" — porównuje go do

„okolicy, przez którą jedzie się cały dzień”, pełnej równin, gór, lasów i pustyń, „spoza mgieł horyzontu” wyłaniającej „niejasne widoki” — i pyta siebie, „czy to (...) istota nadludzka, a przynajmniej — pozasalonowa”. Zaczyna rejestrować swoje wrażenia: najpierw „zbliżający się jakiś ogromny cień” — ktoś, kto rzucał tysiące na dobroczynność i ochronę ciotki, przegrywał do jej ojca w karty, wykupił jego weksle i jej serwis, ozdobił grób Pański — postać objawiająca się jej zewsząd, a wciąż nieuchwytna.

Prus przeprowadza Izabelę przez kolejne **fazy** postrzegania Wokulskiego. Najpierw był dla niej „zuchwałym dorobkiewiczem” i „cynicznym brutalem”, który dorobił się majątku, by „kupić” ją u jej ojca — wstrętnym i nienawistnym, bo „śmiały opatrywać rany, które ukryłaby przed samym Bogiem” (cios w jej dumę, na wspomnienie którego „szarpała na sobie suknię”, szepcząc „Nikczemnik!”). Potem jednak dostrzegła w nim człowieka, który „bez cienia dwuznacznej myśli” wyznał, że kupił serwis „dla interesu” — a więc czuł, że „panny Łęckiej wspierać nie wolno”; tego samego, który wypędził Mraczewskiego za złośliwe słowa o niej i oparł się wszystkim prośbom, lecz „jedno słówko jej (...) pokonało nieugiętego człowieka” — „nie robi się takich ustępstw dla kobiety, której się nie czi”. W trzeciej fazie, na święconym u ciotki, ujrzała, że Wokulski „o całą głowę przerasta towarzystwo”, że arystokracja zabiega o jego znajomość, a prezesowa po rozmowie z nim „rzewnie zapłakała” — i dopiero wtedy zauważyła jego „twarz niepospolitą”, „kształty posągowe”, podobne do „posągu gladiatora zwycięzcy”: „gdyby urodził się księciem — byłby imponująco piękny”.

Rozdział pogłębia obraz **upokorzenia i osamotnienia** Izabeli. Niemal wszyscy się od niej odsunęli — młodzi panowie traktują ją chłodno, „jakby lękając się, że (...) pociągnie ich do ołtarza” — a ona, kochająca świat salonów „na śmierć i życie”, „coraz mocniej gardzi ludźmi”, nie pojmując, że można odtrącić kobietę „tak piękną (...) dlatego tylko, że nie ma majątku”. Z dawnej „falangi” wielbicieli zostali jej tylko dwaj odpychający starcy — marszałek (kojarzący się jej z „oparzonym wieprzem”) i baron (jak „niewyprawna skóra”) — przez co „zdawało się jej, że już za życia rozpoczęło się dla niej piekło”. W tych chwilach, „jak topielec”, zwracała myśl ku Wokulskiemu, doznając ulgi, że „szaleje za nią człowiek niepospolity”. Lecz jej klasowe uprzedzenie stawia granicę nie do przekroczenia: gdyby był sławnym podróżnikiem czy amerykańskim milionerem, co „dziesięć lat mieszkał pod ziemią” — co innego, ale on jest „tylko kupcem, w dodatku galanteryjnym”, który nie umie po angielsku. Konkluduje, że taki człowiek mógłby być doradcą, przyjacielem, „nawet mężem” (gdy „spotykają ludzi straszne nieszczęścia”), lecz „kochankiem — (...) to byłoby po prostu śmieszne”: „najarystokratyczniejsze damy kąpią się w błotnych wannach; lecz bawić się w błocie mógłby tylko szaleniec”.

Kulminacją rozdziału jest **zawód w Łazienkach**. Gdy prezesowa, otwarcie popierająca Wokulskiego, zapowiada, że „zatrzyma go” na spacerze („nudzimy się, niech nas bawi”), Izabela — z lekkim rumieńcem — postanawia traktować go „z góry” („i ogień jest przyjemny (...), ale w



pewnym oddaleniu"). Lecz Wokulskiego w Łazienkach nie ma. Nie dopuszczając myśli, by mógł mieć „jakiś pilniejszy interes (...) aniżeli widzenie się z nią", panna czeka dwie godziny i wraca „rozniewana" („punktualność (...) powinna być obowiązkiem kupców!"). Wieczorem dowiaduje się od ojca, że Wokulski był na sesji u księcia, gdzie „przedstawił projekt olbrzymiej spółki" — a pan Tomasz, rozentuzjasmowany, liczy, że dzięki niemu „znowu stanie, jak powinienem", i zamierza sprzedać kamienicę. Urażona w dumie Izabela błędnie tłumaczy sobie nieobecność Wokulskiego: „ambitny spekulant", który „pomyślał o ożenieniu się z nią", by „wedrzyć się do salonów", a przekonawszy się, że i bez niej wciśnie się między panów, „ostygł w miłości". „Cóż za nędznik!" — chce zakazać Mikołajowi wpuszczać go za próg, lecz przypomniawszy sobie, że Wokulski „wcale nie zapraszał się do nich", rumieni się ze wstydu. (W salonach tymczasem huczy od pochwał Wokulskiego, a nawet Ochocki nazywa go „jedynym człowiekiem w Warszawie", z którym można rozmawiać o maszynach latających — „to numer".)

Rozdział śledzi dalej zawiłe reakcje Izabeli na sprawę klaczy i pojedynku. Dowiedziawszy się, że to Wokulski kupił konia barona, zakłada się z ciotką o szafirową bransoletę, że „baron nie dostanie klaczy". Gdy zaś Wokulski nie sprzedaje konia mimo oferowanych przez barona pieniędzy, Izabela konkluduje: „on jednakże nie jest tak nikczemnym" — i na wyścigach rozmawia z nim „bardzo łaskawie", choć zaraz robi sobie wyrzuty. Nienawiść do **barona Krzeszowskiego** (który niegdyś się do niej umizgał, a odtrącony, nazwał ją „starzejącą się panną, która wyjdzie za swego lokaja") czyni jej triumf na wyścigach tym słodszy. Lecz publiczny skandal barona — „otwarte nazwanie Wokulskiego jej wielbicielem" — jest dla niej „strasznym ciosem" (zabiłaby go, „gdyby to uchodziło"); z pomocą przychodzi jej Wokulski, wyzywając barona na pojedynek. W odruchu, który sama uznaje za „najgorsze wykroczenie przeciw swoim pojęciom", Izabela „w znaczący sposób ścisnęła Wokulskiego za rękę" — by zaraz tego żałować, lecz i przyznać, że „w tym Wokulskim jest coś", „szkoda tylko, że jest galanteryjnym kupcem".

Najmocniejszą sceną-kluczem jest **makabryczna noc przed pojedynkiem**, obnażająca potworną pychę Izabeli. Gdy ojciec, przerażony, że biegły strzelec baron może zabić „jedynego wykonawcę jego planów", zdradza, że Wokulski odrzucił przeprosiny, Izabela snuje przerażające rozważania. Najpierw lituje się nad nim jako możliwym „rozsądnym powiernikiem" domu, lecz wnet odzywa się w niej „rodowa pycha" i mściwa logika: jutro biją się o nią „dwaj ludzie, którzy ją śmiertelnie obrazili — Krzeszowski drwinami, Wokulski — ofiarami, jakie ośmielił się ponosić dla niej", a „za jej obrazę ujęła się sprawiedliwość boża". Konkluduje z zimną satysfakcją, że zginie zapewne ten, „który powążył się pannie Izabeli Łęckiej ofiarować pomoc pieniężną": „człowiek taki, jak kochanek Kleopatry, żyć nie może". Narrator dodaje miażdżący komentarz: „Gdyby Wokulski mógł w tej chwili zajrzeć w jej duszę, uciekłby z przestrawieniem i uleczyłby się ze swego obłędu". Mimo to przez noc kilka razy płacze nad „wiernym niewolnikiem, który swoje zbrodnie względem niej odpokutował śmiercią dla niej".

Rano wiadomość („Wokulski nietknięty, baron raniony w twarz!”) przyjmuje z mieszaniną zadowolenia (że baron ranny) i zdziwienia (że „opłakany przez nią Wokulski nie zginął”). Rozdział zamyka **ocieplenie** jej stosunku do Wokulskiego i powrót światowych łask. Przyznaje, że „o ileż mniej (...) doznałabym zawodów, mając rozumnego i energicznego przyjaciela” — choć słowo „przyjaciela” jej się nie podoba (kupiec „kwalifikował się tylko na doradcę i wykonawcę”). Uradowany ojciec, wróciwszy z powinszowaniem od Wokulskiego („dzielny człowiek, dżentelmen! szlachecka krew musi się odezwać”), snuje plany bliższych z nim stosunków i rywalizacji z księciem („kto wyjdzie lepiej: czy księżę na swoim adwokacie, czy ja na moim Wokulskim”). Izabela godzi się w duchu „przebaczyć mu jego stanowisko społeczne”: skoro adwokat bywa poufałym księcia, czemuż „kupiec (ach, jakie to niesmaczne!) nie mógłby zostać powiernikiem domu Łęckich?”. Znamienne, że w ciągu kilku dni dom Łęckich odwiedza więcej osób niż wcześniej przez miesiąc — wieść o pieniądzach i spółce przywraca im towarzyskie znaczenie (nawet damy, które „na wyścigach nie mogły poznać panny Izabeli”, przybywają teraz z wizytami).

Komicznym akcentem jest **list barona z zębem**: trzeciego dnia po pojedynku Izabela otrzymuje kosztowne pudełko i pojednawczy, błazeński list, w którym Krzeszowski przeprosza za „niedorzeczne złośliwości” i przesyła jej na pamiątkę „ząb, który mi wystrzelił Wny Wokulski” — „ten sam ząb, którym cię (...) gryzłem i już gryźć nigdy nie będę” (z prośbą, by odesłała go potem, bo chce nim „zmartwić” znienawidzoną żonę). Izabela, ułagodzona, odpisuje życzliwie i — uświadomiwszy sobie, że tylko dzięki Wokulskiemu baron prosi ją o przebaczenie — czuje dla kupca „jakby wdzięczność”. W tym nastroju snuje znamienne marzenie, obnażające jej narcyzm: wyobraża sobie Wokulskiego jako oddanego sługę-wielbiciela, który kupiwszy dobra ziemskie, lecz pozostawszy szefem zyskowej spółki, podźwiga majątek Łęckich, spełnia wszystkie jej zlecenia, „wyszukuje jej męża odpowiedniego znakomitości domu Łęckich”, a kochając ją „miłością idealną, więcej niż własne życie”, po jej śmierci zastrzeli się — „przez delikatność (...) o kilka grobów dalej”. Marzenie kończy się ustaleniem z ojcem zaproszenia Wokulskiego na obiad (Izabela: „przecież nawet wierną służbę dopuszczamy do niejkiej poufałości”).

## Rozdział XV — W jaki sposób duszę ludzką szarpie namiętność, a w jaki rozsądek

---

Rozdział przenosi się znów do **Wokulskiego** i jego wewnętrznej walki. Po otrzymaniu zaproszenia broni swojej miłości przed napomnieniami Rzeckiego: „Cóż ja robię złego, że się kocham?... Kochają się miliony ludzi (...), dlaczegoż mnie jednemu miałoby to być zabronione?” — dowodzi, że wszystko, co zrobił (majątek, zbliżenie do Izabeli, troska o jej byt), wynika z tego prawa, a społeczeństwo, „które nigdy nie troszczyło się o mnie”, nie ma prawa zarzucać mu szaleństwa, skoro właśnie ono pcha go do „pełnienia (...) obowiązków” wobec

setek ludzi. Podczas spaceru ku Wiśle rozgrywa się jednak słynny **dialog namiętności z rozsądkiem**. Nadzieja podszeptuje, że zaproszenie znaczy zgodę na małżeństwo; trzeźwy głos (przypominający Szumana) chłodno wylicza znikome szanse („na tysiąc znajomości ledwie jedna prowadzi do oświadczyń (...); przeciw [małżeństwu] ze dwadzieścia tysięcy szans”) i stawia dwa miazdzące pytania: czy Izabela w ogóle „może kochać kogokolwiek” (są kobiety „z defektem moralnym, niezdolne kochać nic (...) prócz swoich przelotnych kaprysów”), i czy pokocha właśnie jego — bo „najpiękniejszy lew jest wstrętnym dla krowy albo orzeł dla gęsi”: „unikaj samiec innego niż twój gatunku”. Wokulski rozpoznaje w sobie „dwu ludzi — jednego rozsądnego, drugiego wariata” — i na myśl o upokorzeniu (złożeniu „wielkiego kapitału uczuć” istocie niezdolnej go odwzajemnić) czuje „pragnienie śmierci (...) tak zupełnej, żeby nawet resztki jego popiołów nie zostały”.

Uspokoiwszy się, Wokulski zajmuje się sprawami praktycznymi (telegramy, wybór stroju na obiad) i pisze do starego Szlangbauma, by ten „pożyczył mu swego nazwiska” do nabycia kamienicy Łęckich (lepiej kupić „pod cudzą firmą”, by nie posądzono go „o zamiar robienia im łaski”). Pod tą obojętną powłoką „kipiała burza”: rozsądek głośno przekonuje, że obiad „niczego nie oznacza”, a nadzieja „cicho szeptała, że — może jest kochanym”. Rozdział zamyka medytacja na balkonie, przy pomniku **Kopernika**: rozważając, że astronomowi towarzyszyli niegdyś tylko obojętni tragarze, a dziś „tyle go obchodzi statua w Warszawie”, co Wokulskiego „piramida na jakiejś Wedze”, bohater odrzuca dawne ideały nauki, sławy i służby społeczeństwu na rzecz osobistego szczęścia: „Trzy wieki sławy oddam za chwilę szczęścia i dziwię się tylko mojej głupocie, że kiedyś inaczej myślałem”.

Widok przechodzącego ulicą Ochockiego podsuwa mu na poły przesadną nadzieję: „czy mi to nie zapowiada, że on będzie miał sławę Kopernika, a ja — szczęście?”. Z otuchą, lecz i rozpaczą rozważa warianty (gdyby Izabela go odtrąciła, weźmie utrzymankę „o podobnych rysach” i posadzi ją w teatrze obok łoża Łęckich), aż uświadamia sobie, że „poszanowanie cudzej osobistości i swobody” było w nim „tak wielkie, że przed nim ugiął się nawet jego obłęd”. Przygotowania do obiadu Prus okrasza komiczną sceną z **fryzjerem Fitulskim** — pięknym pyszałkiem o „złotych spinkach przy brudnych mankietach”, który plotkuje o kongresie berlińskim, o swym udziale w pojedynku i o kobietach, oferując Wokulskiemu znajomość z „niewymagającymi baletniczkami”. Wokulski, rozważywszy z autoironią „wielkiej doniosłości pytanie — frak czy surdut?”, wybiera frak („jeżeli zdobyłem się na takie błazeństwa, jak własny powóz i koń wyścigowy”) i jedzie do Łęckich „bardzo błądy i bardzo spokojny, jak człowiek, który idzie naprzeciw niebezpieczeństwu”.

## Rozdział XVI — „Ona” — „on” — i ci inni

Rozdział maluje równoległe stany ducha bohaterów przed obiadem. **Izabela** wraca do domu „rozgniewana i bardzo rozmarzona”, po dotkliwym zawodzie: znany jej z Paryża wielki włoski tragic **Rossi** — jej dawny „ideał”, w którym kochała się i który na pożegnanie ofiarował jej *Romea i Julię* z dedykacją — przyjechał do Warszawy, lecz mimo zapowiedzi nie zjawił się u hrabiny, gdzie czekała nań cztery godziny w pieczołowicie dobranej sukni. Sięgnąwszy po egzemplarz *Romea i Julii*, marzy, że Rossi mógłby wejść tu, gdzie ujrzałby, jak „wygląda jak bóstwo”. Kluczowe jest jej spojrzenie na Wokulskiego: na myśl o nim „wzruszyła ramionami” — „galanteryjny kupiec po Rossim (...) wydał jej się tak śmiesznym, że (...) ogarnęła ją litość”; wyobraża sobie, że gdyby znalazł się u jej nóg, „bawiąc się nim jak wielkim psem”, czytałaby mu skargę Romea. Odnajdując między sobą a Rossim „dziwne podobieństwo” (oboje skrępowani „nazwiskiem” i „zawodem”), wzdyga się jednak na myśl o małżeństwie z aktorem („przyszywać mu guziki do nocnych koszul?”) i dochodzi do okrutnie protekcyjnego wniosku: Wokulski idealnie nadawałby się na **powiernika**, któremu zwierzałaby się ze swej tragicznej, beznadziejnej miłości do innego — „kupiec galanteryjny w roli powiernika!... Można by zresztą zapomnieć o tym kupiectwie”. Tymczasem **pan Tomasz**, zacierając ręce, snuje chciwe finansowe rojenia: zamierza powierzyć Wokulskiemu pieniądze ze sprzedaży kamienicy i — jako ten, „który się na tym rozumie” — wymóc na nim lichwiarskie „sto za sto”, licząc, że kupiec „zmięknie” i wykaże dochód, „o jakim mu się nie śniło”.

Sam **obiad** to scena-klucz pierwszego bliższego spotkania. Najpierw pan Tomasz (pozuający na czytelnika ekonomii Supińskiego) finalizuje z Wokulskim umowę: odda mu pieniądze ze sprzedaży domu, a Wokulski gwarantuje „dwudziesty procent” (w duchu zauważając, że nikomu innemu nie dałby więcej niż piętnaście, a kamienica nie warta więcej niż dziewięćdziesiąt tysięcy); chciwy pan Tomasz, biorąc kupca za „filuta”, który „sam ma sto procentów”, godzi się i każe doliczać nadwyżki do kapitału. Przy stole Wokulski jest nieoczekiwanie „tak spokojny, że aż go to przerażało” — „opuścił go szał miłości”, a on z chłodnym dystansem oblicza nawet wartość sukni i kolczyków Izabeli. W przypływie przekory popelnia umyślne uchybienia etykiety (je sandacza nożem), co przeraża Florentynę, lecz pan Tomasz, by go nie urazić, czyni to samo. Z tego wynika popisowa „**lekcja o nożu do ryb**”: na zarzut łamania form Wokulski odpowiada z wyższością, że etykieta to tylko „przeniesienie zwyczaju” tam, gdzie nie pasuje, i że widywał „dystyngowanych lordów”, którzy „baraninę z ryżem jedli palcami, a rosół pili prosto z garnka”. Ta swoboda człowieka, który „jadał baraninę z lordami”, sprawia, że Wokulski „urósł w wyobraźni” Izabeli — patrzy nań „prawie z podziwem”, marząc, że to „jakiś Harun-al-Raszyd ucharakteryzowany na kupca”.

Punktem kulminacyjnym jest **rozmowa sam na sam w salonie** (pan Tomasz, by się zdrzemnąć, wymyka się pod pozorem odpisania na list, który sam do siebie napisał). Wokulskiemu „krew uderzyła do głowy”, gdy Izabela patrzy na niego „dziwnym wzrokiem,

jakby go chciała przeniknąć do dna" — „to była osoba rozumna i czująca". W jej duszy ścierają się sprzeczne uczucia („kupił serwis", „znieważył mnie" vs „kocha mnie", „jadał baraninę z lordami"), lecz na dnie „nurtuje potrzeba zwierzenia się komuś (...) ze swej tragicznej miłości do wielkiego aktora": „on będzie moim powiernikiem!". Pochyla się ku niemu „jakby chciała go pocałować w czoło", po czym cofa się z bezprzyczynowym wstydem — a Wokulski, dla którego ta gra twarzy jest jak „fallowania zorzy północnej" i „echa lepszego świata", myśli: „błogosławieni nie doznają wyższego szczęścia aniżeli ja w tej chwili". Rozmowa schodzi na pojedynek i przeprosiny barona — Izabela wyznaje, że ją „bardzo zaniepokoił", a baron pisze o Wokulskim „z wielkim szacunkiem". Cała scena niesie okrutną ironię: ocieplenie Izabeli zmierza ku uczynieniu z Wokulskiego powiernika jej miłości do innego.

Rozmowę wieńczy znamienna wymiana: Izabela dziękuje Wokulskiemu, prosząc, by „użył jej sumieniu, żądając czegoś, co by zrównoważyło pańską... uprzejmość" (odurzony, nie zauważa, że ryzyko życia w pojedynku nazywa jedynie „uprzejmością"). Wokulski prosi tylko o jedno — by „mógł służyć pani zawsze i we wszystkim". Gdy panna broni się, że to „podstęp", odpowiada z pokorą rycerza: „spełnienie zleceń pani byłoby dla mnie pewnym rodzajem nobilitacji". Izabela symbolicznie nadaje mu tę rolę: „dawać panu mojej szarfy nie potrzebuję; pan sam wziął ją gwałtem. A odbierać?... już za późno". Wokulski wychodzi w stanie szczęścia, obiecując częste wizyty i wspólny wyjazd do Paryża.

## Rozdział XVII — Kielkowanie rozmaitych zasiewów i złudzeń

Wracając do domu w radosnym spokoju, Wokulski rozpamiętuje obiad i nie znajduje w zachowaniu Izabeli ani śladu niechęci — „traktowała go jak równego sobie i jak przyjaciela". Dokonuje całkowitej rewizji swego stosunku do arystokracji: „byłem niesprawiedliwie uprzedzony do wielkich panów (...); poznawszy w nas uczciwe serca, przygarniają do siebie". Pod wpływem szczęścia ogarnia go „wielka życzliwość", rozszerzająca się kręgami na dom Łęckich, jego sklep, wszystkich kupców, „cały kraj i całą ludzkość" — każdy przechodzień wydaje mu się krewnym, któremu chciałby pomóc „w jej imieniu". Wyrzuca sobie dawny egoizm i postanawia, wzorem Ochockiego, „pracować dla pomyślności ogółu", gotów stać się dla Izabeli nawet „świętym męczennikiem". (Tytułowe „złudzenia" sygnalizują jednak, że ta euforyczna, pozytywistyczna odnowa wyrasta na gruncie miłosnego obłędu.)

Pierwszym „zasiewem" jest scena z inkasentem **Obermanem**, który zgubił ponad czterysta rubli i — jako że firma „tracić nie może" — ma je oddać z całego dorobku życia (pięciuset rubli oszczędności, przeznaczonych na medyczne studia syna). Wokulski publicznie potwierdza, że Oberman zapłaci, lecz na osobności obiecuje mu zwrot pieniędzy pod warunkiem milczenia („inaczej wszyscy zechcą gubić pieniądze"). Niezadowolony Rzecki ostrzega proroczo: „byłeś litościwy zawsze i aż zanadto (...), i przekonasz się, że dla ciebie ludzie takimi nie będą" — na co

Wokulski, w euforii, odpowiada: „Już są. Mam [ich współczucie] bez prób”. W domu, zamiast marzyć, ćwiczy angielski i snuje dalsze plany dobroczynne: nazajutrz odwiedzi i wydobędzie z długów barona Krzeszowskiego, odpisuje też na zaniedbany list dawnej magdalenki **Marii** (która, nauczysz się szyć, prosi już tylko o pracę, „bo ludzi, co potrzebują gorzej niż ja (...), w Warszawie nie brak”). Rozdział kończy przybycie odmienionego, „czerstwego” furmana **Wysockiego**, którego Wokulski wzywa w jakiejś sprawie (przy jego mieszkaniu jest wolny pokój) — kolejne ogniwo rozrastającej się sieci jego pomocy.

Wokulski organizuje rehabilitację **Marii**: wynajmuje wolny pokój u Wysockich, by zamieszkała tam jako szwaczka, stołowała się u nich i miała dyskretny nadzór. Gdy Wysocki bierze ją za kochankę Wokulskiego, ten ucina nieporozumienie: „Ja jej widywać nie potrzebuję. Byle była porządna, schludna, pracowita”. Sama Maria, odmieniona (czarno ubrana, zdrowa, nieśmiała, ze łzami wstydu), przychodzi z wizytą; Wokulski daje jej pokój, maszynę do szycia, rekomendacje do składu bielizny i pieniądze „na zagospodarowanie się” (pożyczkę do zwrotu ratami) — pozytywistyczny gest podźwignięcia upadłej kobiety przez pracę.

Inaczej kończy się **wizyta u barona Krzeszowskiego**, do którego Wokulski idzie z zamiarem spłacenia jego długów (bo „przeprosił pannę Izabelę”). Wrogi lokaj **Konstanty** (świadek pojedynku) nie wpuszcza go pod pozorem ciężkiej choroby pana, choć dwa stoliki karciane i niedopałki świec przeczą tej wersji. W rzeczywistości baron, lekko tylko ranny, siedzi z hrabią Licińskim i — wyjaśnia mu swoją niechęć do Wokulskiego: ten „nie jest smaczny”, „to nie dżentelmen”, bo zarobił dwieście rubli na klaczy, którą jakoby kupił od baronowej tylko za sześćset. Ta opinia opiera się jednak na **kłamstwie Maruszewicza** (Wokulski zapłacił pełne osiemset, a różnicę przywłaszczył sam szachraj). Znamiennie broni Wokulskiego prosty Konstanty: „wolałbym wierzyć takiemu, co mi daje dwa ruble za wizytę, aniżeli takiemu, co ode mnie po trzy ruble pożycza” — lecz baron, mający „słabość” do oddanego mu „jak pies” Maruszewicza, wyrzuca sługę za drzwi. Oszczerstwo działa: hrabia Liciński, urażony, że Wokulski „wdaje się z Maruszewiczem”, chłodnie ku niemu — „zbogacony parweniusz! Przedwcześnie zachwycaliśmy się nim”. Rozdział zamyka nadejście dwóch listów: od pani Meliton („Dziś w Łazienkach o zwykłej godzinie”) i od adwokata (zaproszenie na jedenastą na konferencję w sprawie kupna domu Łęckich) — co zapowiada równoległe spotkanie z Izabelą i finalizację zakupu kamienicy.

U adwokata finalizuje się **zakup kamienicy**: oficjalnym nabywcą (podstawioną „firmą”) zostaje stary **Szlangbaum**, który ma kupić dom „za dziewięćdziesiąt tysięcy i przez licytację”, a aktem notarialnym zaciąga tę sumę od Wokulskiego pod zastaw kamienicy — gdy do 1 stycznia 1879 jej nie zwróci (i nie zwróci), nieruchomość przechodzi na Wokulskiego. Wychodzi też na jaw, że nieświadoma baronowa Krzeszowska pożycza pieniądze (na 8% u Szlangbauma), by konkurować na licytacji — bo baron „położył areszt” na jej własnych funduszach. Adwokat sygnalizuje przy okazji ochłodzenie hrabiów wobec spółki (zwłaszcza Licińskiego — skutek

oszczerstwa Maruszewicza), na co Wokulski wzrusza ramionami: „wcale bym się nie gniewał, gdyby panowie ci nie przystępowali do spółki”.

Spóźniony Wokulski dopada Łęckich nad sadzawką w **Łazienkach**, gdzie karmią łabędzie. Izabela, z rumieńcem, zabiera go na spacer w stronę Pomarańczarni („chyba ciocia nie wątpi, że w towarzystwie pana nie spotka mnie nic złego”). Prus daje tu liryczny obraz idylli — Wokulskiemu zdaje się, że „odjechał z ziemi bystry prąd czasu” i że „już zawsze będzie chodził z panną Izabelą po oświetlonej łące”. Lecz cała rozmowa Izabeli obraca się wokół **Rossiego**: panna rozplywa się nad „genialnym tragikiem”, oburza się, że Warszawa „nie ocenia go jak należy” (gdyby była publicznością, „zasypałaby go wieńcami”), a Wokulski — by sprawić jej przyjemność — gwarantuje, że na najbliższym przedstawieniu Rossi „może mieć [oklasków i wieńców] raczej za wiele aniżeli za mało”. W tej okrutnej ironii bohater obiecuje zaaranżować triumf swemu rywalowi. Rozmowa o artystach, którzy „bez sławy i hołdów nie mogą żyć”, schodzi na pytanie, czy „są szczęścia, które warto opłacić krótszym życiem” — Wokulski dorzuca znacząco: „i nieszczęścia, których warto uniknąć w ten sposób”. Tymczasem hrabina cynicznie zachęca zaloty Wokulskiego (z myślą o swojej ochronce: „moja ochrona będzie pierwsza w mieście”), a pan Tomasz, dręczony klasową zawiścią („skąd mu ten biały cylinder?”), kryje gorycz pod uśmiechem i znów rozprawia o spodziewanych zyskach z kamienicy.

Po odjeździe Łęckich Wokulski, ogarnięty żalem („Tak krótko!”), z autoironią konstatuje absurd swoich zabiegów („Po co ja się pnę między ludzi, którzy (...) śmieją się z niezgrabnych wysiłków?”). Zaraz jednak przystępuje do spełnienia obietnicy: wzywa inkasenta **Obermana** i — za paczkę pięciorubłówek — zleca mu zorganizowanie **płatnej owacji dla Rossiego** („na balkonie i paradyzie... woźnemu wieniec, bukiet przez orkiestrę”). Bohater aranżuje więc triumf swemu rywalowi w sercu Izabeli.

## Rozdział XVIII — Zdumienia, przywidzenia i obserwacje starego subiekta

Rozdział, utrzymany w komicznym tonie, oddaje punkt widzenia **Rzeckiego**, dla którego nastąpiła „epoka niepokojów”. Ten sam Wokulski, który jeździł do Bułgarii i bawił się w pojedynki, nabrał nagle „nadzwyczajnego gustu” do teatru — i to włoskiego, choć „nie rozumiał po włosku ani wyrazu”. Prus daje serię groteskowych scenek: stary Szlangbaum przez pół dnia goni nieuchwytnego Wokulskiego (który rozwozi Rossiemu wazon i kwiaty), tocząc po drodze rozpaczliwe targi z dorożkarzami; znakomity adwokat księcia zostaje przez Wokulskiego wprost odprawiony („muszę być w teatrze”); a wreszcie cała obsługa sklepu — Oberman, Zięba „z wieńcami dla Rossiego” — wymyka się wieczorami do teatru. Sam Rzecki, otrzymawszy od



przyjaciela bilet i kosztowne album do wręczenia Rossiemu „po trzecim akcie”, musi (by nie zrobić Stachowi przykrości) pójść na przedstawienie.

Tam rozgrywa się jego **mortyfikujący występ**: pomyłony przez woźnego o galerię (gdzie bywał „za dawnych czasów”), w dziesięcioletnim cylindrze i przedpotopowym surducie staje się pośmiewiskiem eleganckiej publiczności, która bierze go za „szlachcica z Wołynia” i drwi z jego stroju, breloków i albumu pod pachą („może bigos albo pneumatyczna poduszka”). Oblany potem, w pierwszym rzędzie krzeseł odkrywa, że to jego obserwują lornetki z łóż, i o mało nie ucieka — aż ratuje go znajomy fabrykant pierników **Pifke**, z którym zamienia się miejscami i któremu spycha kłopotliwy obowiązek wręczenia Rossiemu albumu.

Z miejsca w ósmym rzędzie Rzecki czyni kluczowe **obserwacje**: Wokulski (w czwartym rzędzie) nie patrzy na Rossiego, lecz „jak zamagnetyzowany” wpatruje się w łóż Łęckich; Izabela zaś, obojętna, gdy Rossiego nie ma na scenie, „rozmarzonymi oczyma zdawała się pożerać aktora”, ilekroć ten wychodził. Co więcej — gdy twarz Izabeli wyraża zachwyt, Wokulski pociera ręką głowę, a wtedy „jakby na komendę” z galerii i paradyżu zrywają się brawa „Brawo Rossi!” (Rzecki rozpoznaje nawet głos Obermana). „Czyżby Wokulski dyrygował klakierami?” — myśli, lecz odpędza podejrzenie. Mimo wszystko stary subiekt na poły pojmuje prawdę: „Wokulski tak dziwnie przypatrywał się łóży (...). Ta panna, zimna jak lód, dziś szaleje za Rossim”.

Chcąc zagłuszyć ten domysł, Rzecki idzie do restauracji i wypija siedem kufli piwa; gdy muzyka zagra *Marsylianke*, wspomnienie Węgier i **Augusta Katza** wyciska mu łzy i wybiega, by na ulicy stwierdzić: „czyżbym się upił?”. Po komicznym powrocie do domu śni dręczący **koszmar**: Izabela wylatuje z łóży „jak ptak” na gmach teatru, a Wokulski, próbując lecieć za nią, „runął z wysokości dziesięciu pięter na ziemię” (przecucie jego zguby); w drugim śnie Pifke wręcza Rossiemu zamiast albumu pamiątkowe „nankinowe spodnie z fartuszkem” Rzeckiego, ogłaszając je darem Wokulskiego i Rzeckiego — ku powszechnemu śmiechowi. Nazajutrz, z kaczem i wstydem (najbardziej trwoży go, że „nie chciało mu się iść do sklepu”), spóźniony Rzecki ukrywa się przy kantorku, gotów „podać się do dymisji” za swój upadek. Wtedy Klejn przynosi mu otwarty, oznaczony „bardzo pilno” **list anonimowy adresowany do Wokulskiego**: piszący („życzliwa”) nazywa kupca „głupim czy nikczemnym”, ostrzega, że kupowany dom „stanie się grobem (...) nieuczciwie zdobytego majątku”, i oskarża, że chce on „wydrzeć” szlachetnej damie kamienicę, „gdzie zmarła jej ukochana córka”, płacąc „dziewięćdziesiąt tysięcy za kamienicę niewartą siedemdziesięciu”. To groźba **baronowej Krzeszowskiej**, która — wbrew tajemnicy — przejrzała, że prawdziwym nabywcą jest Wokulski.

Klejn po cichu potwierdza Rzeckiemu, że Wokulski kupuje dom Łęckiego (przez podstawionego Szlangbauma, za dziewięćdziesiąt tysięcy), a anonim pochodzi zapewne od baronowej. Zaniepokojony Rzecki próbuje wybadać Henryka Szlangbauma, lecz scena obnaża wzajemną



podejrzliwość podszytą **antysemityzmem**: Żyd, sądząc, że i Rzecki go „posądza i śledzi” („dziś wszyscy huzia na Żydów”), zapiera się wiedzy, a Rzecki kwituje: „Coś wie, tylko gadać nie chce. Zawsze Żyd”. Boli go zarazem, że „Stach ma więcej zaufania do Żydów aniżeli do mnie”. Gdy Wokulski wpada do sklepu, urażony Rzecki odpowiada mu „półgębkiem”, przez co i przyjaciel odchodzi „z goryczą”: „Wszyscy odwracają się ode mnie... nawet Ignacy... Ale ty mi to wynagrodzisz!” (patrzac ku Alei Ujazdowskiej). Wokulski coraz bardziej się izoluje.

Wątek wzbogaca **powrót Mraczewskiego**, który przyjechał z **Suzinem**. Przynosi dwie ważne wiadomości. Po pierwsze — Wokulski odrzucił niezwykle korzystną propozycję: Suzin chciał go gwałtem zabrać do Paryża na wielkie zakupy, gdzie miałby „książęce życie” i zarobiłby „z dziesięć tysięcy rubli”, lecz kupiec, choć i tak wybiera się na wystawę, odmówił („ma tutaj jakieś interesa” — w istocie chce jechać z Łęckimi). Po drugie — odsłania tragiczny los **pani Stawskiej**: piękna sąsiadka z kamienicy, którą Rzecki upatrzył był na żonę dla Wokulskiego, ma męża, który przed czterema laty „uciekł za granicę”, niesłusznie posądzony o zabójstwo, i przepadł w Ameryce bez wieści — ona zaś, „ani panna, ani wdowa”, utrzymuje dom „z haftu, z gry na fortepianie, z lekcyj angielskiego”. Rzecki, nie mogąc pojąć, by Wokulski wyrzekał się dziesięciu tysięcy i wiązał z bankrutem Łęckim „dla kobiety”, uparcie trzyma się teorii, że przyjaciel „wklepał się w grubą (...) polityczną awanturę”. Noc przynosi mu kolejny proroczy koszmar (Wokulski wbiega za Izabelą do walącego się domu i znika), a nazajutrz stary subiekt zrywa się „jak sprężyna”, by śledzić licytację kamienicy.

Cała druga połowa rozdziału to komiczny obraz **dnia licytacji**, którą Rzecki podgląda, dręczony wyrzutami sumienia, że porzucił sklep (jego „sumienie” przybiera postać brodatego olbrzymia: „pan jesteś taki kupiec jak ja baletnik”). Pod gmachem sądu (dawnym pałacem Paca) gromadzą się tłumy starozakonnych, a pan Tomasz przybywa „nie jak bankrut, któremu licytują kamienicę, ale jak milioner”, pełen złudzeń — opowiada adwokatowi, że śniło mu się, iż dom „poszedł za sto dwadzieścia tysięcy”, i tyle właśnie spodziewa się utargować. Obecność starego Szlangbauma utwierdza Rzeckiego w podejrzaniach. Przez salę toczącego się procesu o oszustwo i scenę z patetycznie lamentującą baronową (której znużony adwokat woli „efektowną” sprawę o zabójstwo) Rzecki trafia do cukierni, gdzie podsłuchuje **mechanizm sfingowanej licytacji**: zgarbiony Żyd (Szlangbaum) wynajmuje za kilka rubli „okazałego” katolika-statystę, by ten podbił kamienicę „za osiemdziesiąt tysięcy”. Szukając spokoju w kościele Kapucynów, Rzecki dostrzega z jednej strony klęczącą baronową (modlącą się zapewne, „żeby dom Łęckiego poszedł za sześćdziesiąt tysięcy”), z drugiej — pana Tomasza (proszącego o sto dwadzieścia tysięcy) — i z ironią rozważa, „w jaki sposób dobry Bóg zadowolni sprzeczne żądania” obu stron. Rozdział urywa się w chwili, gdy ruszający tłum oznajmia początek **licytacji**, a podstawiony „okazały pan” przepycha się ku sali.

W sali licytacyjnej (z trzema komornikami za stołem w kształcie rogała) rozgrywa się satyryczna scena. Wokół obu zwaśnionych stron krążą komiczni **naganiacze**: „jegomość w

szafirowych okularach z miną zakrystiana" i drugi „z fizjognomią łajdaka” — proponujący, za procent i „dwadzieścia rubelków na koszt”, to podbicie ceny domu (panu Tomaszowi), to jej obniżenie (baronowej), wzajemnie się przy tym oczerniając. Najważniejsze są jednak podsłuchane przez Rzeckiego **plotki żydowskich faktorów** o Wokulskim: jeden uznaje interesy Łęckiego za „niepewne”, lecz „pan Wokulski, no, to wielki interes” — i dorzuca proroczo: „ona jest głupia i Łęcki głupi (...), i oni zgubią tego Wokulskiego, a on im nie da rady”. Rzeckiemu „pociemniało w oczach”: „nawet przy licytacjach mówią o Wokulskim i o niej... i przewidują, że go zgubi”. Po obrazie wytrawnych spekulantów wyczekujących okazji rozpoczyna się licytacja kamienicy (z trzema oficynami i ogrodem), do której staje czterech licytantów — w tym podstawieni przez Szlangbauma „okazały pan” i „zniszczony Żydek” — podczas gdy pan Tomasz na przemian błednie i fioletowieje, a baronowa raz po raz wacha flakonik.

Licytacja wspina się przez podstawione oferty (baronowa, zaszlochawszy przy siedemdziesięciu tysiącach, opuszcza salę wsparta na Maruszewiczu) aż do **dziewięćdziesięciu tysięcy** — za które kamienicę zdobywa Szlangbaum (czyli Wokulski). Pan Tomasz, zamiast cieszyć się z trzydziestu tysięcy zysku po spłacie długów, w zaślepieniu obwinia „Żydów i adwokatów”, że „stracił trzydzieści tysięcy”, bo dom „mógł pójść za sto dwadzieścia”. Rzecki wraca przekonany, że choć Szlangbaum kupił dom za przepowiedziane dziewięćdziesiąt tysięcy, „Szlangbaum to przecie nie Wokulski (...); z tą panną Izabelą farsa, plotki” — wciąż nie chce uwierzyć w prawdę.

## Rozdział XIX — Pierwsze ostrzeżenie

W sklepie **Mraczewski** alarmuje Rzeckiego nową, dramatyczną wieścią: Suzin, jadący przez Berlin do Paryża, oferuje Wokulskiemu wspólną podróż i udział w wielkich zakupach, na których kupiec zarobiłby „nie dziesięć, ale **pięćdziesiąt tysięcy** rubli” — a Wokulski odmawia, nie wiedząc nawet, „kiedy pojedzie”, czym śmiertelnie obraża dobroczyńcę. Gdy Klejn przynosi błękitny list od Izabeli, Rzecki, składając rachunek (kamienica 90 tysięcy + utracone 50 tysięcy = „sto czterdzieści tysięcy”, plus powóz, wyścigi, datki, owacje dla Rossiego), nie może już zaprzeczyć prawdzie i postanawia rozmówić się z przyjacielem.

Następuje kluczowa konfrontacja. Wokulski daje Rzeckiemu **list Izabeli** — która dziękuje za „prześliczny wieniec” (ze szmaragdami) dla Rossiego, zaprasza na obiad „dla naradzenia się nad pożegnaniem Rossiego” i potwierdza wspólny wyjazd do Paryża, „gdyż bez miłego Pańskiego towarzystwa podróż straciłaby dla mnie połowę wartości”. Na trzeźwy zarzut Rzeckiego, że „dla przyjemności podróżowania z panną Łęcką (...) nie rzuca się w błoto pięćdziesięciu tysięcy”, Wokulski wybucha buntowniczą **deklaracją prawa do osobistego szczęścia** — odrzuceniem pozytywistycznego nakazu poświęcenia: „dajcież mi raz spokój z tym waszym ogółem!... Co ja robiłem dla niego, o tym wiem, ale cóż on zrobił dla mnie! (...)

Chcę nareszcie raz coś zrobić dla samego siebie (...). Własne szczęście — to dziś mój obowiązek... inaczej... w łeb bym sobie palnął". Rzecki odpowiada przenikliwym „**pierwszym ostrzeżeniem**": owacje dla Rossiego to „kasa oszczędności (...) najmniej pewna", a on sam, choć uchodzi za naiwnego, dobrze zna miłość — „przez kilka lat kochałem się jak półgłówek, a tymczasem moja Heloiza romansowała z innymi" — i wie, że „wkładamy zbyt dużo serca w zabawę nazywaną miłością". Ostrzega proroczo: „w podłej zabawie nie angażuj serca, bo ci je w asystencji lada chłystka oplują (...). Bodajbyś (...) lepiej nie doczekał!".

Rozmowę przerywa przybycie **pana Tomasza**, którego z upału i irytacji dotyka apoplektyczny atak (krwią nabiegłe oczy, sine plamy). Wokulski pielęgnuje go „z synowską troskliwością" — co chory kwituje znamiennie: „podobasz mi się w tej roli siostry miłosierdzia. Bela nie potrafiłaby zrobić delikatniej (...); ona stworzona do tego, ażeby jej usługiwano" (pierwsza zapowiedź niezdolności Izabeli do opieki). Pan Tomasz, nie wiedząc, że to Wokulski stoi za zakupem, gorzko narzeka, że „podły Żyd, lichwiarz" Szlangbaum sprzedał mu dom za jedyne dziewięćdziesiąt tysięcy (zamiast wyobrażonych stu dwudziestu). Wokulski zaś dokonuje **sekretne subsydium**: obiecuje od trzydziestu tysięcy gotówki nie sześć, lecz dziesięć tysięcy rubli rocznie — niemożliwe trzydzieści trzy procent, które w istocie dopłaca z własnej kieszeni — a wzruszony pan Tomasz wykrzykuje, że „wyraz kupiec jest dziś synonimem wielkoduszności (...), bohaterstwa".

Wchodzi wówczas **Henryk Szlangbaum**, dotknięty do żywego antysemitkami obelgami pana Tomasza, i w scenie obrony godności oświadcza, że jego ojciec, „syn tego »podłego« lichwiarza", natychmiast odstąpi dom za dziewięćdziesiąt, a nawet siedemdziesiąt tysięcy — by dowieść, że nikogo nie oszukał. Po wyjściu pana Tomasza (z przypomnieniem o jutrzejszym obiedzie) rozdział przenosi się do domu Łęckich. Tam **Izabela**, mimo udawanego chłodu wyczekująca wieści, przyjmuje wiadomość o „ruinie" z lodowatym opanowaniem, a uwagę ojca o tym, że tylko Wokulski mógłby się nią „uczciwie zaopiekować", gdy on umrze, zbywa pytaniem o „rolę", jaką mu przeznacza („doradcy... przyjaciela domu... opiekuna"). Komiczna scena z „procentem" (Izabela nie pojmuje, że dziesięć tysięcy od trzydziestu to lichwiarskie trzydzieści trzy procent — czyli że Wokulski ich dopłaca) obnaża finansową naiwność Łęckich. Uwolniona od trosk dzięki niewidzialnemu wsparciu Wokulskiego, Izabela wraca w myślach do matrymonialnych rachub — planując paryską podróż i wybór „majątnego, niestarego, niebrzydkiego" epuzera, wciąż jednak z wykluczeniem „parweniusza".

Wieczorem zjawia się jednak wierzyciel **Szpigelman**, dopominający się ośmiuset rubli, i w rozmowie z nim Izabela (która chce „raz dowiedzieć się prawdy") niechcący odsłania rodzinny sekret: lichwiarz wyśmiewa jej zapewnienie, że ojciec ma „dziesięć tysięcy rocznie" od trzydziestu tysięcy — „takiego procentu nigdy nie widziałem; od trzydziestu tysięcy pan hrabia może mieć trzy tysiące, i to na niepewnej hipotece". Tak Izabela uzyskuje pierwszy ślad prawdy, że ktoś (Wokulski) dopłaca im z własnej kieszeni. Wzburzona, daje słowo, że nazajutrz „wszyscy

będą spłaceni co do grosza", i wymusza prawdę od ojca. Pan Tomasz przyznaje, że długów jest więcej (pięć–sześć tysięcy, w tym wykupione w marcu weksle) i że wszystko „załatwi mu poczciwy Wokulski”.

Kluczowe są **rewelacje o konkurentach** Izabeli: zganiwszy córkę, że zdradziła Szpigelmanowi „źródło dochodów”, pan Tomasz wyjaśnia, że nawet baron i marszałek „nie mieliby reputacji milionerów (...), gdyby znano wszystkie ich sekreta” — baron „utrzymuje spółkę z lichwiarzami”, a fortuna marszałka „urosla głównie ze szczęśliwych pogorzeli (...) i z handlu bydłem w czasie wojny sewastopolskiej”. Tak okazuje się, że jej „dystygowani” zalotnicy dorobili się majątku na lichwie, oszustwach asekuracyjnych i wojennym spekulantwie, podczas gdy uczciwy Wokulski pozostaje „parweniuszem”. O samym Wokulskim ojciec mówi z rozrzewnieniem i wdzięcznością („najszlachetniejszy człowiek (...); Bóg mi go zesłał”), płacząc, że w nieszczęściu wszyscy ich opuścili — „bo myślą, żeśmy już wszystko stracili”.

Rozdział zamyka wizyta **hrabiny**, która gratuluje ocalonego posagu (cynicznie radząc, by Izabela „modliła się za zdrowie tego Żyda”) i przynosi nową wieść: powrócił z dalekiej podróży (przez Chiny, z Anglii) **Kazimierz Starski** — niegdyś odtrącony zalotnik Izabeli, przystojny, lecz zadłużony wnuk prezesowej Zasławskiej, jadący do babki po majątek. Hrabina, uznawszy go za „wyborną partię”, zachęca do wizyty nazajutrz; na wieść o jego powrocie Izabela się rumieni i ożywia. Tym samym do gry wkracza nowy rywal — dawna miłość Izabeli.

Hrabina forsuje plan letniego pobytu na wsi, by zbliżyć Izabelę ze **Starskim** („najłatwiej będzie przywiązać go, a nawet... zobowiązać”). W rozmowie z Florentyną Izabela rozważa małżeństwo z Kaziem, lecz kuzynka przypomina jej dawne słowa o Wokulskim („ścigał cię spojrzeniami, osacza”). Izabela lekceważy tę obawę: poznawszy Wokulskiego „trochę lepiej”, uważa go za nieszkodliwego wielbiciela, któremu „wystarcza spojrzenie, uścisk ręki” i który będzie ją „uwielbiał nawet (...) gdybym wyszła za mąż”, a jego zabiegi tłumaczy „interesem” (pożyczką trzydziestu tysięcy od ojca). Mimo przestróg Florentyny („tyś to powiedziała, że ci ludzie umieją (...) usidlać, (...) łamać”) oskarża kuzynkę, że „gwałtem chce zrobić demona z kupczyka”.

Nazajutrz, gdy wierzyciele (Szpigelman) nachodzą dom, ojciec każe wezwać Wokulskiego, by uregulował ich rachunki — co Izabeli uświadamia z niesmakiem, że „naprawdę nie możemy obejść się bez tego człowieka”. Wśród trzech porannych listów (od ciotki — z planami Starskiego i konsylium lekarzy dla ojca; od Wokulskiego — zapowiedź wizyty) przychodzi kluczowy **list baronowej Krzeszowskiej**. Pod maską pokory i „skruchy” baronowa demaskuje całą tajemnicę: dom kupił nie Szlangbaum, lecz **sam Wokulski**, który — „zamiast sam kupić (jak uczciwy człowiek)” — podstawił lichwiarza i „sprowadził do sądu fałszywych licytantów”, by „nadpłacić dwadzieścia tysięcy” ponad wartość; czyni to zaś tajemnie, bo Łęccy

„umieściliście u niego swój kapitałik”. Prosi przy tym Izabelę o wstawiennictwo, by Wokulski przedłużył jej kontrakt na mieszkanie, „gdzie córka skończyła życie”.

Reakcja Łękich jest znamienna dla ich pychy. Izabela, blada jak papier, oczekuje wybuchu ojca, lecz pan Tomasz przyjmuje wieść spokojnie — i wraz z córką **opacznie odczytuje hojność Wokulskiego jako interes**: skoro kupiec „może czekać” na wzrost cen, to nie czyni im dobrodziejstwa, lecz „robi interesy”. „Niechże sobie wreszcie Wokulski przepłaca kamienicę. Od tego on kupiec (...). Straci na jednym, zyska na drugim”. Co więcej, podstawienie Szlangbauma daje ojcu pretekst, by „podejrzwać jakiś nieczysty interes”, a Izabela konkluduje z ulgą, że „ten pan, bawiąc się w przyjaźń, robi interesa” — w swej dumie i klasowym uprzedzeniu zamieniając bezinteresowną ofiarę Wokulskiego w dowód jego wyrachowania.

Znamienne, że w głębi serca Izabela rozumie prawdę — „że Wokulski nie zrobił na kamienicy interesu, ale stracił, i tylko (...) ażeby ich wydzwignąć” — a właśnie ta świadomość budzi w niej nienawiść: „Podły! podły!... Jak on śmiał...” (jej duma nie znosi długu wdzięczności). Przybyły Wokulski rozprawia się najpierw z nachodzącymi dom wierzycielami (odsyłając ich do swego kantoru) i z **panem Tomaszem** — pokrywając z własnej kieszeni jego żydowskie długi i obiecując, że wyjazd do Paryża dojdzie do skutku, czym znów doprowadza starca do łez.

Kulminacją jest jednak **konfrontacja z Izabelą**. Patrząc na Wokulskiego „jakby widziała go pierwszy raz”, panna z przymrużonymi oczyma indaguje go o kamienicę („dlaczegóż pan podstawił Żyda do licytacji?”, „w kwietniu nabył pan nasz serwis?”) i wreszcie, jakby bliska płaczu, pyta: „Dlaczego pan tak nas... prześladuje?”. Zdruzgotany Wokulski wyznaje wówczas swoje oddanie: „Czyliż znajdziecie sługę... nie... psa... wierniejszego ode mnie?... Od dwu lat o jednym tylko myślę, ażeby usunąć wam z drogi każdą przeszkodę”. W tej chwili zjawia się **Kazimierz Starski** — przystojny, drwiący „bywalec” — na którego widok Izabela rumieni się i „rozmarza”. Po lekceważącym przedstawieniu Wokulskiego para zaczyna rozmawiać **po angielsku** (w przekonaniu, że kupiec nie rozumie), prowadząc dwuznaczny, kokieterijny dialog o wspólnych wakacjach, „spłacaniu dawnych długów” i „metodzie odwetu”. Wokulski, udający zatopionego w albumie (żyły nabrzmiące na czole), **w istocie rozumie każde słowo** — i gdy wychodzi, ściskając oburącz głowę, szepce: „Boże miłosierny!”. Rozdział zamyka jego dalsza wspaniałomyślność wobec pana Tomasza: oddaje mu pięć tysięcy „procentu”, odmawia pożyczania jego kapitału „na siedem [procent]”, skoro ten „przynosi trzydzieści trzy”, i wreszcie — przyznawszy, że to on kupił dom — oferuje odstąpienie go „za dziewięćdziesiąt tysięcy, a nawet... taniej”, bez żadnego zysku, znów wyciskając starcowi łzy.

Żegnając Izabelę, Wokulski oznajmia chłodno: „Dziś w nocy jadę do Paryża”. Zdumiona panna biegnie do ojca, a oboje pojmują wreszcie, że jej indagacja o kamienicę go uraziła: „Chryste!... cóżeś ty zrobiła?... wszystko stracone... Naturalnie, że się obraził... Ale kto mógł przypuścić, że jest tak obraźliwy?... Taki sobie zwyczajny kupiec!”.

## Rozdział XX — Pamiętnik starego subiekta

---

Rozdział wraca do dziennika Rzeckiego, oszołomionego nagłym wyjazdem przyjaciela („szast... prast... i już go nie ma”). Stary subiekt, swoim bonapartystowskim zwyczajem, dopatruje się w tym **politycznej intrygi**: na tle kongresu berlińskiego, sporu o Cypr, Bośnię i Triest oraz nadciągającej wojny widzi „grubą kabałę”, w której łączą się pan Łęcki (bywający niegdyś u Napoleona III), włoski aktor Rossi, obiad przed wyjazdem i zakup kamienicy — bo przecież „panna Łęcka piękna, bo piękna, ale przecież jest tylko kobietą i dla niej Stach nie popełniałby tyłu szaleństw”. (Komiczna ironia: czytelnik wie, że wszystko dzieje się z miłości.)

Wzruszający jest wspomniany przez Rzeckiego **wieczór pożegnania**: Wokulski, który jeszcze dzień wcześniej nie wiedział, kiedy pojedzie, pakuje walizkę odmieniony nie do poznania („pobladł, oczy zapadły, prawie zdziczał”), tłumacząc tę zmianę enigmatycznie: „nieraz jedno słowo zmienia (...) ludzi, a nie dopiero cała rozmowa!” (aluzja do podsłuchanego flirtu). Odmawia zwierzeń przyjacielowi i wydaje mu polecenia co do kamienicy (komorne według dawnych cen, „biedaków nie duś”, baronowej podnieść „kilkanaście rubli, niech się trochę zirytuje”). Na dworcu Kolei Wiedeńskiej dopada ich **Szuman**, który rzuca brzemienną wiadomość, że „tym samym pociągim jedzie pan Starski” — na co Wokulski wstrząsa się, lecz mówi: „Wszystko mi jedno”, a żegnając się, wyznaje, że chciałby „nigdy” nie wracać.

Rozdział wieńczy ważna tematycznie **tyrada Szumana**. Gdy Rzecki, próbując potwierdzić swą teorię, sugeruje, że Wokulski „jest jakby zakochany”, doktor wybucha śmiechem, a potem gorzką diagnozą: miłość jest „rzeczą zwyczajną wobec natury”, lecz „wasza głupia cywilizacja” (oparta na „kastowości”, ascetyzmie, „interesach papieżstwa”) zamieniła ją w „nerwową chorobę” i „obrzydliwy handel (...) karany dożywotnimi galerami, zwanymi małżeństwem”. Wyznaje własny dramat (narzeczona-chrześcijanka, której mu „nie wolno” było poślubić, zmarła, a on próbował się otruć) i konkluduje z furią: „jestem Żyd, więc nie wolno mi kochać chrześcijanki... On jest kupiec, więc nie ma prawa do hrabianki... A ty, który nie posiadasz pieniędzy, nie masz prawa do żadnej (...) kobiety... Podła wasza cywilizacja!” — pozytywistyczne oskarżenie barier klasowych, religijnych i majątkowych, które niszczą naturalne uczucie (i ludzi takich jak on i Wokulski).

Szuman rozwija tę myśl w diagnozę zguby Wokulskiego: ten „nigdy nie był kochliwy”, lecz właśnie „tym się zgubił” — „jak skąpiec gromadził kapitały sercowe”, aż jego miłość obudziła się „jak tygrys” (lawina, nie motyl). Stąd wielka **tyrada o „higienie miłości”**: jak klasy niższe gwałcą higienę mieszkań i pokarmów, tak klasy inteligentne gwałcą higienę uczucia — krępując naturalny „apetyt” tysiącem nakazów „moralności, tradycji, mody”. Doktor obwinia całe wychowanie (salon, poezję, powieść), które „każe szukać ideałów” i czyni mężczyznę „łupem kobiety”, tak że „cywilizacją naprawdę rządzą kobiety” — a te, ukształtowane przez „klerykalno-feudalno-poetycką teorię miłości”, wyrastają na „próżnujące dziwolągi” ze „ściśniętym

tułowień, czczym mózgiem", które potem źle wychowują następne pokolenia (uczą „ładnie trzymać nóż i widelec”, „marzyć o ideałach” zamiast „realnych faktów”).

Po burzliwej nocy Rzecki godzi nową prawdę ze swym światopoglądem: skoro „słabość do kobiet nie kompromituje Bonapartych” (Napoleon I, III i jego syn mieli kochanki), to nie uwłacza i Wokulskiemu. Lecz przebłyska w nim głębsze przeczucie, że przyjaciel „nie jest politykiem (...); jest (...) człowiekiem skrzywdzonym przez społeczeństwo” — myśl, którą czym prędzej tłumi („o tym cicho!... Społeczność nikogo nie krzywdzi”). To przeczucie pogłębia wizyta dawnego towarzysza z Węgier, **Machalskiego** (kipra od Hopfera, zdziwaczałego miłośnika win i piwnic), z którym Rzecki wspomina **młodość Wokulskiego**. W retrospekcji z lat 1857–58 ukazuje się Stach jako ubogi subiekt w winiarni Hopfera — samouk i „mechanik”, który zbudował maszynę-perpetuum mobile (pompującą wodę, by ta sama poruszała pompę) i wbrew szyderstwom kolegów „uczy się po nocach i kupuje książki”, marząc o uniwersytecie w Kijowie. Towarzyszy mu **obłąkany ojciec** w „piaskowym surducie”, trawiony obsesją procesu o odzyskanie „dóbr po dziadku” i utraconego szlacheństwa („twój dziadek z matki był kasztelanem”), wyrzucający synowi pieniądze wydane na książki zamiast na adwokata — przejmujący obraz korzeni Wokulskiego: zdolnego, hardego biedaka pchanego głodem wiedzy ku awansowi.

Pamiętnik rozwija dalej **romantyczno-rewolucyjną młodość** Wokulskiego. Obok Rzeckiego (głoszącego mu posłannictwo Bonapartych) jego „polityczną edukacją” zajmuje się żarliwy idealista **pan Leon** — niespełna dwudziestoletni mówca w typie Garibaldiego i Mazziniego, który zapala młodzież wizją „doskonalszego świata” bez „głupstwa, nędzy i niesprawiedliwości”, gdzie „szlachta i mieszczenie, chłopci i Żydzi, wszyscy będą braćmi” (cytując Tyrteusza: „lecz serca zbrakło wam!”). Na ironiczne „A subiekci?” Wokulskiego Leon klęka przed nim, „w imieniu ludzkości” prosząc o przebaczenie doznanych krzywd. Sercem tej partii jest symboliczna scena odejścia Stacha od Hopfera (1861): gdy żegna się z piwnicą, stołownicy dla żartu usuwają schody, zmuszając go, by wydobył się stamtąd „na czerwonych rękach” — co Rzecki odczytuje jako proroczy obraz całego jego życia: „wydzierania się ze sklepu (...) w szerszy świat”, gdzie wciąż „usuwano mu schody”.

Zamieszkawszy u Rzeckiego, Wokulski uczy się bez wytchnienia (wykłady, korepetycje w domach żydowskich, lektura po nocach) i oddaje się obsesyjnym **próbom z balonami** (gaz z witriolu, maszynka z wiatraczkiem — raz butla pękła, „mało mu nie wypalił oka”) — marząc, by i „za pomocą balonu wydobyć się ze swej marnej pozycji” (ta sama idea sterowania balonem/lotu, którą dziś podejmuje Ochocki). Ważnym, gorzkim wątkiem jest nieodwzajemniona miłość **Kasi Hopferówny**, która z tęsknoty mizernieje, nachodząc sklep pod byle pretekstem i wypytyjąc o „pana Stanisława”. Wokulski pozostaje obojętny, formułując przy tym kluczową dla całej powieści zasadę swego serca: „mnie przywiązać mogłaby taka tylko kobieta jak ja sam. A takiej jeszcze nie spotkał” — na co Rzecki dorzuca w pamiętniku

przejmujący komentarz: „(Spotkał taką w szesnaście lat później i dalibóg, że nie ma się czym cieszyć!...)” — gorzkie odniesienie do Izabeli. Wątek dopełniają komiczne swaty Małgorzaty Minclowej (przyszłej żony Wokulskiego), daremnie nawracającej milczącego, myślącego o balonach Stacha „do miłości”.

Pamiętnik dochodzi do przełomu w losach Wokulskiego. Po scenie w piwnicy Machalskiego, gdzie wśród spiskowej młodzieży **pan Leon** wzywa do „wypróbowania gotowości do czynu” (proponując, by ktoś skoczył z Nowego Zjazdu na bruk), wśród powszechnego milczenia tylko Wokulski odpowiada: „Ja”. Odtąd, w atmosferze gorączki i tajemniczych zebrań (ezopowo zarysowanego **powstania styczniowego**), Stach porzuca balony i książki, znika na całe dni, gości nieznanym — aż przepada zupełnie. Dopiero po dwóch latach przysyła list z **Irkucka** (zesłanie). Wraca jesienią 1870 roku „w paltocie z foczej skóry” — odmieniony, „zmizerniały, zdziczały”, lecz z dumą oznajmiający, że „jest uczonym” z podziękowaniami petersburskich towarzystw naukowych (na Syberii zaprzyjaźnił się z uczonymi-zesłańcami).

W kraju czeka go jednak gorzkie odkrycie: nie znajduje miejsca, bo „kupcy nie dali mu roboty, gdyż był uczonym, a uczeni — ponieważ był eks-subiektem”, zawisł „jak Twardowski (...) między niebem a ziemią”. Wycieńczony, nienarzekający, raz tylko szepce gorzko: „Oszukano mnie...” (zdradzone ideały romantyzmu). Wybawieniem — i upokorzeniem zarazem — staje się śmierć Jana Mincla i propozycja owdowiałej **Małgorzaty Minclowej**: po pół roku Wokulski żeni się z dużo starszą wdową, kwitując to z goryczą: „wiem, że jestem świnia. Ale (...) jeszcze najmniejsza z tych, jakie tu u was cieszą się publicznym szacunkiem”. Otoczenie szydzi („sprzedał się starej babie ten niby to Brutus!”), lecz Wokulski szybko zamyka usta krytykom — bierze się do pracy, zasiada za biurkiem Mincla jak płatny subiekt, nawiązuje stosunki z moskiewskimi kupcami i potraja obroty sklepu, znosząc przy tym „obowiązki na górze” (święteczne wizyty i teatry z żoną). Tak domyka się pełna, tragiczna biografia bohatera — idealizm, czyn, zesłanie, społeczne odtrącenie i poniżające małżeństwo — wyjaśniająca jego rozdartą, gorzką naturę.

Pamiętnik domyka dzieje małżeństwa: groteskowo zazdrosna **Małgorzata** uczy się muzyki, „upiększa się” i osacza męża czułością (chowając go za szafy w sklepowej budce, ścigając na polowaniach), aż „stalowy człowiek zaczyna się giąć w aksamitnych objęciach” — „lew przerabiał się na wołu” (w tureckim szlafroku i czapeczce z kutasem nie do poznania z tym, który wołał w piwnicy „Ja!”). W piątym roku Małgorzata, natarłszy się „likworem przywracającym młodość”, umiera na zakażenie krwi, przekazawszy cały majątek „Stasiulkowi”. Osowiały wdowiec grzebie się w książkach, aż Rzecki namawia go na teatr (*Violetta*) — i nazajutrz „w starcu ocknął się mój Stach Wokulski”: odrodzony, zaczyna bywać na przedstawieniach (gdzie zakochuje się w Izabeli) i wyjeżdża do Bułgarii. Rzecki, wciąż niedowierzający, że to miłość, kończy pamiętnik nadzieją, że „z odrodzonym Stachem człowiek nie jest pewny” — może jednak chodzi o politykę.



## Rozdział I — Pamiętnik starego subiekta

---

Tom drugi otwiera dalszy ciąg dziennika Rzeckiego — najpierw jego polityczne dywagacje (niepewna sytuacja, możliwa zimowa wojna, Węgrzy w Bośni i partyzant Hadzi Loja; gorzka uwaga, że Madziarzy, którzy w 1849 wołali o „prawo każdego narodu do wolności”, dziś najeżdżają broniących się Bośniaków). Najważniejsza jest jednak wielka zmiana w jego życiu: na prośbę Wokulskiego (piszącego z Paryża) Rzecki zdaje sklep Lisieckiemu i Szlangbaumowi i obejmuje **zarząd kamienicy** kupionej od Łęckich. Uzbrojony „na wszelki wypadek” w pistolet, odkrywa tam istny chaos i nędzę: cuchnące podwórze ze śmietnikiem „do wysokości pierwszego piętra”, „Pralnię paryską”, uwięzionego w „kozie” stróża (bo nieuczciwy rządca nie płaci mu pensji), bitych rzemieniem dzieci i samego **rządcę** — zaniedbanego, czerwonoookiego nędzarza w poplamionym surducie, którego biedna rodzina dopłaca „sto osiemdziesiąt rubli rocznie za trzy ciupy”. Tak rozpoczyna się ważny dla drugiego tomu wątek życia kamienicy, którą Rzecki ma uporządkować.

Rządca okazuje się dawnym ziemianinem, **Wirskim** — i między nim a Rzeckim zawiązuje się wzruszająca więź, gdy obaj odkrywają wspólną przeszłość romantycznych weteranów. Wirski, były właściciel dóbr (zrujnowany po uwłaszczeniu), opowiada o **bitwie pod Magentą** (1859), w której jako ochotnik szedł z francuską przednią strażą: liryczny obraz włoskiego miasteczka, gdzie kobiety z balkonów obsypywały spoconych kirasjerów „listkami z róż jak śniegiem”, a stary Włoch, ucałowawszy konia pułkownika, padł trupem z okrzykiem „Eviva Italia!”. Rzecki (sam porucznik węgierskiej piechoty) słucha ze łzami — „Boże miłosierny” — i obiecuje, że Wokulski odda Wirskiemu mieszkanie „darmo”.

Następnie Wirski oprowadza Rzeckiego po „najosobliwszych” lokatorach — buntowniczych **studentach** (medykach: na stole, obok szachów, dwie trupie czaszki z tytoniem i cukrem). Zuchwały młodzieniec wita ich oświadczeniem, że to on jest tu „gospodarzem”, i wdaje się w komiczne spory (sąsiedzi skarżą się, że studenci „chodzą nago”, a Maleski płaci czynsz za miesiące parzyste, Patkiewicz za nieparzyste — czyli nikt nie płaci nigdy). Najważniejsza jest jego radykalna, socjalizująca **odmowa płacenia komornego**: „z zasady nie płacę”. Argumentuje, że skoro społeczeństwo „każe mi się uczyć i zdawać egzaminy”, to zobowiązało się dać „pracę ubezpieczającą byt”, a skoro „nie dotrzymuje umowy”, on też nie musi; co więcej — właściciel domu „nie budował go, nie wypalał cegieł”, lecz „przyszedł z pieniędzmi, może ukradzionymi (...), i chce mnie zrobić swoim niewolnikiem. Kpiny ze zdrowego rozsądku!”. Tak

Prus wprowadza głos buntowniczej, „nowej” młodzieży, kwestionującej własność i kontrakt społeczny.

Student rozwija swą ekonomiczną krytykę: jego ojciec, „zdolny lekarz”, przez całe życie oszczędzał „raptem trzysta rubli na rok”, więc na kupno kamienicy „za cenę uczciwej pracy musiałby żyć (...) trzysta lat” — kapitału nie da się zgromadzić uczciwą pracą. Wirski, mimo wszystko, ceni studentów jako paradoksalnie „nadzwyczajnych lokatorów” („mówią, że nie zapłacą, i nie płacą”, lecz „nigdy nie robią zawodu”), tłumacząc, że „w domu, z którego komorne pobierają wierzyciele, najuczciwszy lokator musi się znarować”.

Kulminacją obchodu jest wizyta u **baronowej Krzeszowskiej**. Przez drzwi Rzecki podsłuchuje, jak **Maruszewicz** manipuluje pogrążoną w żalu i zazdrości wdową — podsycia jej podejrzenia, że baron utrzymuje stosunki z panią Stawską, schlebia jej (z całowaniem rąk) i podejmuje się zanieść do kościoła pieniądze „na wotywy” (Wirski kwituje go: „Frant!”). Sama baronowa, „z rękoma skrzyżowanymi jak Napoleon I”, przedstawia żądania: albo wyprowadzi się z mieszkania (za które płaci siedemset rubli), albo Wokulski usunie z domu „brudy i niemoralność” — głośnie praczki, „zbrodniczych” studentów lejących na nią wodę, i panią Stawską („nie wiem, wdowa czy rozwódka”), która jakoby „bałamuci mężów”. Wybucho przy tym rozdzierającą, autentyczną **żałobą po zmarłej córeczce**: nie może opuścić mieszkania, „gdzie moja dziecina wydała ostatnie tchnienie”, bo „każda deska tej podłogi nosi ślady jej nóżek” — co wzrusza do łez Rzeckiego i Wirskiego, lecz nie powstrzymuje jej od mściwych żądań wypędzenia „nihilistów” (oskarżanych o trzymanie „herbaty i cukru w trupich główkach”). Tak rysuje się złożona postać baronowej — godna litości w bólu, a zarazem małostkowa i okrutna — oraz pełna konfliktów wojna lokatorów.

Baronowa z płomieniem nienawiści w oczach domaga się przede wszystkim usunięcia **pani Stawskiej** (oskarżając ją, że „bałamuci mężów” i że to do niej baron przysyła bukiety), gotowa nawet płacić za pusty lokal, „byle ona nie miała dachu nad głową” — co Rzecki, urażony, zbywa odpowiedzią, że „zadecyduje sam gospodarz”. Z relacji Wirskiego (i wbrew oszczerstwom baronowej) Stawska to „najuczciwsza kobieta”, młoda i piękna, „pracująca na cały dom”. Idąc do niej, Rzecki marzy: „pani Stawska i Wokulski — jaka by to była piękna para; ale cóż, kiedy ona ma męża”.

Wizyta u **Stawskich** odsłania świat godnej ubogości. Rzecki poznaje matkę (**Misiewiczową** — w pocerowanej sukni, śniącą o zięciu „Ludwiczku”) i wreszcie samą **Helene Stawską** — na której widok rządcą „zupełnie stracił głowę”. Misiewiczowa opowiada tragiczną historię: zięć **Ludwik Stawski**, niesłusznie posądzony o zabójstwo lichwiarki, przed czterema laty uciekł za granicę i przepadł — choć w zeszłym roku znalazł się prawdziwy morderca i ogłoszono jego niewinność, on „od dwu lat nie pisał” (a Helena rujnuje się na ogłoszenia w zagranicznych pismach). Sama Helena, zmieszana i pełna obawy, „błagalnym spojrzeniem” wyznaje, że są winne czynsz za lipiec — co tym mocniej rozczula Rzeckiego (myślącego: „gdybym był

Wokulskim, oświadczyłbym się jej na poczekaniu"). W imieniu Wokulskiego **obniża im komorne** (z trzystu na dwieście rubli, umarzając zaległość) — bohaterski gest, który olśniewa ubogą rodzinę. Wzruszony córeczką **Helunią** (dziergającą sweterek dla lalki) i wdziękiem Heleny (utrzymującej dom z lekcji), Rzecki snuje już plany jej zeswatań z Wokulskim: „na co Stach ma taki majątek?... od czego są rozwody?”. Tak Prus wprowadza Stawską jako szlachetną, „swojską” alternatywę dla pysznej Izabeli.

Rozmowa odsłania głębszy dramat: córeczka wycina koperty, „bo pisze list do tatki, ażeby wracał”, a Misiewiczowa wybucha gorzką prawdą — Helena to „nie panna, nie mężatka, nie wdowa, nie rozwódka”, a Ludwik „już nie żyje” albo „zapał się jej”. Na osobności (wyprawiwszy Helunię) matka wyznaje Rzeckiemu, że bardziej niż śmierci zięcia „boi się jego powrotu”, bo Helena „już go nie kocha, choć sama nie wie”, lecz „pojechałaby do niego, gdyby ją wezwał”. Rzecki obiecuje, że „nim rok upłynie”, przyniesie wiadomość o zięciu (z myślą o zeswatańiu Heleny z Wokulskim: „spróbuję rozwiązać ręce kobiecie”). Pamiętnik kwituje z humorem skutek całego obchodu: „miałem uregulować finanse kamienicy” — a Rzecki, rozdając zniżki z litości, zmniejszył jej dochód „o trzysta rubli rocznie”.

## Rozdział II — Szare dni i krwawe godziny

---

Rozdział przenosi się do **Wokulskiego** w podróży do Paryża. Tuż po wyjeździe z Warszawy ogarnia go „dziwny letarg” i wszechogarniająca **apatia**: myśli jasno, lecz „nic go nie obchodzi” — ani współpasażerowie, ani trasa, ani cel; podczas burzy za Grodziskiem ma nawet „pragnienie, ażeby go piorun zabił”. Mija kolejne stacje, granice i krajobrazy (polskie chaty ustępują niemieckim domkom, potem francuskim winnicom), pogrążony w stanie „który może być snem, a może tylko utratą przytomności”, łudząc się, że apatia minie w Paryżu. Lecz nawet wjazd w „sam środek Paryża” — miasta, o którym „od tylu lat marzył” — nie budzi w nim „ani wzruszenia, ani ciekawości”. Na dworcu wita go serdecznie **Suzin** (olbrzym o konopiastej brodzie), który zawozi go do hotelu przy Operze, zachwala miasto („cud, nie miasto!”) i cieszy się z przyjazdu przyjaciela („straciłbyś z pięćdziesiąt tysięcy rubli”). Wokulski, obojętny na przepych, odzywa się po raz pierwszy dopiero pytaniem o sedno interesu: „za cóż to ja mam dostać pięćdziesiąt tysięcy?”. Tak otwiera się paryski epizod — pod znakiem miłosnej, na poły samobójczej odrętwiałości bohatera.

Suzin tłumaczy zapłatę półzartem: płaci za dawną przyjaźń (Wokulski „przez cztery lata rozumu uczył” go w Irkucku) i za dyskrecję — chce tłumacza i powiernika, który na dole, przy fabrykantach amerykańskich i francuskich, ma mieć „dwie pary oczów i dwie pary uszów”, a po wyjściu „nie mieć nawet pamięci”. Sprawa idzie o zakup galanterii albo kilkunastu statków handlowych; Suzin zarobi dziesięć procent, a dziesięć procent z jego zysku odda Wokulskiemu — „a na co to, dla kogo i przeciw komu — nie pytaj”. Zostawiony sam w hotelowym numerze,

Wokulski próbuje zasnąć, lecz dręczy go **widmo**, przed którym uciekł z Warszawy: zdaje mu się, że ktoś chodzi korytarzem, puka do drzwi i pyta „czy nie ma go tu?”. Kulminacją jest groza, gdy w lustrzanej szafie naprzeciw łóżka widzi nagle samego siebie — „nieodstępnego świadka”, przed którym nie da się uciec („co za oryginalne szpiegowanie... Głupie te szafy z lustrami”).

Resztę prozy zajmuje wielka panorama **pierwszego spotkania Wokulskiego z Paryżem** — scena-emblemat, w której prowincjusz z Warszawy zostaje przytłoczony skalą metropolii. Zbiega na ulicę „jak człowiek, którego ścigają”, i staje oszołomiony na placu, z którego rozchodzi się siedem ulic, wśród nieprzerwanego potoku powozów, omnibusów żółtych, zielonych i brunatnych, kawiarnianych werand i tłumów. Widok potężnego gmachu Opery (marmur, brąz, złoto, posągi, rozhukane konie) każe mu ze wstydem wspomnieć własny sklep — „ozdobę miasta” — i zarazem napętnia kontentnością, że Paryż „na pierwszym kroku przytłoczył go”. Sam staje się obiektem drwiących uśmieszków elegantów i natręstwa handlarzy gazet („Figaro!”, „Guide Parisien, trois francs!”); gdy jeden z frantów mierzy go przez monokl, Wokulski myśli półzartem o pojedynku i spojrzeniem zmusza go do spuszczenia monokla. Mija go powóz z dwiema kobietami — jedna wydaje mu się **Izabelą** („Ona?... Niepodobieństwo!...”), a sam jej widok tak go osłabia, że musi paść na krzesło w kawiarni; rzuciwszy garsonowi i kwiaciarce garść franków, czyta w „Figaro” o „Królowej Izabeli”, mnie gazetę i wstaje. Stopniowo z onieśmienia rodzi się przekora i krytycyzm (zauważa, że akcent paryski jest gorszy od warszawskiego), aż po godzinie bohater „stał się zwyczajną kroplą paryskiego oceanu” — obraz człowieka wessanego przez wrzący, obcy żywioł wielkiego miasta, w którym pierwszy raz czuje się małym dzieckiem.

Zagubiony na skrzyżowaniu (znów mija go kobieta przypominająca **Izabelę**, znów złudzenie), Wokulski ulega panicznemu strachowi „ludzi, którzy zbłądzili w lesie”, aż ratuje go gadatliwy **dorożkarz** — komiczna figura paryskiego ludu, który pogania klacz („Naprzód, Lizetka!”), trafnie zgaduje, że gość świeżo przyjechał i „trochę pił”, deklaruje niechęć do Prusaków (Alzacja, Lotaryngia) i odwozi go pod Grand Hotel. W hotelu czeka stos listów i służący **Miler** — Alzaczek, który „zamiast brać, jeszcze płaciłby dziesięć franków dziennie, byleby skończyć z Prusakami”, i ostrzega przed fałszywą „baronową”. Listy to w większości reklamy, prośby o wsparcie i osobliwości („osoba młoda i przystojna pragnie zwiedzać Paryż na wspólny koszt”); bilecik Suzina przesuwają sesję na ósmą i zachęca, by Wokulski „załatwił się z interesantami, a nade wszystko z babami”.

Centrum chunku to **galeria paryskich naciągaczy** w wytwornym salonie przyjęć — satyryczny przegląd, w którym każdy „pracuje, jak umie, i stara się swoją pracę zbyć najkorzystniej”: pułkownik-przewodnik znający „wszystkie muzea, kluby i monumenta”, **Hannibal Escabeau** sprzedający karabin na trzydzieści strzałów na minutę (bierze Wokulskiego i Suzina za handlarzy bronią — sygnał, czym naprawdę pachnie interes Suzina), wynalazca niezawodnego systemu na ruletę (pożycza pięć franków), handlarz dyplomami

doktorskimi i orderami, wreszcie **falszywa „baronowa”** — piękna czterdziestolatka, która, wyznawszy że „nie jest baronową”, próbuje sprzedać za dwadzieścia tysięcy franków „ważną tajemnicę”; jej notatka okazuje się tylko wyciągiem z paszportu (z błędem „Woklusk”), który zrobił Miler — cała intryga to blef, a Wokulski czuje, że „uważają go za dziecko”.

Sceną-kluczem rozdziału jest rozmowa z marszałkiem dworu **Jumartem** — eleganckim ironistą, który okazuje się **doktorem filozofii dwóch uniwersytetów** pełniącym rolę służącego dla renty na starość. Wykłada cyniczną „teorię czterech narodowości”: ludzi dzieli się nie wedle języka, lecz wedle tego, czy wiadomo, „skąd biorą pieniądze i na co je wydają” — stąd szanuje Escabeau (fabryka trykotaży → broń), a nie ufa „baronowej” (źródła i wydatki nieznane). Jego dewizy — „tym jestem, w czyjej mieszkam oborze; wołem między wołami, koniem między końmi” oraz „świat podobny jest do amatorskiego teatru, każda rola jest dobra, byle grać ją z artyzmem i nie brać jej zbyt poważnie” — dają błyskotliwy, relatywistyczny kontrapunkt dla romantycznej powagi Wokulskiego i odsłaniają Paryż jako wielki targ, gdzie wszystko, łącznie z tożsamością i godnością, jest na sprzedaż.

Po wyjściu Jumarta Wokulskiego ogarnia trwoga przed pustym czasem („cztery godziny do sesji”) i wstręt do ludzi. W sali jadalnej Grand Hotelu pada jednak myśl, która łączy paryski epizod z głównym dramatem: gorzkie przeczucie, że **Izabela**, „przywykła do wydawania dziesiątków tysięcy rubli”, gdy dojdzie wieku „baronowej”, może pójść tą samą drogą handlu sobą — „przekłeta sfera, która hoduje takie piękne i takie kobiety”. Uciekając przed sobą (i przed lustrem w numerze), rusza na oślep w miasto — tym razem w prawo — z gorzkim pragnieniem, „żeby między tymi tłumami mógł zgubić samego siebie”.

Druga wielka panorama Paryża prowadzi go obok kościoła **Madeleine** (grecka świątynia z płaskorzeźbą sądu ostatecznego) na **plac Zgody** — obelisk z Luksoru, ogród Tuileryjski, Pola Elizejskie, w głębi Łuk Gwiazdy — gdzie „brakuje mu przymiotników i stopni najwyższych”, a porównanie z Warszawą („tamtejsze budowle nieduże, nietrwałe i płaskie”) obnaża prowincjonalność rodzinnego miasta. Tu też zbiera lekcje paryskiej ulicy: naciągacz-przewodnik w podartych rękawiczkach, ostrzeżenie wojskowego przed znajomościami, i odkrycie, że skradziono mu **srebrną papierośnicę** — co potwierdza cyniczną teorię Jumarta („złodzieje są mniej niepewni od ludzi, którzy nie wiadomo skąd czerpią dochody”). Idąc Polami Elizejskimi wśród sznurów powozów, Wokulski czuje się **„jak zdeptany robak, który wlecze za sobą wnętrzości”** — powraca motyl-i-robak, lecz tu już bez motyla, sam upokorzony robak. Mija balon Giffarda, wieżę St. Jacques, wraca fiakrem; wieczorna sesja z budowniczymi okrętów (szampan, notatki) jak zwykle uspokaja go tylko pracą, a do poduszki bierze plan Paryża („sto wiorst kwadratowych, dwa miliony mieszkańców”).

Stąd zaczyna się **„życie prawie mistyczne”** — sceneria-klucz całego paryskiego epizodu. Wolny poza godzinami narad Suzina, Wokulski zwiedza miasto „najnieporządniej”, według alfabetu z Przewodnika, byle tylko nie zostać bez zajęcia; czasem Jumart prowadzi go do

prawdziwego Paryża pod powierzchnią przewodników — składów, warsztatów, kwater studenckich, kawiarni czwartego rzędu. Długi katalog zwiedzanych miejsc (wieże, ścieki, katakumby z trupimi głowami, wystawa powszechna, Louvre, Cluny, Lasek Buloński, cmentarze) tworzy wokół niego **chaos odpowiadający chaosowi własnej duszy**. Bohater diagnozuje u siebie zupełną apatię — „czego ja chcę?... nie chciał niczego” — i nazywa swój stan **„rakiem w duszy”**; udaje przed sobą, że „urodził się przed kilkoma dniami na bruku paryskim”, a dawne życie jest tylko „snem przedbytowym”, i jak szaleniec rozrzuca luidory — „wszystko jedno!”. Wszystko zatruwa „ta kropla żalu, tak mała, a tak gorzka, że mogłaby cały świat zatruć”.

Punktem zwrotnym jest scena w teatrze **„Variétés”**: ze sceny pada zdanie „Kochanek wszystko wybaczy kochance, wyjąwszy drugiego kochanka”, a sąsiad-Francuz dorzuca ze śmiechem „niekiedy trzeba wybaczyć trzech albo czterech!”. Wokulski, dusząc się, ucieka z teatru i w narożnej kawiarni topi rozpacz w **karafce koniaku**, układając w głowie rejestr rywali: „**Starski** to ten drugi kochanek, **Ochocki** trzeci... a **Rossi**?... to jest **Mesalina**, jeżeli nie ciałem, to duchem”. Odkrywa, że alkohol go uspokaja — i odtąd, ilekroć wspomni Warszawę albo spotka kobietę o szczególnych ruchach, „wpada do kawiarni i wypija karafkę koniaku”, po czym z gorzką dumą myśli, że zasługiwał, „ażeby był pierwszym i ostatnim”. Pod koniec, wśród tego odurzania się wspomnieniami, rodzi się w nim nowe, ratunkowe pytanie — **czy w budowie Paryża istnieje jakiś porządek?** — bo widziane z Panteonu i z Trocadéro miasto jest tylko „morzem domów”, którego dachy wyglądają jak fale; pytanie to zapowiada intelektualny zwrot ku poszukiwaniu prawa i sensu, który wyrwie go z apatii.

Rozdział wieńczy **wielka pochwała Paryża jako organizmu rządzonego prawem** — kluczowy ustęp ideowy powieści, w którym pozytywista w Wokulskim budzi się i zaczyna go leczyć. Najpierw bohater drwi z własnego pomysłu: „chaos!... wielkie miasto jest jak obłok kurzu, ma przypadkowe kontury, lecz nie może mieć logiki” — bo niepodobna, by miliony ludzi, budujących przez wieki i nieświadomych jeden drugiego, wytworzyły logiczną całość. A jednak, wpatrując się w plan, dostrzega to, czego „nie dojrzeli rodowici paryżanie ani nawet K. Baedeker”: Paryż **ma plan, ma logikę**. Jest jak olbrzymi półmisek (dziewięć na jedenaście wiorst) rozdarty łukiem Sekwany, a przez miasto biegnie **„oś krystalizacji”** — obraz, który Prus rozwija w słynnej metaforze **olbrzymiej gąsienicy** ciągnącej się od placu Bastylli (ogon) po Łuk Gwiazdy (głowa), z „nózkami” wspartymi o kolejne gmachy (Pole Marsowe, Inwalidzi, Luwr, Sorbona, Hale). Co więcej, miasto dzieli się na wyraźne **dzielnice funkcji** — przemysłowa, łacińska/uczona, handlowo-finansowa, arystokratyczna, dorobkiewiczowska, wojskowa — tak że „topografia miasta odpowiada historii mieszkańców”.

Z tej obserwacji rodzą się w Wokulskim **nowe prądy myślowe**: wielkie miasto, jak roślina i zwierzę, ma własną „anatomię i fizjologię”; praca milionów ludzi, krzyczących o wolnej woli, wydaje te same skutki, co praca pszczoł, mrówek czy układających się kryształów — **nie ma**

**przypadku, jest nieugięte prawo.** Ten sam fatalizm odczytuje w dziejach paryskich rodzin: dziad-rzemieślnik spod Bastylli, syn-rzemieślnik z dzielnicy łacińskiej, wnuk-kupiec na bulwarach, prawnuk-milioner pod Polami Elizejskimi, którego córki „chorują na nerwy” — ród „spracowany około Bastylli, zużyty około Tuileries, dogorywa w pobliżu Notre-Dame”. Wokulski przeczuwa, że **jeśli coś go uleczy z apatii, to właśnie tego rodzaju badania** („jestem dziki człowiek, wpadłem w obłąd, ale wydobędzie mnie z niego cywilizacja”).

Kontrapunktem jest scena uliczna: tenor śpiewa przed kawiarnią piosenkę o motylach siadających na różach i pocałunku (znów **motyw motyla**), a goście wesoło powtarzają refren. Wokulski najpierw gardzi nimi („Głupcy! nie mają co powtarzać, tylko takie błazeństwa”), lecz zaraz obraca ostrze przeciw sobie — **„czy to on raczej nie jest głupi?”**. Gdyby wszyscy byli jak on, Paryż byłby „szpitalem smutnych wariatów”; tymczasem oni „biorą życie, jakim jest”, są szczęśliwi i tworzą arcydzieła. Następuje gorzki rachunek własnego życia: gonił za perpetuum mobile, za balonami, za stanowiskiem, którego nie dopuszczali „właśni sprzymierzeńcy”, wreszcie za kobietą, „do której prawie nie wolno mu się zbliżyć” — zawsze ulegając ideom klas, „które chciały zrobić go sługą i niewolnikiem”. Wyobraża sobie, o ile inaczej potoczyłoby się jego życie, gdyby urodził się w Paryżu (więcej nauki, gotowe modele balonów, brak traktowania „jak Murzyna w Ameryce”), i konstatuje, że tu „miłość nigdy nie doprowadziła do obłądki rozsądnego człowieka” — zakochani „tańczą i śpiewają”, zawiązują wolne stadła, oddają dzieci na mamki.

Samokrytyka osiąga szczyt w wyznaniu, że dwa lata jego życia „toną w jednym afekcie” tylko dlatego, że „on jest kupcem, a ona arystokratką” — i w postanowieniu, by się z tego wydobyć, robiąc „to, co robią inni”: ogromnie pracować. Stąd rozwija się **apologia paryskiej cywilizacji jako prawa doboru** — przeżywa najsilniejszy, a owoce pracy pokoleń (ścieki chroniące od chorób, Hale, fabryki, teatry, muzea, troska nawet o konie i drzewa) służą szczęściu człowieka, łącząc użyteczność z pięknem. Paryż jawi mu się jako **„arka”** mieszcząca dorobek kilkudziesięciu wieków — od mumii egipskich po koła hydrauliczne z Saint-Maur — gdzie „nie marnuje się praca”. Konfrontacja z tym ogromem rodzi wstyd i ostateczną, surową diagnozę samego siebie: **„Jestem człowiek zmarnowany”** — miał ogromne zdolności i energię, lecz „nie zrobił nic dla cywilizacji”, zostawi po sobie najwyżej sklep, który bez Rzeckiego by upadł. Tak paryskie „szare dni” przeradzają się z pijackiej apatii w bolesne, lecz ożywcze przebudzenie myśli — załóżek nowego systemu, który ma wytłumaczyć Wokulskiemu „tajemnice świata i własnego bytu”.

Diagnoza pogłębia się w rozrachunek z krajem: Wokulski strwonił siły „na walkę z otoczeniem, do którego nie przystawał” — gdy chciał się uczyć, ojczyzna potrzebowała „nie uczonych, ale chłopców i subiektów”; gdy chciał służyć społeczeństwu, „podsunięto mu fantastyczne marzenia zamiast programu”, potem o nim zapomniano; gdy szukał pracy, wskazano mu „gościniec do ożenienia się ze starszą kobietą dla pieniędzy”; a gdy się zakochał, postawiono go

„w położeniu bez wyjścia”. Nie wie nawet, czy Izabela to „zwykła kokietka o przewróconej głowie”, czy „anielska dusza, której konwenanse spętały skrzydła”. Stąd słynna **teoria strefy**: w obserwatorium zapamiętał, że średnia temperatura Paryża jest o pięć stopni wyższa niż Warszawy — a że „ciepło jest siłą twórczą”, na chłodnej północy człowiek musi zużywać siły na walkę o byt (ciepłe mieszkania, odzież, żywność), gdy Francuz obraca wolny czas „na twórczość duchową”; do tego arystokracja „opanowała oszczędności narodu i utopiła je w bezmyślnej rozpuście” — więc ludzie niezwykle zdolni „wprost muszą tam ginąć”. Po raz pierwszy rysuje się projekt **niewracania do kraju**: sprzedać sklep, wycofać kapitały, osiąść w Paryżu, zwiedzać muzea, wziąć się do nauki — „życie upłynie mi, jeżeli nie w szczęściu, to bez boleści”. Zatrzymać go mogłaby już tylko „jedna osoba” (Izabela), lecz ten wypadek „nie nadchodził”.

## Rozdział III — Widziadło

---

Punktem zwrotnym całego paryskiego epizodu — i jednym z węzłowych motywów powieści — jest pojawienie się **profesora Geista**. Gdy lokaj melduje to nazwisko, Wokulski doznaje uczucia, jakiego „musi doznawać żelazo za zbliżeniem się magnesu”. Wchodzi człowiek bardzo mały i szczupły, o twarzy „żółtej jak wosk”, bez jednego siwego włosa, o nieokreślonym wieku. Geist niby przyszedł sprzedać materiał wybuchowy dla marynarki, lecz od razu odsłania prawdziwy cel: widział, jak Wokulski wlatywał balonem *captif* i jak „chciał wyskoczyć z galerii” — rozpoznał w nim **przyrodnika i potencjalnego samobójcę** („w moim laboratorium miałem czterech samobójców, znam się na tych klasach ludzi”). „Nie jesteś pan kupcem, tylko desperatem” — oświadcza, bo potrzebuje właśnie „majątnego desperata”.

Geist przedstawia siebie jako „**starego wariata**” z kawiarni pod uniwersytetem — niegdyś wielkiego chemika, którego ogłoszono „heretykiem i zdrajcą”, odkąd „wyszedł poza granicę obowiązujących poglądów chemicznych”. W błyskotliwej tyradzie kpi z naukowych dogmatów (każde miasto „ściska sobie mózgi” jakąś prawdą — w Altdorfe pastorami i Bismarckiem, w Paryżu „tabliczką mnożenia, teorią ruchu falistego, stałością ciężarów gatunkowych”). Wyznaje, że dokonał wielkich odkryć i stworzył „nową naukę”, ale brak mu „kilku ważnych faktów” i pieniędzy: „cztery fortuny utopił w badaniach, zużył kilkunastu ludzi”, a teraz potrzebuje „nowej fortuny i nowych ludzi”. Dorzuca własną **zoologiczną klasyfikację gatunku ludzkiego**: w większości to zwierzęta i potwory (ostryga, glista, sowa, tygrys, „skrzydlate tygrysy, węże z psimi głowami”), a tylko gdzieś „prawdziwy człowiek — istota z rozumem, sercem i energią”; Wokulskiego ocenia jako „jednego na sto tysięcy”.

Obiecuje nazajutrz pokazać „coś, co widziało zaledwie sześciu albo siedmiu ludzi, którzy już nie żyją”. Bierze od Wokulskiego tylko dziesięć franków na fiakra (choć ten daje sto) — „kto wie, czy jutro nie dasz mi stu tysięcy” — i słysząc, że gość ma „około miliona franków”, chwyta się za głowę z nadziei. Jumart studzi entuzjazm, nazywając Geista wariatem, który chce „zmniejszyć



ciężar gatunkowy ciał czy metalów". Gdy przed piątą Geist wraca i zamyka drzwi na klucz, drażni Wokulskiego: czy ma żonę, dzieci (nie ma), majątek (milion) — i bezbłędnie odgaduje, że za myślą o samobójstwie „musi być kobieta”. Pada przy tym fraza-klucz, która zawisnie nad dalszymi losami bohatera: **„gdyby ci kiedy jeszcze raz przyszła ochota próbować... nie zabijaj się, ale przyjdź do mnie”** — tak rozsądna, naukowa nadzieja zostaje powiązana z samobójczą rozpaczą Wokulskiego w jeden węzeł.

Geist przechodzi od słów do **demonstracji „cudów”**, sceny-klucza dla pozytywistycznego wątku powieści. Targany napadami nieufności (chowa pudełko, „co za nonsens narażać wszystko dla pierwszego lepszego z ulicy”; „nikomu nie ufam, tylko wspólny interes zabezpiecza od zdrady”), pokazuje wreszcie metale przeczące fizyce: kulkę cięższą od platyny („komprymowana platyna” o ciężarze gatunkowym 30,7), „szkło” cięższe od żelaza i przewodzące ciepło i prąd, oraz „stal” lekką „jak płatek bibułki”. Wokulski, gdy trzyma okazy w rękach, przyjmuje je jako najnaturalniejsze, lecz gdy je odda, ogarnia go „zdziwienie i obawa, wiara i zwątpienie na przemian”. Chemicy — wyznaje Geist — obejrzeni to i nazwali „błagą i kuglarstwem”, woląc „nie dowierzać zmysłom” niż łamać „prawa natury”; ta „bezwładność mózgów” jest dla niego najlepszą gwarancją tajemnicy. Cel ostateczny brzmi jak utopia i objawienie zarazem: **metal lżejszy od powietrza**, który „zmieni postać świata”.

Geist odsłania przy tym swoją mroczną **filozofię dawcy**: nie odda wynalazku „dzisiejszej ludzkości”, bo dotąd brąz, proch, druk i para trafiały bez wyboru „w ręce geniuszów i idiotów, ludzi szlachetnych i zbrodniarzy”, przez co „głupota i występki dostając coraz potężniejsze narzędzia mnożyły się, zamiast ginąć”. Metal odda tylko **„prawdziwym ludziom”** — by ich rasa rosła w potęgę, a „tygrysy ucharakteryzowane na ludzi” z wolna wyginęły („jeżeli Anglicy mieli prawo wypędzić wilków ze swej wyspy...”). Do odkrycia brak mu pieniędzy i pomocników: około ośmiu tysięcy prób, „dwadzieścia lat dla jednego człowieka albo pięć-sześć dla czterech”. Wokulski, choć myśli „on ma jednakże tęgiego bzika”, daje mu trzysta franków i bierze adres — bo w tym wynalazku zaczyna widzieć **„ideę, dla której warto się skazać na lata niewoli”**, spełnienie marzeń młodości o żegludze powietrznej: „człowiek dostałby skrzydeł”. Lecz zaraz studzi się: „Nie, to niepodobna!”.

Druga połowa chunku przynosi gorzki, ironiczny **kontrapunkt demaskatorski**. Przytłoczony, Wokulski szuka rozmowy z Jumartem, a ten kwituje cuda Geista wzmianką, że „profesor **Palmieri** jeszcze większe cuda pokazuje za pięć franków od osoby”. Z palącym wstydem („więc ten wielki myśliciel Geist jest kuglarzem, a ja głupcem, który płaci trzysta franków za widowisko warte pięć”) Wokulski idzie na seans **magnetyzmu**: Palmieri usypia wzrokiem swoje media i wmawia im rzeczy nieistniejące — korek staje się różą, a potem asafetydą; chustka „waży sto funtów”, aż uśpiony ugina się i poci. Po kilku próbach Wokulski przekonuje się, że to nie kuglarstwo, lecz „nieznane właściwości systemu nerwowego” — i przelotnie podejrzewa, że Geist po prostu „go zamagnetyzował”.

Najmocniej jednak — i najboleśniej, bo wprost odbija jego własny los — działa doświadczenie finałowe: Palmieri owija ręcznikiem **łopatkę od węgla** i wmawia wátłemu młodzieńcowi, że to „młoda i piękna kobieta, którą trzeba kochać”. Zahipnotyzowany ściska i całuje łopatkę, klęka, pełźnie za nią na czworakach „jak pies”, odpycha czterech mężczyzn, a gdy magnetyzer ogłasza, że kobieta „umarła”, wpada w rozpacz i „bije głową o ścianę”. Scena jest okrutnym lustrem **miłości Wokulskiego do Izabeli** — ostrzeżeniem, że jego uczucie może być równie sugestywnym złudzeniem jak miłość medium do kawałka żelaza; Prus spleta tu naukowy cud Geista i hipnotyczną iluzję Palmieriego w jeden obraz ludzkiego umysłu zwodzonego przez własne zmysły.

Scena z łopatką pogrąża Wokulskiego w rozpacz: „wszystko jest kłamstwem — wynalazki Geista, moja szalona miłość i nawet *ona*... jedyną rzeczywistością, która nie kłamie, jest chyba śmierć”. Topi to w półtorej karafce koniaku. Nazajutrz jednak rozum podsuwa mu **dowód przez negację**: płaci Palmieriemu dwadzieścia franków, prosi, by go uśpiono — i magnetyzer, po próbach, oświadcza „pan nie jesteś medium”, a nadto, że uśpieni „nie pamiętają swoich przywidzeń”. Skoro więc Wokulski pamięta każdy szczegół wizyty Geista, **Geist go nie zamagnetyzował — a zatem nie jest oszustem, jego metale istnieją, a metal lżejszy od powietrza jest możliwy**. Paryż jawi mu się jako „miasto, w którym więcej przeżył w ciągu jednej godziny niż w Warszawie przez całe życie”.

Następuje **pożegnanie z Suzinem**, który zakupiwszy kilkanaście statków zgarnia ogromny, „najzupełniej legalny” zysk (częstka Wokulskiego pokrywa wszystkie jego warszawskie wydatki). Przy śniadaniu i szampanie Suzin wykłada swoją filozofię pieniądza — „to nie szczęście, to miliony; rubel jest jak zapracowana szkap, ale milion mnożny jak świnia” — i z rubaszną troską strofuje przyjaciela: że marnuje się w takim mieście („latasz balonem, bałaganowym skoczkiem chcesz zostać?”), że obraził baronową (u której „można w karty pograć i o niejednej rzeczy się dowiedzieć”), że naradza się z „czarownikami” (Geist). Sednem jest **przypowieść o cudownej wodzie** (Lourdes): jedni przychodzą do niej na kolanach, drudzy „piją bez ceremonii i zęby płuczą”, a ten pijący „grubo żartuje z modlącego się” — Suzin każe Wokulskiemu sprawdzić, czy sam nie jest owym wykpiwanym klęczącym, i radzi „podnieść głowę” wśród wielbicieli Izabeli, bo „pół miliona rubli to nie plewy”. Te słowa zasiewają w sercu Wokulskiego **„pierwsze ziarno pogardy”** — po raz pierwszy chłodno przebiega myślą wszystkich adoratorów panny Izabeli, jej znaczące rozmowy i „tkliwe spojrzenia”, i z gorzkim uśmiechem myśli o jej możliwych „wyborach”: „jakieżem ja podle bydlę, a Geist uważa mnie za człowieka”.

Z listu Rzeckiego (więcej o **pani Stawskiej** niż o interesach, z prośbą o ustalenie, czy Ludwik Stawski żyje) wynika dla Wokulskiego dogodny zbieg okoliczności: Stawska to „ta piękna pani z córeczką, która mieszka w moim domu” — „może po to kupiłem dom Łęckich, żeby poznać tę drugą?”. Postanawia zlecić poszukiwania **baronowej**, łącząc radę Suzina z prośbą Rzeckiego.

W sieni jej domu pod Saint-Germain, u antykwariusza, znajduje egzemplarz **poezji Mickiewicza** w edycji, którą czytał jako subiekt u Hopfera — na widok „wytartych okładek staje mu przed oczyma cała młodość”, kupuje książkę i „o mało nie całuje jej jak relikwii” (czuły kontrast sentymentalny wśród paryskiego chłodu). Baronowej, przyjętej z miną „obrażonej, która gotowa przebaczyć”, daje cztery tysiące franków (plus dwa tysiące u Rotszylda po rezultatach) na odnalezienie Stawskiego przez „policję niemiecką, angielską, amerykańską”; ona zaprasza go na swoje wieczory.

Reszta chunku to powrót do **jałowej, samotnej egzystencji**: zwiedzanie, koniak, przegrywane karty w salonie baronowej — wyczerpujące, lecz „bez kropli radości”, w „niezgruntowanej goryczy” bez dna i brzegów. „Dajcie mi jakiś cel... albo śmierć!” — woła w niebo, by zaraz zakpić, że mówi „do mechanizmu ślepych sił”, którego stał się igraszką. W finale Prus formułuje **oś dalszej fabuły**: przed Wokulskim mającą dwie gwiazdy — jedna „błada, ale niezmienna” (Geist i jego metale), druga „iskrząca się jak słońce albo nagle gasnąca” (ona). Powraca **motyw motyla**: miłość to „motyl, którego jedno skrzydło nazywa się niepewnością, a drugie oszustwem”. Bohater czuje, że zbliża się **decydująca walka rozumu z sercem** — rozum ciągnie go do Geista (praca, nadzwyczajna sława), serce do Warszawy (płomienna namiętność, która „obiecuje, że spali go na popiół”) — i że lada dzień będzie musiał wybrać.

Dręczony wątpliwością, czy i Geist, i Izabela nie są złudzeniem „jak owa łopatką”, Wokulski wraca do Palmieriego (znów dwadzieścia franków) i wyciąga zeń to, co potrzebne: zamagnetyzować go „od razu nie można” (nie jest medium), ale **kobieta — owszem — mogłaby uczynić go swoim medium**, gdyby był podatny, tak jak magnetyzer przelewa „fluid” choćby w szpilkę. Stąd dwoisty wniosek: co do Geista „nie starczyłoby czasu” na hipnozę — więc chemik nie oszukał; co do Izabeli „czasu było dosyć”, lecz brak dowodu, „kto go zrobił jej medium”. Rozważa nienaturalność swojej miłości (jak zakochać się „od jednego rzutu oka” w kobiecie widywanej raz na kilka miesięcy?) i podejrzewa, że to właśnie rzadkość spotkań „nadaje jej charakter ideału”.

Centrum chunku to **wyprawa do laboratorium Geista** w Charenton — kluczowa scena weryfikacji naukowego cudu. Za murowanym parkanem stoi stary, spleśniały dom; Geist, w podartych spodniach i drewnianych sandałach „jak najuboższy wyrobnik”, wita gościa wiadomością, że sprzedał materiał wybuchowy kompanii anglo-amerykańskiej (sto pięćdziesiąt tysięcy franków z góry plus prowizja) — więc „na parę lat nie potrzebuje majątnego wspólnika”, lecz nad metalami pracuje dalej. W chłodnej sali stoi potężny stalowy cylinder o ścianach „na łokieć grubości”, spięty obręczami; Wokulski dotyka go i dostaje **pęcherzy nie z gorąca, lecz z mrozu** — wewnątrz panuje „sześćset atmosfer ciśnienia” („Wulkan!”). Na górze, wśród retort, pękniętych bomb artyleryjskich i stosu elektrycznego, widać skrajną nędzę uczonego, który „od czterdziestu lat” topi w aparatach miliony i „czasem nie ma co jeść” — Wokulskiemu jawi się on **jak Mojżesz prowadzący do ziemi obiecanej jeszcze nie urodzone**

**pokolenia.** Na uwagę o grobie Geist odpowiada materialistycznym credo: „w naturze nie ma grobów ani śmierci, są różne formy bytu — jedne pozwalają nam być chemikami, inne tylko preparatami chemicznymi”.

Geist pozwala Wokulskiemu przez parę godzin **samodzielnie badać metale** (waży je, ogrzewa, kuje, przepuszcza prąd, tnie) — i bohater upewnia się, że „przynajmniej pod względem fizycznym” są autentyczne. Uczony rozwiewa pozór cudu: prawa natury pozostaną nietknięte, zmienia się tylko pojęcie o „budowie wewnętrznej ciał”. Tłumaczy to **demonstracją trzech stalowych sześciątów** tej samej wielkości — pełny waży osiem kilogramów, pusty pół, a klatka z drutu kilkanaście gramów: cała tajemnica polega na budowaniu „klatkowatych cząstek ciał” zamiast pełnych, stąd możliwy metal „lżejszy od powietrza”. Na pożegnanie Geist daje Wokulskiemu skrawek metalu „pięć razy lżejszego od wody” jako „**amulet przeciw powątpiewaniu**” (metal, który „prędzej zniknie, aniżeli zdradzi sekret”) i odprawia go słowami: „przyjdiesz tu, kiedy ci już nic nie zostanie z dawnych złudzeń”.

Powrót do hotelu przynosi **przełomowy bunt przeciw romantyzmowi**. Wokulski oprawia skrawek metalu w złoty medalion i zawiesza go na szyi „jak szkaplerz” — świecki relikwiarz nauki na miejscu religijnym. Tonąc we wspomnieniach (sklep Hopfera, perpetuum mobile, model balonu, Kasia Hopfer, „która mizerniała z miłości dla niego”), powtarza „dlaczego ja nie idę do roboty?”, aż wzrok pada na kupionego Mickiewicza. Książka otwiera się sama na lirykach miłosnych („Ale gdy ciebie ujrzę... znowu jestem spokojny, zimniejszy nad głazy, aby goreć na nowo”), a Wokulski poznaje, „**przez kogo jest tak zaczarowany**”. Z łzą pod powieką, lecz bez płaczu, wybucha oskarżeniem: „**Zmarnowaliście życie moje... Zatruliście dwa pokolenia!**” — to poezja romantyczna nauczyła go „gardzić codziennymi kobietami, a szukać niepochwytneho ideału”, uczyniła z miłości „żałobny ołtarz, przed którym śpiewają się egzekwie nad zdeptanym sercem”, zamiast „radości świata, słońca życia”. Ciska książkę w kąt, aż „rozlatują się kartki” — symboliczny gest zerwania z romantycznym wzorcem miłości, choć, jak pokaże dalszy ciąg, niełatwy do dotrzymania.

Gniew zaraz jednak ustępuje **rehabilitacji poety**: jeśli poezja zatrula życie Wokulskiego, to kto zatrul ją samą? Mickiewicz „tak jak i ja, kochał pannę wysokiego urodzenia, która mogła stać się nagrodą nie rozumu, nie pracy, nie geniuszu, ale pieniędzy i tytułu” — winni są więc nie poeta, lecz ci, „jakimi go nasycali”; „przelewając w naród własną duszę, razem z nią przelał cierpienia”. Ze czcią zbiera podarte kartki. Stąd przechodzi do gorzkiej **diagnozy społecznej kraju**: dwa narody żyjące obok siebie — arystokracja, „szlachetna roślina, która ma prawo ssąć glinę i mierzwę”, i bezsilne pospólstwo; kult rodu tak silny, że nawet on, „głupiec, wydał kilkaset rubli na kupno szlacheckiego patentu”. W Paryżu zaś „naczelnym miejsc nie obsiada pleśń podejrzanego starożytności”, lecz „praca, rozum, wola, twórczość, wiedza” — gdy w kraju

„praca staje pod pręgierzem, a triumfuje rozpusta”, oszczędność jest wstydem, a uczoność „równoznaczny z obłędem”.

Te myśli prowadzą do **postanowienia „Zostaje!”**: Wokulski liczy współpracowników do dzieła Geista (on, Geist, Ochocki, jeszcze dwóch — osiem tysięcy prób w pięć lat) i marzy o pierwszej „machinie latającej, trwałej jak okręt pancerny”, a uliczny gwar zlewa mu się w okrzyk „Sława!... sława!... sława!”. Otwiera medalion — skrawek metalu na miejscu, „Geist nie łudził”, droga do wynalazku otwarta. Zaczyna list do Rzeckiego od słów **„do Warszawy już nie wróćę”** — lecz na ich widok ogarnia go trwoga. Waży „dwie drogi”: reformę ludzkości (każdy nowy materiał to „nowe piętro cywilizacji”: brąz, żelazo, proch, węgiel) przeciw zdobyciu kobiety, „która przy takich jak ja parweniuszach nie wahałaby się kąpać”; przewiduje, że po ślubie do salonu „wleliby się jawni i tajni wielbiciel”, a on „spodliłby się do zazdrości o podobne indywidua” — „wolałbym rzucić serce głodnemu psu”. W tym właśnie momencie odwrócenia ról („dawniej Geist byłby symbolem szatana, z którym walczy o duszę anioł w postaci kobiety — a dziś kto jest szatanem, a kto aniołem?”) garson przynosi **list prezesowej**: staruszka donosi, że Izabela („Bela”) bawi w sąsiedztwie u ciotki, „spiekła raczka” na wieść o liście, i prosi, by Wokulski przyjechał przeprosić. Cała pozytywistyczna decyzja wali się w gruzy: Wokulski natychmiast żąda rachunku „za ostatnie pięć dni” i powozu „na dworzec kolei północnej” — wraca do Warszawy po jednym skinieniu Izabeli.

## Rozdział IV — Człowiek szczęśliwy w miłości

W Warszawie czeka drugi list prezesowej (zaproszenie na parę tygodni, „nie z powodu twoich awansów”, lecz dla odpoczynku i towarzystwa „młodych i ładnych kobiet” — co Wokulskiego nie obchodzi). Rozejrzenie w interesach pokazuje **dalszy gwałtowny rozkwit handlu**: doszło kilkudziesięciu nowych kupców (cofnął się tylko jeden, urażony, że firma Wokulskiego to już „arsenał”, nie „sklep bławatny”), Rzecki na własną rękę wynajął nowy skład, zgodził ósmego subiekta i dwu ekspedytorów. Z kasy ogniotrwałej, z uroczystą miną, stary subiekt wydobywa **list Suzina** z nową ofertą zimowego interesu „prawie tej samej doniosłości co paryski”; na słowa Wokulskiego deklaruje wiarę graniczącą z bałwochwalstwem — „gdybyś nawet spalił miasto, byłbym pewny, że zrobiłeś to w szlachetnym celu” — wciąż podejrzewając przyjaciela o polityczne „knowania”.

Powrót obnaża też **dwuznaczną sławę** Wokulskiego: sterta biletów wizytowych od stu wpływowych i utytułowanych osób, prośby o protekcję, ale i anonimy nazywające go „zdrajcą”, „fagasem w liberii arystokracji”, oszczerstwa o panią Stawską („kokietka i awanturnica”) i o Rzeckim („oszust wykradający komorne z Wirskim”). Na ulicy jedni mu się kłaniają, inni „z niechęcią odwracają głowę” — wśród nich dwaj znajomi z Irkucka, co go boleśnie dotyka. Odpisawszy Suzinowi (przyjmuje, w połowie października będzie w Moskwie), wyjeżdża

wieczorem **koleją do prezesowej**. I tu jest przedmiotem uwagi (zawiadawca, osobny przedział). W nocnym pociągu, patrząc na gwiazdy, wspomina syberyjskie niebo i formułuje gorzki bilans: cała jego wiedza, majątek i możliwości pochodzą „z dalekiego Wschodu i dalekiego Zachodu” — nie z kraju, gdzie znajdował „tylko upokorzenie, zawiść albo wątpliwą wartość poklasku”. „Wyjadę stąd!... Chyba że *ona* mnie zatrzyma” — i znów, na myśl „a może to panna Izabela?”, robi mu się gorąco. Rozdział zamyka **ocieplenie**: wspomnienie ojca, stryja, Kasi Hopfer, Rzeckiego, Leona, Szumana, księcia — „serc przyjaznych”, bez których „cała nauka i majątek” nic nie warte, a nawet wynalazek Geista miałby sens tylko jako „oręż zapewniający zwycięstwo rasie ludzi szlachetniejszych” — łącząc po raz pierwszy wielką ideę z osobistą potrzebą miłości i ludzkiej życzliwości.

Wokulski uznaje, że „jest i u nas niemało do zrobienia”, że na „epokowe wynalazki” jest już za stary („niech się tym zajmują Ochoccy”) i że woli „innym przysporzyć szczęścia i sam być szczęśliwym” — a z zamkniętymi oczyma widzi Izabelę, która „łagodnym uśmiechem przytakuje jego zamiarom”. W tym nastroju do przedziału prosi się **baron Dalski** — wspólnik spółki do handlu ze Wschodem, którego Wokulski bierze za rywala jadącego oświadczyć się Izabeli. Rozwija się **komedja pomyłki**, jedna z najlepszych scen ironicznych powieści: baron opowiada o odnawianym pałacu, o meblach kupowanych w Wiedniu, o obiciach, które trzeba zerwać, bo „się nie podobały” — a Wokulskiego „zimno przechodzi”: „dla kogo te meble? komu nie podobały się obicia?”. Baron prawi mu komplementy o „złamaniu zasady abstynencji politycznej” (znów aluzja do rzekomej misji Wokulskiego), aż wreszcie wyjmując cztery safianowe pudełka z **szafirami** (bransoleta, brosza, kolczyki, naszyjnik) i przesuwając je w blasku świecy. Wokulski, sparaliżowany („nie może podnieść ręki ani wyprostować nóg”), pyta zduszonym głosem, dla kogo prezent — i dopiero odpowiedź „mojej narzeczonej... **pannie Ewelinie Janockiej, wnuczce prezesowej**” zdejmując z niego grozę: to nie Izabela, baron nie jest rywalem.

Odzyskawszy siły, Wokulski wysłuchuje **wyznania szczęśliwego starca**. Baron — schorowany, nieustannie zasłaniający gardło i bojący się przeciągów — z rozczuleniem opisuje Ewelinę: wydała mu się zrazu „zimna jak posąg”, lecz okazała „skarby uczuć”; zabroniła mu fiksatarować wąsy, bo „dla niej pięknym może być tylko siwy mężczyzna” (szpakowaci są „tylko interesujący”). Wyznaje, jak ją „wziął na próbę” intercyzą: w razie zerwania z czyjejkolwiek winy miał płacić jej pięćdziesiąt tysięcy rubli — na co panna w płacz, że „za pięćdziesiąt tysięcy nie odda miliona” (czyli jego), po czym wzruszony baron padł jej do nóg i uczynił ją w testamencie „jedyną spadkobierczynią, choćby umarł przed ślubem”. Prus podaje to z podwójnym dnem: czytelnik słyszy w deklamacjach Eweliny **wyrachowanie** (kalkulacja „pięćdziesiąt tysięcy” kontra „milion”), którego zaślepiony starzec nie dostrzega — to satyryczny portret małżeństwa-transakcji w arystokratycznym świecie i zarazem ostrzegawcze lustro dla samego Wokulskiego.

Po wyjściu barona Wokulski nie może odpędzić jego obrazu — „mumii” z „ceglastym rumieńcem” i włosami „jak posypane mąką” — i z tej obserwacji wyciąga **niebezpieczny dla siebie wniosek**: skoro młoda panna „naprawdę go kocha” (a kobiety „są szlachetniejsze od mężczyzn, mniej kłamią”), to „jeżeli młoda dziewczyna może pokochać takiego dziada, to dlaczegoż by mnie nie miała pokochać tamta?”. Sam nazywa tę myśl „rodzajem monomanii”. Rozdział wieńczy **kosmiczna metafora**: patrząc na gwiazdy i niewidzialną siłę przyciągania, która „wiąże odległe światy potężniej niż materialne łańcuchy”, Wokulski utożsamia **przyciąganie z przywiązaniem** — „siłę tak wielką, że wszystko za sobą porywa, a tak płodną, że tryska z niej wszelkie życie”. Skoro ziemia bez przywiązania do słońca „stałaby się bryłą lodu”, to „czy między baronem a Eweliną większa przepaść niż między ziemią i słońcem? co się dziwić szaleństwom ludzi, jeżeli w ten sam sposób szaleją światy”. Tak Prus podnosi miłosną obsesję bohatera do rangi prawa natury — i tym samym jeszcze mocniej usprawiedliwia w oczach Wokulskiego jego własne „szaleństwo”. Zasypia, budzi się o dziewiątej na nowej stacji, gdzie rozpromieniony baron pije trzecią herbatę, czekając na konie do majątku prezesowej.

Na peronie baron, wskazując bezleśną, „doskonale uprawną” okolicę szlacheckich dworów (przysłowie: „na dworskim polu dużo stert, na chłopskim dużo ludzi”), przedstawia Wokulskiemu **towarzystwo zebrane u prezesowej**: swoją narzeczoną Ewelinę, bogatą trzydziestoletnią wdówkę **panią Wąsowską** (wokół której „krąży Starski”), osiemnastoletnią **Felę Janocką, Ochockiego** (raz łowi ryby, raz poluje, „co za wiedza, zrobił kilka wynalazków”) oraz — „bardzo często” — pana Łęckiego z córką, którą baron chwali jako „istną boginię” („szczęśliwy, komu odda serce i rękę”), nie wiedząc, że mówi do zakochanego rywala.

## Rozdział V — Wiejskie rozrywki

---

Rozdział otwiera **komediowa scena spotkania powozów** na drodze do Zasławka, w której Prus jednym rzutem charakteryzuje całą wiejską obsadę. Z rozpędzonego żółtego breku, wśród „burzy śmiechów i okrzyków”, wysiada towarzystwo: **pani Wąsowska** — energiczna wdowa o „kasztanowatych włosach i czarnych oczach”, mówiąca pięknym kontraltem, która „daje dymisję wielbicielom, co ją nudzą” i bezlitośnie strofuje fatalnie powożącego Ochockiego oraz cynicznego Starskiego; **Kazimierz Starski** — arogant prawiący komplementy „lichą polszczyzną”, broniący swoich „wszechświatowych” (japońskich) swobód wobec kobiet; oraz **panna Fela**, która patrzy na Wokulskiego „z pełnym zachwytu podziwem”, rumieni się, a gdy się spostrzeże, udaje obrażoną i odwraca się doń „prawie tyłem”. Baron, dopadłszy narzeczonej, „zanurza się w jej rękawie” w długim dla widzów wybuchu czułości i prosi Wokulskiego, by „w czasie jego nieobecności zastępował przy niej jego miejsce”.

Najważniejszy jest tu **portret Eweliny** — i podszyty ironią sygnał intrygi. Narzeczona barona, „dama w białej narzutce”, podaje Wokulskiemu „prześliczną rękę” o „lodowatym chłodzie”, a jej pobladłą twarz znamionują „smutek i obawa” („szczególna narzeczona!” — myśli Wokulski). Gdy zauważa jego spojrzenie, odpowiada „pogardliwym wejrzeniem” i nagle przechodzi „z bezbrzeżnego smutku do dziecinnej wesołości”, obdarza barona pocałunkiem i „niechcący potrąca go nóżką”, aż staruszkowi sinieją usta. W chwili, gdy brek się przechyla (Wokulski wyskakuje i podpira go), w błyskawicznej scenie widać, jak **Ewelina jedną ręką chwyta kozioł, a drugą „wpija się w ramię Starskiego”** — drobny, lecz znaczący gest, którym Prus dyskretnie zawiązuje ukryty wątek romansu narzeczonej barona ze Starskim. Fela zaśmiewa się („cóż złego mogło się stać, przecież jedzie z nami pan Wokulski”), zdradzając swoje podlotkowe zadurzenie.

Reszta jazdy to **lekki, błyskotliwy dialog salonowy** — przekomarzania Wąsowskiej ze Starskim (którego odprawia za „japońskie zwyczaje”) i z Ochockim (któremu „daje urlop ze spacerów”, a Wokulskiego zaprasza na wspólne konne przejażdżki, trafnie wnosząc z jego refleksu przy breku, że „dobrze jeździ”). Wąsowska wspomina, że Paryż widziała cztery miesiące temu („kochane miasto”), Ochocki wykrzykuje „Zasławek!” i zaplątuje bicz między parasolki. Rozdział zamyka **widok rezydencji prezesowej**: na łagodnym wzgórzu piętrowy pałac z dwoma skrzydłami, za nim stary park, przed nim łąka z klombami, posągami i altankami, a u stóp wzgórza sadzawka „z łódkami i łabędziami” — sielankowa sceneria, w której rozegra się dalszy ciąg miłosnych i towarzyskich gier.

W gościnnym pokoju z oknami na park Wokulski doznaje **ukojenia**: wobec „prostych powabów natury” (świerki, modrzewie, gniazdo wróbli w bzie, wrześnieowy wiatr) wizerunek Izabeli „roziewa się”, a w sercu pierwszy raz od dawna zalegają „ukojenie i cisza”. Przy śniadaniu prezesowa wita go serdecznie i całuje w czoło (co robi na obecnych wrażenie), sadza koło Wąsowskiej i objaśnia zwyczaj domu: „schodzimy się obowiązkowo tylko do stołu, poza tym każdy robi, co mu się podoba”. Na osobności wypytuje gościa o pierwsze wrażenia: chwali Wąsowską, o baronie mówi „stary, bardzo stary, a chce mu się żenić”, a o Ewelinie zwierza się z **rozczarowania** — „zaczynam tracić dla niej serce”; skoro panna dostanie „krocie barona”, swoje dwadzieścia tysięcy przeznaczy „na innych”. W jej głosie „czuć rozdrażnienie” — sygnał, że i opiekunka przeczuwa w Ewelinie coś fałszywego.

Spacer po parku przynosi **dwa znaczące obrazki Zasławka jako majątku wzorowego**, rządzonego dobrocią. Najpierw pies na łańcuchu, który szczeka „jakby dostał wścieklizny”, lecz „ma wesołe oczy i kręci ogonem” — bo, jak tłumaczy otyły parobek (były rataj, którego „wół złamał zebro”, przeniesiony do lekkiej pracy w pasiece), „u nas to i pies musi być łaskawy”. Te drobiazgi — syty chłop, pies niezdolny do złości — malują dwór, w którym nikogo się nie krzywdzi. Dopelnia je relacja Ochockiego (dołączonego z wędkami): za parkiem stoją murowane **czwórniki dla parobków, ochronka dla trzydziestu „umytych i**



**oblatanych jak książątka" parobcząt i przytułek dla starców** — wszystko tak, że zwiedziwszy „kraj, gdzie parobcy mieszkają jak świnie", Ochocki „przetarł oczy, jakby był na wyspie Utopii". Podziwia też bibliotekę i lektury prezesowej (transformizm, którym „brzydzi się" tylko za to, że uznał walkę o byt za prawo natury) — staruszka urasta na **wzór światłego, humanitarnego ziemiaństwa**, ideał, jakiego Prus gdzie indziej w powieści daremnie szuka.

Ochocki przy okazji odsłania **biografię i charakter Starskiego** — kluczową dla zrozumienia rywalizacji o kobiety. Starski mieszka u prezesowej (swej ciotecznej babki i chrzestnej matki) i „martwi się, że nie odziedziczy po niej majątku" (~trzysta tysięcy rubli, które ona woli „wesprzeć podrzutków, niż kasę w Monako"). Niegdyś Wąsowska (jako panna) „miała słabość do Starskiego" („Kazio i Kazia, jaka dobrana para"), i być może po to zjechała do Zasławka; przez kilka dni było „dobrze" (Kazio nawet „zrealizował wymiar rachunek posagu"), lecz „coś się zepsuło" — teraz wdowa „kpi sobie z Kazia". Jego życie to długi, gra, podróże („głównie po paryskich i londyńskich knajpach") i przede wszystkim **bałamucenie młodych mężatek** — w czym „jest mistrzem" o „ustalonej reputacji". To uspokaja Wokulskiego co do rywala: „ten nie zbałamuci panny Izabeli" — przekonanie, które Prus podsuwa z ironią, bo właśnie Starski okaże się cieniem nad jego miłością.

Wieczorem, w altanie, Wokulski trafia na **cyniczny wykład Starskiego o małżeństwie** — programowy kontrapunkt dla idealizmu bohatera. Starski, „rozparty, znudzony, uderzając szpicróżgą w but", dowodzi, że w historii liczyły się nie małżeństwa „ze skłonności", lecz „z rozsądku" (Jadwiga, Maria Leszczyńska, Batory, Napoleon), bo małżeństwo to „nie poetyczny związek dwu dusz", lecz „ważny wypadek dla mnóstwa osób i interesów" — ożeniwszy się „z guwernantką", byłby „jutro zgubiony w swojej sferze". Wygłasza apologię pieniądza: wszyscy „obłudnie gardzą pieniędzmi", choć „podły pieniądz" to „mierzwa, z której wyrasta wolność osobista, nauka, sztuka, nawet idealna miłość" — wszak miłość rycerzy i trubadurów „wypielegnowały klasy majątne", które stworzyły kobietę „z delikatną cerą i białą ręką". Prezesowa odcina się z godnością: „co innego małżeństwa polityczne, a co innego małżeństwo dla pieniędzy z człowiekiem, którego się nie kocha — to gwałt zadany najświętszym uczuciom" — i ta wymiana, słyszana przez Wokulskiego, stawia wprost dylemat całej powieści: rozsądek kupczący uczuciem przeciw prawu serca.

Starski kieruje wykład w stronę Wokulskiego jako „przedstawiciela ludzi czynu", którego „do niebezpieczeństw ciągnął pieniądz" — i podstępnie zrównuje jego dorobek z małżeństwami dla majątku. Wokulski przyznaje, że i on „ożenił się dla pieniędzy" — lecz precyzuje: **„nie dla majątku, ale dlatego, ażeby mieć pracę i nie umrzeć z głodu"**, i właśnie dlatego, że zna to „prawo", o którym mówi Starski, „żałuje tych, którzy muszą mu ulegać — to chyba największe nieszczęście w życiu". Replika zjednuje mu prezesową i Wąsowską. W tym momencie Ewelina podnosi głowę znad haftu i spogląda na Starskiego „z takim wyrazem rozpacz", że Wokulski się dziwi — a w drodze na folwark podsłuchuje urywek ich szeptu:

„Czasem zdaje mi się, że wolałabym w grobie leżeć...” — „Odwagi... odwagi...” — który potwierdza, że narzeczonej barona i Starskiego łączy tajemnica.

Wyprawa na folwark to kolejny **obraz prezesowej budzącej miłość w ludziach i zwierzętach**: karmi stado kur (stara Mateuszowa melduje o jastrzębiu i kurze, co „udławiła się kamieniem”), obchodzi obory i stajnie, a wybiegłe źrebię „rzuca się na nią przednimi nogami jak pies” i kładzie jej głowę na ramieniu (Starski gderze: „on babcię kiedy skaleczy, kto widział przyzwyczajając do pieszczot źrebięta”); nawet krowy witają panią „stłumionym rykiem”. Wieczorem baron prowadzi naprzód bladą Ewelinę (sam „z wypiekami”), a potem, odprowadzając Wokulskiego do pokoju, wygłasza **wzruszające i złowieszcze zarazem wyznanie**: narieczona to „obraz westalki”, przed którą chciałby się „tylko modlić” i całować „brzeg jej sukni”; przerywany męczącym kaszlem (krew zabiega mu do oczu), zdradza, że konsultował Chałubińskiego i Baranowskiego, którzy na wieść, iż lekarze berlińscy „od dawna kazali mu się żenić”, westchnęli „szkoda, że pan natychmiast nie spełnił zalecenia”. Postanawia ślub „przed adwentem” i pyta Wokulskiego o życie pozagrobowe — pociesza się, że spotka Ewelinę „na lepszym świecie, gdzie oboje będą młodzi” („co zwiążecie na ziemi, będzie związane w niebie”). Prus daje tu pełny tragikomizm: starość i choroba kupujące sobie młodość, ślepe na to, co widzą wszyscy.

Bo Wokulski, słuchając nocnego kaszlu, formułuje to wprost: „**czy wszyscy zakochani są tak ślepi jak on? dla mnie jest jasne, że ta panna wcale go nie kocha — może kocha Starskiego**”. Rozważa, że Ewelina idzie za męża dla pieniędzy, a Starski „swymi teoriami umacnia ją w zamiarze” — lecz z oburzeniem odrzuca „potworną kombinację”, że mógłby być jej kochankiem prowadzącym nią handel („tylko kobiety publiczne mają takich kochanków — co za głupie przypuszczenie!”). To dramatyczna ironia: Wokulski odrzuca prawdę, która rzeczywiście wisi nad Eweliną, podobnie jak nie chce jej widzieć w przypadku Izabeli i Starskiego. Zasypia, śniąc, że „jest baronem zakochanym i chorym, a Starski odgrywa przy nim rolę przyjaciela domu” — budzi się ze śmiechem: „już to wyleczyłoby mnie od razu!”.

Rozdział kończy **konna przejażdżka z panią Wąsowską** (ku rozpaczy zazdrosnej Feli, która wraca „jak Maria Stuart przebacząca oprawcom, z czerwonym noskiem”). Wdowa — „kszałty Junony”, w obcisłej amazonce, rzucająca się na siodło „jak sprężyna” — pędzi galopem z okrzykiem „Avanti, Savoya!”, po czym wszczyna rozmowę, która odsłania jej własną pustkę: pyta, czy „dorabianie się majątku” sprawia przyjemność (Wokulski: „nie”), wyznaje, że w zeszłym roku „postanowiła wydać masę pieniędzy” — wydała dwadzieścia siedem tysięcy i „nie spłoszyła nudów” — i prowokacyjnie wyzywa Wokulskiego (który z większego dochodu wydaje ledwie dziesięć tysięcy), by „wydał sto tysięcy na rok i powiedział, czy to robi sensację”. Tak Prus stawia obok pustki bogactwa Wąsowskiej powściągliwość Wokulskiego — i otwiera między nimi grę, w której wdowa zacznie się gościem szczerze interesować.

Przejażdżka przeradza się w błyskotliwy, kilkustronicowy **pojedynek słowny**, jeden z mistrzowskich dialogów powieści, w którym Wąsowska i Wokulski wykładają sobie nawzajem dwie filozofie miłości. Wokulski twierdzi, że sto tysięcy rocznie nie daje szczęścia, bo „szczęście każdy nosi w sobie”, a on sam jest niezwykle „tylko przez cierpienia, nie przez wydatki”. Wąsowska, znudzona, żąda, by ją bawił; gdy wymienia Starskiego, zbywa go jako rozszyfrowany typ uwodziciela („ten sam zarost à la arcyksiążę Rudolf, te same półsłówka; unika panien bez posagu, cyniczny z mężatkami, wzdychający przy pannach, które mają wyjść za mąż”). Ochockiego ceni jako „zajmującego, nawet niebezpiecznego”, lecz „nie z tego świata” — wierzy w idealną miłość, „z którą zamknąłby się w laboratorium”.

Kulminacją jest **scena uwodzicielskiej prowokacji** — Wąsowska każe Wokulskiemu poprawić popręg, a gdy ten wsuwa rękę pod siodło, tak porusza nogą, że jej kolano dotyka jego twarzy; oskarża go („pocałowałaś mnie pan w nogę!”), a wobec jego chłodnego „nie” odjeżdża cwałem, szepcząc „głupiec czy kamień!”. Sama nazywa to rolą „Putyfarowej, która znalazła Józefa”. Wokulskiego scena rani jednak inaczej, niż chciała: budzi w nim **zazdrosną tęsknotę za Izabelą** — „czy i panna Izabela jeździ konno? i kto też jej poprawia siodło?”. Wąsowska, rozbawiona jego niewzruszonością, odsłania własny **program miłości**: z dziesięciu adoratorów wybiera jednego najciekawszego, bawi się nim miesiąc, potem „robi przegląd następnej dziesiątki” — „to miłość wieku pary i elektryczności”. Wokulski kwituje to zjadliwie: przypomina kolej żelazną, bo „jeździ prędko i bierze pasażerów, ilu się da”.

Spór pogłębia się do **wzajemnego obnażenia**. Wokulski wytyka jej sprzeczność: nie sposób zarazem zmieniać wielbicieli co miesiąc i pragnąć „nietuzinkowego człowieka, który nawet w grobie nie zapomni” — to wymaga, by bohater „był ślepy i głupi”; oddając takiej kobiecie duszę, mężczyzna „musi spoglądać na zegarek, żeby nie spotkać poprzedników i nie przeszkadzać następcom” („czy podobna wielkie uczucie wyhodować na takim jarmarku?”). Wąsowska odplaca równie celnie, formułując **gorzkie oskarżenie pod adresem mężczyzn**: „wszyscy jesteście podli” — gdy kobieta marzy o idealnej miłości, mężczyźni wyśmiewają jej złudzenia i wymuszają kokieterię (bo panna bez niej „nudna”, mężatka „głupia”), a gdy ją wreszcie do tej kokieterii przywiodą, „z ciemnego kąta wyłazi egzemplarz w kapturze Piotra z Amiens i wyklina kobietę: tobie już nie wolno kochać, boś straciła złudzenia” — „a któż ją okradł, jeśli nie pańscy rodzeni bracia? cóż to za świat, który naprzód obdziera z ideałów, a potem skazuje obdartego?”. Tu pęka jej poza — gryzie chustkę, łza spada „na końską grzywę”; odprawia Wokulskiego, by przysłał jej Starskiego, „bo jego bezczelność zabawniejsza od pańskiej księżowskiej powagi”.

Mimo ostrości rozmowa kończy się **pojednaniem i wzajemnym szacunkiem**. Wokulski rozmyśla, że to „dziwna kobieta — bo złą nie jest, ma nawet szlachetne porywy”, i diagnozuje świat, w którym „jedne sprzedają się ludziom zgrzybiałym, a inne traktują ludzkie serca jak polędwicę”. Gdy Wąsowska pyta „między nami pokój czy wojna?”, odpowiada szczerze: „w jednej godzinie dowiedziałem się od pani więcej niż przez całe życie”. Ona, tłumacząc swoje

szaleństwo „kroplami krwi węgierskiej”, nie cofa nic, lecz ostrzega, że bynajmniej jej nie poznał — i każe mu pocałować się w rękę: „jesteś pan rzeczywiście interesujący”. Cała scena, prócz świetnego portretu Wąsowskiej, jest dla Wokulskiego **bolesnym wglądem w mechanizm salonowej gry uczuć** — tej samej, w którą uwikłana jest Izabela — i utwierdza go w gorzkim podejrzeniu wobec ukochanej.

## Rozdział VI — Pod jednym dachem

---

Rozdział przenosi punkt widzenia na **pannę Izabelę**, która tego samego dnia — niechętnie, na żądanie ciotki — dojeżdża do Zasławka, i daje retrospektywny wgląd w to, jak zmieniło się jej spojrzenie. Hrabina żegna ją dwuznacznie („nie radzę ani odradzam — masz rozum, sama musisz coś postanowić i przyjąć konsekwencje”), wsuwając jej w rękę woreczek z pieniędzmi. Wieś, a właściwie „wypadki i możliwość zastanowienia się”, przemodelowały poglądy panny. Przyjechała tu pierwotnie **dla Starskiego** (powszechnie typowanego na spadkobiercę prezesowej) — lecz staruszka, przyjrzawszy się wnukowi, postanowiła zapisać mu ledwie „tysiąc rubli renty”, a majątek przeznaczyć „na podrzutków i ich nieszczęśliwe matki”. Tym samym Starski stracił wartość jako epuzer, zwłaszcza gdy oświadczył, że „nigdy nie ożeniłby się z gołą panną — raczej z Chinką, byle miała kilkadziesiąt tysięcy rocznie”. Izabela przestała go traktować poważnie, ale jego westchnienie i przelotne spojrzenie podsunęły jej pochlebne złudzenie, że „piękny Kazio ma sercową tajemnicę” i szukając bogatej żony „robi ofiarę” — może dla niej („biedny chłopiec, ale trudno”).

Drugi konkurent, **baron**, wykreślił się sam, zaręczając się z Ewelina — i to Izabelę, choć czuła do barona wstręt, paradoksalnie przeraziło: „jak to, są kobiety, dla których można wyrzec się jej?!” Pod wpływem tego lęku odezwała się o Wokulskim niespodziewanie życzliwie („bardzo żałuję, że może mieć do mnie żal, nie postępowałam z nim, jak zasługiwał”), rumieniąc się tak, że prezesowa od razu uznała za stosowne **zaprosić Wokulskiego na wieś** (z nadzieją swatów: „on brylant między mężczyznami, ona dobre dziecko”). Potem panna pożałowała tych słów („jeszcze gotów pomyśleć, że wyszłabym za niego”). Prus wyjaśnia tu również **zaborczość Wąsowskiej**: usłyszawszy, że Wokulski „może kochać pannę Izabelę”, wdowa „rzuciła się jak rumak dotknięty ostrogą” — nie chce wychodzić za mąż ani odbijać konkurentów, lecz „nie może pozwolić, by mężczyzna kochał się w innej, nie w niej”; dlatego zabrała Wokulskiego na przejażdżkę akurat na przyjazd rywalki (stąd nieudana scena z siodłem).

Spotkanie pod jednym dachem zaczyna się od **upokorzenia Izabeli**: wszyscy witają ją słowami „przyjechał Wokulski”, Fela ze łzami wyznaje swoją zazdrość, a sam Wokulski — wbrew jej oczekiwaniom, że pierwszy wybiegnie na powitanie (by go potraktować „z najwyższą pogardą”) — **pojechał na spacer z Wąsowską**. To kłuje ją („zawsze kokietka, choć ma trzydzieści lat”), a planowana wzgarda rozplywa się w „mieszaniecie lekkiego gniewu, lekkiego

zadowolenia i lekkiej obawy". Wokulski jawi jej się teraz inaczej: nie „kupiec galanteryjny”, lecz „człowiek, który wraca z Paryża, ma ogromny majątek, którym zachwyca się baron, którego kokietuje Wąsowska”.

Kluczowa jest **rozmowa z prezesową** w pokoju panny — gorąca obrona Wokulskiego i całej jego klasy. Staruszka demaskuje, że hrabina (Joasia) nie przyjeżdża, bo „nie chce spotkać Wokulskiego — dobry dla niej tylko, kiedy sypie pieniądze na jej ochronę”. Na słowo „kupiec” wybucha: „Wokulscy są tak dobrą szlachtą jak Starscy, a nawet Zasławscy”, a „uczciwego kupca wolę od dziesięciu austriackich hrabiów”; kpi z urodzenia („najmniejsza zasługa tych, którzy się rodzą”; wnuk bywa „podobny do kamerdynera, nie do ojca”). Wyznaje, że kochała stryja Wokulskiego i „całe życie była nieszczęśliwa, bo ją od niego oderwano — z tych samych pobudek, dla których twoja ciotka dziś lekceważy Wokulskiego”. Prorokuje: „**nie on do salonów, ale salony do niego przyjdą**”, a pierwsza hrabina, „jeżeli zdarzy się interes”; Wokulski to „człowiek czynu, nie próżniak jak Starski ani marzyciel jak książę, ani półgłówek jak Krzeszowski — szczęśliwą będzie kobieta, którą wybierze”, choć „nasze panny mają więcej wymagań niż doświadczenia i serca”.

Słowa te zostawiają Izabelę w **kalkulacji**: Wokulski „mógłby zastąpić barona, i jeszcze jak — tamten zużyty i śmieszny, tego szanują ludzie; Kazia Wąsowska zna się na tym”. Rodzi się w niej zazdrosna ciekawość: „zobaczymy, czy pan Wokulski potrafi być wiernym — ładna wierność jeździć z inną na spacer”. Tymczasem Wokulski, wróciwszy, widzi na dziedzińcu jej powóz i — ścięty „nieokreślonym przecuciem” — nie śmie zapytać, kto przyjechał; gardło ściska mu obawa. Mimo prób studzenia się („jest taką samą kobietą jak inne, a ja nie jestem jak baron”) czuje, że dla niego „ona jest inna” i że „złożyłby u jej nóg majątek, nawet życie”. Zaraz jednak wzbiera w nim gniew na myśl o Starskim („pamiętam te spojrzenia...”) i postanowienie pełne urazy: „**Teraz ja będę twoim sędzią**”. Gdy lokaj melduje pannę Łecką i prosi na obiad, Wokulski staje w oknie z „głuchą obawą”, jak się z nią przywita — i Prus zawiesza ich pierwsze po Paryżu spotkanie na progu rozdziału.

Droga do jadalni jest dla Wokulskiego męczarnią — wychodzi i wraca „noga za nogą, jak prostak, który ma stanąć przed królem”; u drzwi słyszy kobiecy śmiech i chce uciec, lecz czyjeś kroki wypychają go do środka. **Pierwszy widok** wszystko rozstrzyga: Izabela rozmawia ze Starskim, który ma „ten sam ironiczny uśmiech jak wówczas w Warszawie”. Fala gniewu wraca Wokulskiemu energię — wchodzi „z podniesioną głową”, wita prezesową, składa pannie wyważone, chłodno-grzeczne ukłony (pyta o ojca, o hrabinę). Przy stole siada obok Wąsowskiej, która od razu bierze go „pod komendę” (żartobliwa wymiana o „manowcach”, po których „jeździć najprzyjemniej”). Izabela tymczasem przekomarza się ze Starskim w lekkim, salonowym tonie („nie mamy zamiaru nigdy się przeproszać”), a Wąsowska kwituje: „na pańskim miejscu, panie Kazimierzu, straciłabym wszelką nadzieję”.

Obserwując, Wokulski doznaje **ulgi**: choć Izabela żartuje ze Starskim „naturalnie i spokojnie”, to on „ukradkiem spogląda na pannę Ewelinę”, która „rumieni się i bladnie” przy baronie. „Jeżeli Starski zajmuje się kimś, to tylko Ewelina, a ona nim” — myśli z radością i nagłą życzliwością dla oszukiwanego barona („już ja go nie będę ostrzegał” — i zaraz: „takie zadowolenie z cudzej biedy jest podłym uczuciem”). Po obiedzie Izabela podchodzi sama i zagrywa **nutą sentymentu**: na jego widok poczuła „żał”, bo mieli „we troje jechać do Paryża”, a „los był dobry tylko dla pana” — żąda „trzeciej części wrażeń”. Wokulski odpowiada cierpko: jego wrażenia nie były wesołe, „bo pani nie było tam, gdzie mieliśmy być razem”; ona odcina się — „umie pan jednak bawić się dobrze tam, gdzie mnie nie ma” — i odchodzi. Cała wymiana to **pojedynek dwóch uraz**: jej — że pojechał z Wąsowską, jego — że wraca do Starskiego.

W parku, na tle hałaśliwej kłótni Ochockiego z Felą (Ochocki broni prawa panien do nauki: „niech się kocha, czy lepiej, żeby była głupia? pani jest dzika kobieta”), rozgrywa się **scena-klucz: zwierzenie Eweliny**. Najpierw Wokulski podsłuchuje, jak baron z satysfakcją wylicza pannie, że Starski „z każdym dniem traci”, bo „całą jego ozdobę stanowiły widoki na spadek” — a Ewelina potakuje „z ciężkim westchnieniem”. Potem, wyprawivszy barona po szal, Ewelina bierze Wokulskiego na stronę i wygłasza długie **usprawiedliwienie swego małżeństwa**: różnica wieku nie szkodzi („im mąż starszy, tym wierniejszy, a przywiązanie męża jest dla kobiety wszystkim”); ona sama „ma słaby charakter”, „nie umie odmawiać”, nie potrafi „oprzeć się komuś, kto mówi, że jego ostatnie szczęście jest w jej ręku”. Pyta wprost, czy Wokulski usunąłby się od kogoś, kto „w jego oczach zapada w przepaść i błaga o ratunek”. On — wzburzony — odpowiada twardo: „**nie potrafiłbym zebrać nawet o miłość, a tym bardziej nie przyjąłbym wyżebranej ofiary z czyjegoś serca — takie dary bywają tylko połowiczne**”. Odpowiedź ta jest skierowana do Eweliny, lecz pada jak wyrok na całą jego własną sytuację z Izabelą.

Gdy Starski przybiega po Wokulskiego (damy go szukają), a Ewelina, „mocniej zaczerwieniona”, odprawia go, Wokulski wynosi z tego spotkania **głębokie zgorznienie**: „panna Ewelina przez litość wychodzi za barona i przez litość romansuje ze Starskim”. Rozumie kobietę wychodzącą dla pieniędzy, rozumie nawet mężatkę zdradzającą męża — „ale panna oszukująca narzeczonego jest zupełnie nowym zjawiskiem”, „nowym wynalazkiem: zdradą przed ślubem”. Słyszac, jak baron jęklivie woła po parku „Panno Ewelino!”, chowa się między gazony („po diabla ja wlałem w to błoto?”) i konkluduje gorzko: „należałoby mniej ufać poetom, kiedy zachwalają miłość jako najwyższe szczęście”, a „wolałbym w łeb sobie strzelić, niż wyjść na podobnego błazna” jak baron. Prus prowadzi tu jawną **paralełę ostrzegawczą**: Ewelina i Starski są lustrem, w którym czytelnik (lecz nie Wokulski) widzi już, co grozi w trójkącie Izabela–Wokulski–Starski. Scenę zamyka drobny, lecz wymowny gest Wąsowskiej: odchodząc z prezesową do koni, ogląda się za Wokulskim, a przyłapana — „szybko odwraca głowę”.

Zostawszy sam na sam z Izabelą, Wokulski odbywa z nią **wielką rozmowę o arystokracji i pracy** — ideowe serce tej części powieści, a zarazem najszcześniejszą dla niego chwilę pobytu. Patrząc na pannę „spokojną jak posągi greckich bogiń”, myśli z ulgą: „no, ta nie będzie oszukiwać”. Rozmowa o Paryżu szybko przeradza się w spór światopoglądowy: dla Wokulskiego stolica dowiodła, że „praca jaśnieje jak słońce”, a człowiek to „genialny i nieśmiertelny olbrzym”, który „przerzuca skały i rzeźbi z nich coś subtelniejszego od koronek” — „tam nauczyłem się być dumnym z tego, że pracuję”. Izabela przypisuje arcydzieła Luwru **arystokracji francuskiej**; Wokulski odpiera, że stworzyli je „budowniczowie, mularze, cieśle, malarze i rzeźbiarze”, a „wieńczenie próżniaków zasługami ludzi genialnych” jest fałszem. Pyta ją wprost, by wskazała w ich własnej sferze (ok. dwudziestu wspólnych znajomych — od księcia po Starskiego) choć jednego, „który by coś robił”.

Izabela broni jednak swojej tezy świetnie i z przekonaniem: „klasa wyższa” to „dobra rasa”, źródło poloru i obyczaju, „żywy wzór” cywilizujący niższe stany (na dorobku każdy „urządza dom, by przyjąć ludzi z dobrego towarzystwa”). Przytacza przy tym — celując prosto w czuły punkt Wokulskiego — słowa **księcia**: „gdyby Wokulski nie był dobrym szlachcicem, nie byłby tym, czym jest”, oraz **Ochockiego**: „od losu ma powodzenie, ale tęgość ducha ma od rasy”. Wokulski (z rumieńcem) odrzuca to twardo: „tego, co posiadam, dała mi ciężka praca, nie szlachectwo — wyżej stawiam źle urodzone zasługi od dobrze urodzonych pretensyj”. Spór łągodzi dopiero **zwrot ku kobiecie**: Wokulski przyznaje, że pielęgnowanie delikatnych uczuć i wykwintu to istotnie zasługa — ale „taką rolę odgrywają kobiety, nie arystokracja”; to one są „lampą, której blaski ozlaczają drogę cywilizacji” i „niewidzialną sprężyną czynów wymagających niezwykłego natężenia sił”. Komplement ten — w istocie wyznanie — sprawia, że Izabela się rumieni. Wokulski porównuje w duchu obie dzisiejsze rozmowy: „jakie to inne kobiety! czy nie miałem racji przywiązać się do tej oto...”.

Kulminacją jest **podziękowanie Izabeli** — punkt najwyższej nadziei Wokulskiego. Miękkim głosem wyznaje, że wyjechał do Paryża obrażony, bo go „posądzała” — nie o malwersację, lecz o „czyn wysoce chrześcijański, którego nie mogłaby przebaczyć”: że kupił ich dom „za drogo”. Teraz, wiedząc, że baronowa Krzeszowska oferuje za kamienicę dziewięćdziesiąt tysięcy (więc Wokulski nic nie traci), **dziękuje mu z całego serca** za uratowanie ojca „od ruiny, może od śmierci” i podaje rękę, którą Wokulski całuje. „Jeżeli ona nie jest aniołem, to ja jestem psem!” — myśli, odurzony szczęściem.

Wieczór jednak **zatruwają dwie rozmowy zasiewające zwątpienie**. Najpierw Ochocki, odprowadzając go, lekceważąco kwituje wywody Izabeli o arystokracji: „ciągle słyszę te argumenta, uszami mi się wylewają” — sugerując, że to wyuczony frazes, nie żywe przekonanie (choć sam wierzy w „dobrą krew”, którą „trzeba odświeżać”). Potem przychodzi rozgorączkowany, kaszlący **baron**: niby żartem robi Wokulskiemu wymówkę, że zostawił Ewelinę samą w parku i że wracając „zetrzął się ze Starskim” idącym z przeciwnego końca alei;

zapewnia, że nie jest zazdrosny („to nie kobieta, to anioł”), lecz maluje Starskiego jako figurę „traktującą kobiety jak samice”, brutalnie, „działającą im na nerwy”. Wokulski odpowiada cynicznie — i znamienne dla swojego rozdarcia: „kto wie, czy Starski nie ma racji; ten jest panem kasy, kto posiada właściwy klucz do zamku — czy my nie zanadto ubóstwiamy kobiety?”.

Po wyjściu barona Wokulski pogrąża się w **niewesołych podejrzeniach**: jeśli, jak mówił Ochocki, argumenty Izabeli „już mu się wylewają uszami”, to może jej „uniesienia i wzruszenia są tylko sposobami, którymi dobrze wychowane panny czarują głupców”? A może Ochocki sam ją kocha i chce „zdyskredytować ją w jego oczach”? Z bólem przyznaje, że rywal „młody, piękny, genialny” ma więcej szans („niech wybiera: sławę czy pannę Izabelę”). Broni się jednak rozpaczliwym wyjątkiem: ogólne „prawidło o kobietach-samicach” do niej się nie stosuje — „pani Wąsowska to przede wszystkim piękna samica, ale ona nie...”. Tym urwanym zdaniem Prus pokazuje całą **kruchość wiary Wokulskiego**, podtrzymywanej już tylko wolą, wbrew narastającym dowodom.

Przez dwa deszczowe dni towarzystwo nie opuszcza pałacu (wist, francuskie ilustracje), a Wokulski zauważa **zmianę w Wąsowskiej**: zamiast go kokietować, jest chłodna, a Starskiemu, gdy chce ją pocałować w rękę, „wrywa ją” z tak szczerym gniewem, że uwodziciel się miesza — barona zaś (któremu rękę podaje) napęnia to triumfem wobec Wokulskiego. Gdy się przejaśnia, Fela proponuje wyprawę na rydze.

## Rozdział VII — Lasy, ruiny i czary

---

Na wyprawę grzybową Wąsowska dobiera pary; sobie bierze Starskiego (przyjmując jego umizgi „dość życzliwie”, ku zdumieniu Wokulskiego), Wokulskiemu przypada zazdrosna Fela, a Izabela jedzie z Ochockim. W breku Ochocki rozmawia tylko z Izabelą, co pogrąża Wokulskiego w **czarnej rozpacz**: pewny już, że „Ochocki kocha się w pannie Izabeli”, a „z takim współkonkurentem — młodym, pięknym, zdolnym — prawie nie ma walki”, wyobraża sobie chwilę, gdy „ustąpi mu miejsca” („moje nieszczęście, żem ją poznał”).

Tę rozpacz rozwiewa **scena balonu** — jeden z kluczowych momentów odsłaniających prawdziwą naturę Ochockiego. Gdy pada wzmianka, że Wokulski jeździł balonem, Ochocki porzuca lejce, przesiada się naprzeciw i z rozszerzonymi oczyma, chwytając gościa za kolano, dopytuje o wrażenia („mów pan!... to musi być szalona przyjemność”) — „w tej chwili zapomniał o pannie Izabeli”. Wokulski opisuje lot balonem *captif*: złudzenie, że „nie on jedzie w górę, lecz ziemia zapada mu się pod nogami”, horyzont „na wysokości wzroku”, ziemia „wklęśła jak głęboki talerz”, domy „jak pudełka”, ludzie „jak czarne krople ciągnące długie cienie”. Dla Wokulskiego płynie stąd **wyzwalający wniosek**: pasją Ochockiego jest nauka, nie kobieta. Gdy w lesie Ochocki, rozdrażniony („straciłem dwa miesiące na rybach i bawieniu



dam, a inni jeździli balonem... zgłupiałem do reszty"), ciska koszyk i odchodzi sam, Izabela kwituje go z lekceważeniem („będzie tak do końca wakacyj, byłam pewna, że zepsuje mu się humor, jak tylko Starski wspomniał o balonach"). Wokulski myśli z ulgą: „**błogosławione te balony! taki współzawodnik nie jest niebezpieczny**" — i „uczuł, że kocha Ochockiego".

Co więcej, Izabela sama **dyskwalifikuje Ochockiego jako kandydata na męża**: choć Wokulski wróży mu wielki wynalazek („może stanie się epoką w dziejach ludzkości" — myśli o Geście), ona zbywa kuzyna jako „chwilami impertynenta, chwilami nudnego", i opowiada anegdotę o Newtonie, który „czyścił fajkę małym palcem panienki" — „jeżeli do tego prowadzi geniusz, dziękuję za genialnego męża!". Każde jej słowo „pada Wokulskiemu na serce jak kropla słodczy": „więc ona lubi Ochockiego, ale za niego nie wyjdzie!" — rywal usunięty z drogi.

Spacer we dwoje przynosi **lirykę i niepokój zarazem**. Izabela popisuje się poetyką wyobraźnią, zamieniając las w kościół (sosny-kolumny, słońce „jak w gotyckim oknie"), buduar, lustro z deszczowej kałuży, ulicę — i nie pozwala zboczyć z drogi, bo „las tylko wtedy jest piękny, kiedy widzę w nim ludzi". Wokulski podziwia jej fantazję; przekomarza się, gdy przerywa im Fela (urazona jego żartem, że „nie odróżniłby rydza od muchomora"). Najwymowniejsze jest jednak **wyznanie lęku** Izabeli: sama w lesie czuje grozę — „każde drzewo chce owinać ją gałęzmi i udusić, każde ziele oplątuje nogi", głosy ptaków brzmią „jak krzyk bóleści albo śmiech, że weszła między potwory" — a winien temu „kuzynek Ochocki, który tłumaczył, że natura nie jest stworzona dla człowieka, że wszystko żyje dla siebie". Wokulski cicho przyznaje mu rację. Prus odsłania tu **dwoistość Izabeli**: estetyczną wrażliwość salonowej panny, dla której świat ma sens tylko jako dekoracja zaludniona ludźmi, i nieoswojony lęk przed naturą rządzoną bezwzględny prawem walki o byt — tym samym, które jest fundamentem światopoglądu Wokulskiego i Ochockiego.

Spór o naturę przechodzi w **wyznanie credo Wokulskiego**: wbrew Izabeli, dla której las „ma służyć ludziom, a ludzie klasom uprzywilejowanym", on głosi, że „i natura, i ludzie żyją dla siebie, i tylko ci mają prawo władać, którzy posiadają więcej sił i więcej pracują — **siła i praca są jedynymi przywilejami na tym świecie**, nie tytuł i nie urodzenie". Izabela, rozdrażniona, przyznaje, że „tu, gdzie dokoła widzi tylko jego sprzymierzeńców, uwierzy we wszystko" — i że „kiedyś może uwierzyć w ich potęgę". Na zamkniętej wzgórzami polance siadają, a Izabela wspomina ubiegłoroczną wrześnieją majówkę w tym miejscu, gdy „siedząc na tym samym pniu, była smutna i myślała: co będzie za rok?". Wokulski wyznaje, że rok temu „mieszkał z obozem w lesie, ale w Bułgarii", i myślał, „czy za rok żyć będzie — i o pani".

To prowadzi do **pierwszej otwartej deklaracji** — kluczowego progu w ich relacji. Wokulski, broniąc swego prawa do uczucia obrazem „paproci i mchu, które tak dobrze mają prawo patrzeć na słońce jak sosny", pyta wprost, czy „wolno mu myśleć o pani", i zapowiada, że jeśli dzieli ich „aż taka różnica", wyjedzie „zupełnie wyleczony, bez cienia pretensji". Izabela,

zmieszana, odpowiada wymijająco: „**każdy człowiek ma prawo myśleć**” — co Wokulski przyjmuje jako uznanie, że „nie stoi niżej od Starskich i marszałków” i że odtąd będzie „sądzony za czyny, nie tytuły”. Pada przy tym znamieny sygnał: na jego słowa, że „jest także kupcem”, Izabela rzuca — „no, kupcem można być i można nie być, to zależy od pana” — stawiając cichy warunek (porzucenie handlu) jako cenę zbliżenia.

Następuje **idylla** — „**sen szczęścia**”: gdy reszta towarzystwa zajęta sobą (Ochocki puszcza latawce, Wąsowska z Felą szyją ornat, Starski gra w karty), Wokulski i Izabela są stale razem — spacerują, a najczęściej pływają łódką po stawie wśród łabędzi, tworząc obraz, na który zatrzymują się podróżni z gościńca. Wokulski tłumaczy jej, „dlaczego ślimaki pływają pod powierzchnią” i „dlaczego obłoki mają różną barwę”, i czuje, jakby „całą naturę składał jej pod nogi”; myśli, że „gdyby kazała mu rzucić się w wodę i umrzeć, umarłby ją błogosławiąc”. To stan „mistycznego odurzenia”, w którym doba dzieli się na „dzień krótszy od mgnienia powiek i noc długą jak wieczność dusz potępionych”.

W idyllę wdzierają się **ostrzeżenia prezesowej**, pełne dwuznacznej troski. Staruszka, „budząc” go ze snu szczęścia, przypomina o cukrowni i o zaniedbanym grobie stryja w Zasławiu (trzy mile stąd); postanawia nie rozbijać kamienia spod zamku, lecz wyryć na nim wiersz „**Na każdym miejscu i o każdej dobie...**” (Mickiewicz) — „bo pod zamkiem więcej ludzi niż na cmentarzu, zamyślą się nad ostatecznym kresem wszystkiego, nawet miłości”. Te słowa, niczym memento, niepokoją Wokulskiego („co znaczy jej rozmowa?”), lecz zapomina o nich na widok Izabeli.

Nazajutrz całe towarzystwo jedzie do **Zasławia**. Wokulski, pierwszy raz nie sam z Izabelą, ulega zazdrośnym przywidzeniom (Starski „w dziwny sposób spojrzał” na pannę, którą „oblał rumieniec”; siedzi obok niej) — lecz tłumi je jako „podłe uczucie gruntujące się na pozorach” („po cóż miałyby mnie oszukiwać — mnie, który nie jestem nawet jej narzeczonym? szalenciec jestem”). Zasław to dziś „licha osada” w nizinie, z ruinami zamku (dwie sześciokątne wieże porośnięte zielskiem) i kępą dębów na wzgórzu. Gdy towarzystwo jedzie brekiem do dębów na posiłek, Wokulski załatwia u proboszcza sprawę nagrobka; proboszcz (znał kapitana Wokulskiego) poleca do wyrycia napisu miejscowego **Węgielka** — wesołego, inteligentnego dwudziestoparolatka, „trochę kowala, trochę stolarza”, który dla zarobku stroi się komicznie i „smaruje włosy słoniną”, a chwali się, że pisywał miłosne wiersze dla okolicznego ekonoma. Izabela oświadcza, że pójdzie z Wokulskim obejrzeć „ulubiony kamień prezesowej” — i Prus kieruje parę ku ruinom, zapowiadając ważną scenę pod zamkiem.

Po drodze rozwija się **portret Węgielka** — rezolutnego, sympatycznego biedaka, który maluje wszystkie miejskie szyldy (komiczny krakowiak „z obiema nogami na lewym boku”), nie ożenił się („z chustkową się nie ożenię, a kapeluszowa by mnie nie chciała”) i którego rok temu zniszczył pożar warsztatu („pilniki stopiły się jak smoła”); na odbudowę brak mu pięciuset rubli. Wokulski, coraz bardziej ujęty chłopakiem, obiecuje wziąć go do Warszawy, „jeśli dobrze

wyrzeźbi napis" — „może odnajdą się twoje warsztaty". Węgiełek, zdjawszy czapkę, bierze go za jednego z owych panów, „których Bóg zsyła, by opiekowali się biednymi" (wspomina dawnego pana, co z Zasławia „wziął sierotę i zrobił z niej wielką panią"). Wokulski myśli, że „za jednoroczny dochód mógłby uszczęśliwić stu kilkudziesięciu takich" — **„pieniądz naprawdę jest wielką potęgą, tylko trzeba go umieć użyć"**. I tu Prus stawia symboliczny **wybór**: „tajemniczy głos każe mu wybierać między tysiącami takich jak Węgiełek, którzy potrzebują pomocy, a jedną kobietą, która schodzi z góry" — Wokulski myśli: „Już zrobiłem wybór!". Wybiera Izabelę przeciw tysiącom potrzebujących — moralna stawka jego obsesji zostaje nazwana wprost.

Centrum chunku — i jeden z najgłębszych symboli całej powieści — to **legenda o śpiącej królewnie**, którą Węgiełek opowiada pod zamkową wieżą, przy granitowym kamieniu i kamieniach poplamionych „krwią" (Wokulski racjonalnie: „ruda żelazna" — Węgiełek: „to krew"). W podziemiach pod zamkiem, wśród skarbów, na złotym łożu śpi przepiękna panna ze **złotą szpilką wbity w głowę**; jej łzy zamieniają się w klejnoty, a ona śpi i nie ocknie się, „dopóki jej kto szpilki nie wyciągnie i z nią się nie ożeni". Skarbów i panny strzegą potwory (po jednym pozostał „zab jak pięść"). Pewien młody **kowal** z Zasławia, ujrzawszy ją przez okno w dnie, gdy kamień się usuwa, zakochuje się i marnieje z tęsknoty. Baba radzi mu zejść w otchłań w noc świętojańską i ostrzega: cała sztuka w tym, „żeby się nie zląkł, bo złe nie ima się nie bojącego człowieka". Kowal zstępuje z siekierą, nieustraszony przechodzi przez upiory (nietoperze, ropuchę, węża płaczącego ludzkim głosem, wilki z ognistą pianą), dociera do złotego łoża i wyciąga szpilkę „do połowy" — aż „krew trysnęła", a panna chwyta go z płaczem: „czego mi ból robisz, człowieku!". **Wtedy dopiero kowal się zląkł** — ręce mu opadły, i tej chwili strachy potrzebowały: największy potwór rzucił się nań i rozszarpał (krew trysnęła przez okno na kamienie), wyłamawszy ząb. Kamień zatkał wejście na wieki, potok wysechł, a panna została „na pół rozbudzona" i „płacze wiek wieków".

Legenda jest przejrzystą **alegorią losu Wokulskiego i Izabeli**: panna to ukochana — piękna, zimna, uśpiona, na pół przebudzona, niezdolna do pełni uczucia; szpilka i klejnoty to jej duma i świat zbytku; kowal-rzemieślnik to Wokulski (sam zaczynał jako subiekt, a Węgiełek-kowal jest jego ludowym sobowtorem), który podejmuje bohaterski trud „obudzenia" jej, lecz w decydującym momencie ulega — tu lękowi, w powieści zwątpieniu i zazdrości — i ginie, nie dokończywszy dzieła. Prus każe tę baśń opowiedzieć właśnie pod kamieniem, na którym ma stanąć napis o miłości i kresie. Izabela słucha **blada i wzruszona**, „końcem parasolki rysując znaki na gruzach", a Wokulski „nie śmie na nią spojrzeć". Scenę pieczętuje lektura **wersów Mickiewicza**, które Izabela odczytuje półgłosem z kartki — „Na każdym miejscu i o każdej dobie, gdzieś z tobą płakał, gdzieś z tobą się bawił, zawsze i wszędzie będę ja przy tobie, bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił..." — splatając miłosną wierność, śmierć i przemijanie w jeden, przejmujący akord, który wisi nad dalszym losem bohatera.

Gdy Izabela, ze łzami w oczach, upuszcza kartkę, Wokulski przyklęka, dotyka jej sukni i — chwyciwszy ją za rękę — wypowiada wprost słowa wiążące ją z legendą: „**Obudzisz się, ty, moja królewno...**”; ona odpowiada „nie wiem... może...”. To wzruszenie i to jedno słówko na powrót **rozpraszają jego obawy**: gdy schodzą, nie razi go już, że Izabela idzie ze Starskim pod rękę i go kokietuje. Lecz w drodze powrotnej, w ciemności, Ochocki potarciem zapalniczki oświetla brek — „najlepiej Starskiego” — i Wokulski „gwałtownie się cofa: coś mignęło mu przed oczyma”. Tłumi to („głupstwo, piałem za wiele... przywidzenia”) nadludzkim wysiłkiem woli — lecz Prus zostawia czytelnikowi jasny **sygnał, że między Izabelą a Starskim coś zaszło**, czego bohater nie chce dopuścić do świadomości (znacząco towarzyszy temu krótki śmiech Wąsowskiej).

Nazajutrz okazuje się, że Izabela **nagle wyjeżdża**. Sama wyznaje, że ciotka wzywała ją już w środę, lecz prezesowa ukryła list, by ją zatrzymać; po przybyciu umyślnego posłańca panna musi jechać tego samego dnia. Wokulski przeżywa **gwałtowne fale rozpacz i sztucznego spokoju** (raz czuje, że „rzuciłby się pod koła powozu”, to znów dziwi się własnym „żakowskim myśłom”). Wymusza obietnicę, że za miesiąc będzie mógł odwiedzić Łęckich; na pytanie „a pani?” Izabela rumieni się i milczy. Pada wówczas jego **wielkie wyznanie**: „jeżeli miłość mierzy się wielkością cierpień, takiej jak moja może jeszcze nie było na świecie”; opisuje „dziwne drogi losu”, którymi do niej dochodził (śmierć osamotnionego stryja, traf teatru, „szereg cudów” składających się na majątek), i wyznaje, że „prawie świadomie czekał na jedną, na panią”. Mówi też o paryskim **wyborze między dwiema drogami** — wielkim wynalazkiem (Geist) a nią — i że wyrzekł się tamtej, bo „wolę szczęście z panią od największej sławy bez pani; sława to liczman, za który własne szczęście poświęcamy dla innych”. Prosi, by go „zdjęła z tego zaklęcia”, jeśli nie ma dla niego nic — albo zostaje. Izabela nie odpowiada, lecz nie odrzuca; Wokulski oznajmia: „**więc zostaje... będę cierpliwym, a pani sama da mi znak**”.

Przy pożegnaniu Izabela rzuca jeszcze Wąsowskiej znamienne: „mogłabyś już nie dręczyć tego biedaka — twego imiennika” (Starskiego) — co świadczy, że to ona steruje uczuciami w tym kręgu — i odjeżdża z miłym „do widzenia!”. Wokulski, na pozór spokojny (wymienia ze Starskim banalne „bardzo piękny dzień”), zostaje sam; pustka pokoju i parku, a zwłaszcza łabędź przylatujący do opuszczonej łódki, wyzwalają w nim „**niezgruntowany smutek, jak gdyby miał rozstać się z życiem**”. Wieczorem całe Zasławek jest „skwaszone” (Fela zamknięta z Ewelina, baron rozdrażniony, Starski ironiczny), bo umizgi Starskiego do narzeczonej barona przybrały już zbyt widoczne formy.

Rozdział — i cały pobyt w Zasławku — zamyka **prorocza rozmowa z prezesową**, kluczowa dla tytułowego sensu powieści. Zirytowana intrygą, staruszka wygłasza gorzką diagnozę „głupiutkich panien”, które łapią „bogatego męża, a poza nim przystojnego kochanka”, sądząc, że wypełnią sobie życie — a gdy później „trafi się prawdziwy człowiek”, mogą mu dać już tylko

„wdzięki, które sprzedały, i serce zaszargane z takimi jak Starski”, zwykle „za późno i na próżno”. O Ewelinie mówi wprost, że „nie zbudził się w niej ani rozum, ani serce — wszystko w niej śpi”, a baron „durzy się, że ona go kocha”. Pada przy tym **słowo-klucz: na takich „lalkach” mężczyźni się nie poznają** — Ewelina-lalka jest tu jawnym lustrem Izabeli, a przestroga prezesowej, choć formalnie o cudzym narzeczeństwie, godzi prosto w ślepą miłość Wokulskiego. Gdy ten pyta, czemu nie ostrzeże barona, prezesowa odpowiada, że to „na nic się nie zda”, i zbywszy rzecz, kieruje go z powrotem ku sprawie cukrowni i ku Wąsowskiej („to kobieta dużo warta”) — zostawiając Wokulskiego (i czytelnika) z niewypowiedzianym, lecz czytelnym ostrzeżeniem co do prawdziwej natury jego „królewny”.

Przestroga prezesowej przeraża Wokulskiego („czy po prostu nie ostrzega mnie?”), lecz on znów ją tłumি rozumowaniem: jeśli to w breku było przywidzenie, „krzywdziłby niewinną”, a jeśli fakt — „nie będę rywalem tego uwodziciela z operetek”. Wieczorem przychodzi roztrzęsiony **baron**, napomykając, że kobiety „pozwalają bałamucić się intrygantom” i że może należałoby „usunąć kobietę od stosunków z intrygantami”. Wokulski wybucha gorzką tyradą o **prawie natury**: nie da się uwolnić kobiety „od jej własnych instynktów” — „suka, choćby najlepszej rasy, nie pójdzie za lwem, ale za psem”, bo pies „stanowi jej gatunek”; jedynym lekarstwem byłaby „szczerłość w stosunkach i wolny wybór”, gdy „kobieta nie będzie potrzebowała udawać miłości ani kokietować wszystkich”. Po bezsennej nocy Wokulski odzyskuje równowagę i postanawia: ma czas, pozna Izabelę bliżej, a na wszelki wypadek **sprzeda kamienicę i sklep**, zostając przy spółce do handlu z Rosją (sto tysięcy rocznie, „a jej nie narazi na tytuł kupcowej galanterii”).

Nazajutrz wyjeżdża konno — machinalnie na drogę powozu Izabeli, potem do grzybowego lasu, na polankę, do pnia, gdzie siedziała; podejrzenia gasną, a w serce „wpływa mu żal strugą cienką jak lzy, a palącą jak ogień wieczny”. Tam dopędza go **Wąsowska**, by powtórzyć ostrzeżenie — najpierw drwiną (spodziewała się „zimnego, rachunkowego kupca”, a znalazła „średniowiecznego trubadura wypatrującego śladów jej stóp”), potem serio: oświadcza, że nie wyszłaby za niego, „choćby miała umrzeć z miłości”, bo „nie mogłaby żyć z człowiekiem, który tak kochał inną” (jest „za dumna”), a jej żarty płyną z życzliwości. Radzi „wyrzucić z siebie średniowiecznego trubadura, bo mamy wiek dziewiętnasty”, w którym kobiety „lubią was prowadzić za nos, a kochają się tylko o tyle, o ile robi im to przyjemność”. O Izabeli wprost nie insynuuje („jest w niej materiał na dzielną kobietę... zanim jednak pokocha!”), lecz na pożegnanie zostawia **proroczą radę**: „lękam się pańskiego rozczarowania — gdyby nadeszło, nie działaj pod wpływem uniesienia, tylko czekaj; wiele rzeczy na pozór wygląda gorzej niż w rzeczywistości”. „Szatan!” — mruczy Wokulski, gdy świat „nabiega mu krwią”.

Postanawia wyjechać. Mówi prezesowej, by nie stawiała cukrowni; Ochocki, żegnając się, znów szydzi z kobiet („wielkie damy nie różnią się od pokojówek”, Wąsowska po jego wykładzie o balonach spytała tylko „czemu się pan nie żeni”), zapowiada, że nie ożeni się z nikim — a

Wokulski zaprasza go do Warszawy, kusząc „wynałazkiem, który zabierze połowę życia” (Geist). Po drodze zabiera z Zasławia **Węgielka** (do Warszawy). Pod zamkiem czyta wyryty już czterowersz i zatrzymuje wzrok na słowach „**Zawsze i wszędzie będę ja przy tobie...**” — „A jeżeli nie?” — i ogarnia go rozpacz, „pragnienie, by ziemia rozstała się i pochłonęła go z tymi ruinami”. Tak Prus zamyka sielankę zasławską nutą memento i zwątpienia — matka Węgielka żegna odjeżdżających znakiem krzyża.

## Rozdział VIII — Pamiętnik starego subiekta

---

Narracja wraca do **dziennika Rzeckiego** i przeskakuje w czas: „mamy tedy rok 1879”. Stary subiekt, w swoim charakterystycznym tonie łączącym troskę o świat z bonapartystowskim niepokojem, daje **przegląd ponurych wydarzeń przełomu roku**: wojnę Anglii z Afganistanem, austriackie kłopoty w Bośni, powstanie w Macedonii, zamachy na króla hiszpańskiego Alfonsa i włoskiego Humberta (obaj ocalili) oraz — bliżej Wokulskiego — śmierć w październiku hrabiego Józefa Zamoyskiego, „wielkiego przyjaciela”, której zniknięcie, jak przeczuwa Rzecki, „w niejednej sprawie pokrzyżowało plany Stachowi”. Ta rama historyczna, w stylu całego Pamiętnika, osadza prywatny dramat bohatera w szerszym, niespokojnym tle epoki.

Rzecki snuje dalej **kronikę roku 1879**: wojna Anglików z Zulusami w Afryce, a w Europie dżuma w okolicach Astrachania, którą warszawscy plotkarze i konkurenci wiążą z moskiewskimi perkalikami Wokulskiego („razem z nimi sprowadzicie morową zarazę”). Stary subiekt zapowiada, że musi opisać „niesłychaną sprawę kryminalną”, którą baronowa Krzeszowska wytoczyła „tej kochanej pani Helenie Stawskiej” — **o kradzież** — ale pasja tak go zalewa, że raz po raz odkłada relację i lamentuje nad własną starością („jak ja się starzeję!”). Zdradza, że proces wygrali „jak triumfatorowie”, a „dzika baba” zapłaciła dziesięć tysięcy rubli, i obwinia się, że to on, wodząc Wokulskiego do Stawskiej i drażniąc Krzeszowską, spowodował nieszczęście. Wraca też jego marzenie o **wyswataniu Wokulskiego ze Stawską** — natychmiast jednak strofuje sam siebie za własne uczucie do niej („stary głupcze, i tobież myśleć o takim aniele?... ona kocha Wokulskiego”) i przywołuje pamięć przyjaciela Katza.

W listopadzie Wokulski wraca z Moskwy z zyskiem około **siedemdziesięciu tysięcy rubli** — i to staje się paliwem dla nowej fali oszczerstw. „Solidny kupiec” ostrzega Rzeckiego, że Suzin to hultaj-bankrut, a Wokulski wszedł na „fałszywą drogę” (Paryż, kupno okrętów w czasie napięć z Anglią, „moskiewskie perkaliki” psujące przemysł łódzki) — niby z życzliwości, lecz z jawnym potępieniem. Wokulski kwituje to celnie: „ci sami ludzie, którzy mnie ostrzegają, że Suzin jest hultaj, przed miesiącem pisali do Suzina, że ja jestem bankrut, szachraj, ekspowstaniec”. Oburzony Rzecki (który „w czasie gdy ów kupiec nabijał kieszenie, miał paręset

kul nad łbem") postanawia odtąd **zapisywać opinie ludzi o Wokulskim** — pierwsza porcja: „zły patriota”, bo tanimi perkalikami zaszkodził łódzkim fabrykantom.

Wątek **kamienicy** przynosi epizod z Maruszewiczem — przyjacielem baronowej, który wpada do sklepu wystrojony (Klejn objaśnia, że ostatnio wygrywa w karty) z „wyborną nowiną”: baronowa kupi dom po Łęckim za dziewięćdziesiąt tysięcy, byle dobrze się targować — a przy okazji liczy na **porękawicze** dla siebie, ubrane w prośbę o wsparcie „ubogiej rodziny”. Rzecki, przejrzawszy franta, proponuje wpłatę „wprost na jego ręce”, lecz nie daje słowa; sprawa zaś okazuje się niewygodna dla baronowej, bo adwokat Wokulskiego (i księcia) stwierdza, że dziewięćdziesiąt tysięcy to za mało — „kamienice idą w górę, sprzedać im za sto tysięcy to zrobić łaskę”, a rozpalonej baronowej można wyciągnąć więcej. Rzecki postanawia nie mieszać się do sprzedaży.

Wreszcie subiekt przystępuje do **opisu samego procesu**, podając jego dwie sprężyny: baronowa „od dawna nie cierpiała Stawskiej, myśląc, że wszyscy w niej się kochają”, i chciała „jak najtaniej kupić kamienicę”. Przy okazji odsłania własne, wzruszająco-komiczne **przywiązanie do domu Stawskiej**: bywa tam często (jako opiekun kamienicy i „punkt obserwacyjny” na Maruszewicza i Krzeszowską), serdecznie witany przez Misiewiczową i małą Helunię, która „wskakuje mu na kolana”, a sama Stawska „ożywia się i zapomina o kłopotach” — Rzecki przekornie uznaje, że bywa tam „za rzadko”. Maluje też **wojnę lokatorów**: rozwydrzonych studentów z trzeciego piętra (wrzeszczących do drugiej w nocy) i osobliwy „sport” polegający na tym, że ilekroć baronowa Krzeszowska wychyli głowę przez lufcik (a robi to kilkanaście razy dziennie), studenci usiłują oblać ją wodą — komiczne tło dla narastającej intrygi, którą Prus dawkuje przez gawędziarską, dygresyjną narrację Rzeckiego.

Subiekt opisuje też **podejrzany tryb życia Maruszewicza** (regularnie nie płaci komornego, co kilka tygodni wynoszą mu meble — lustra, dywany, zegary — i równie regularnie przynoszą nowe; po czym zasłania okna sztorami, a w środku „palą się dniem i nocą światła” wśród głosów mężczyzn i kobiet — gra i paserstwo). Sednem chunku jest jednak **wizyta Wokulskiego u Stawskiej**, do której Rzecki go namawia, by przekazać paniom wiadomość z Paryża o zaginionym Ludwiku (był w Nowym Jorku, potem w Londynie pod przybranym nazwiskiem, chory; stanowcze wieści za parę tygodni). Wokulski, początkowo zgryźliwy („a cóż ja jestem grabarz?”), mięknie i jedzie. Misiewiczowa płacze, Stawska roni łzy — a w kulminacyjnym, czułym momencie mała **Helunia rzuca się Wokulskiemu na szyję i całuje go w usta**. Bohater, którego „nigdy jeszcze nie pocałowało żadne dziecko”, jest głęboko poruszony — Rzecki przysięgłby, że za chwilę ofiaruje się „zastąpić ojca tej dziecinie” — lecz Wokulski spuszcza głowę i milknie, pogrążony w zwykłej zadumie (zapewne o pannie Łęckiej).

Wokulski prowadzi przy tym **rozmowę dziwnie zdawkową** (pyta panie o sąsiadów, o Krzeszowską, Maruszewicza, studentów — zamiast cieszyć się towarzystwem pięknej kobiety), co irytuje Rzeckiego. Tymczasem subiekt obserwuje przez okno **całą komedię inwigilacji**:

Maruszewicz szpieguje zza rolety, baronowa Krzeszowska podpatruje mieszkanie Stawskiej przez „teatralną lornetkę”, a student z trzeciego piętra czyha ze śledziem w „granatowym rękawie ze srebrnym galonem”, by go upuścić na baronową. Przy pożegnaniu Wokulski — zamiast (jak zrobiłby Rzecki) prosić, by mógł bywać codziennie — pyta tylko o reparacje i „wentylator” na zapach kalafiorów. Dopiero na schodach, zganiony przez Rzeckiego, wypowiada znamienne wyznanie: **„gdybym ją poznał wcześniej, może bym się z nią ożenił”** — i zaraz: „może się i ożenię... ale nie z nią”. W Rzeckim budzi to uczucia mieszane: żal, że Stawska nie dostanie Stacha, i ulgę zarazem (bo sam skrycie ją kocha). W bramie baronowa woła ich do siebie, lecz krzyknąwszy „Ach! nihiliści!”, cofa się przed spadającym śledziem; Wokulski odmawia wizyty u niej („niech mi da święty spokój”).

Rozdrażniony Rzecki idzie na piwo z **radcą Węgrowiczem** (który wciąż „wiesza psy” na Wokulskim, lecz snuje bonapartystowskie rojenia o powrocie „małego Napoleonka” — Lulu — jako Napoleona IV). Pointą chunku jest **anonim**, który Wokulski przynosi Rzeckiemu kilka dni po wizycie: list odmawiający mu nawet tytułu „szanownego”, oskarżający go o „hańbiący romans” z „źle prowadzącą się” Stawską (rzekome schadzki na mieście, nocne i dzienne wizyty „wobec służby i uczciwych mieszkańców”) i wciągający w to pomówienie rządcę **Wirskiego** oraz „osiwiałego w rozpuście plenipotentą Rzeckiego”. List, urwany w pół zdania, jest pierwszym jawnym pociskiem kampanii oszczerstw, która — jak czytelnik już wie — doprowadzi do procesu kryminalnego przeciw niewinnej Stawskiej.

Dokończenie anonimu radzi Wokulskiemu „pozbyć się rudery po Łęckich” i uciec za granicę, „nim sprawiedliwość okuje go w kajdany” — przejrzysta zachęta, by tanio sprzedać kamienicę. Zaraz potem zjawia się **adwokat baronowej** (obdarty człeczyna w wypłowiałym cylindrze), proponując sprzedaż domu „bogatemu, ale skąpemu Litwinowi” za osiemdziesiąt tysięcy. Wokulski natychmiast demaskuje grę: „znam tego Litwina, nazywa się baronowa Krzeszowska”, która daje dziewięćdziesiąt — адвокат zaniża cenę, by zarobić na różnicy. Bohater stawia twarde **ultimatum**: sprzeda dom za sto tysięcy, i to tylko do Nowego Roku, „po Nowym Roku cenę podniosę”; na moralizowanie adwokata („chce pan wydrzeć nieszczęśliwej kobiecie ostatni grosz”) odpowiada wskazaniem drzwi. Rzecki rozumie już mechanizm: baronowa kupi kamienicę, lecz wpierw użyje wszystkich środków (w tym oszczerczego listu), a kupiwszy, wypędzi studentów i biedną Stawską.

Subiekt postanawia **ostrzec Stawską**, by nie przesiadywała w oknie (panie mają zgubny zwyczaj siedzenia w oświetlonych oknach „jak w latarni”, podpatrywane przez Maruszewicza i baronową) — lecz dwa razy z rzędu mu się to nie udaje. Najpierw o wpół do dziewiątej idzie „na kufelek” zamiast do pań i wdaje się w **awanturę w knajpie**: radca Węgrowicz i agent Szprot plotkują, że „niejeden dom się jeszcze zawali”, że Wokulski sprzedaje sklep i żeni się z panną Łęcką (która „nie wyszłaby za galanteryjnego kupca”). Wzburzony Rzecki żąda od Szprota satysfakcji — ten odmawia pojedynku ze zdrowym rozsądkiem kupca („mam żonę, dzieci i



terminowe interesa; po trzeźwemu poszedłbym do cyrkułu"). Nazajutrz wieczorem Rzecki znów nie idzie do Stawskiej, bo musi godzić się ze Szprotem. Z rozmowy z Wokulskim („a choćbym sprzedał sklep, cóż złego?... gdybym się żenił z panną Łęcką, więc cóż?") subiekt z bólem wyciąga wniosek, że Stach naprawdę żeni się z Łęcką — i pojmuje wreszcie, „**za kim tęsknił w Bułgarii i dla kogo zębami zdobywał majątek**".

## Rozdział IX — Pamiętnik starego subiekta

---

Kolejny rozdział dziennika wprowadza **szczegół, który okaże się brzemienny w skutki**. Pewnego wieczora Rzecki zastaje panie znów w oknie i pyta, czemu „tak ciągle siedzą w oknach". Misiewiczowa tłumaczy to wzruszającą zabawą **małej Heluni**: oświetlone okna kamienicy układają się czasem w litery alfabetu — tego wieczora dwa okna trzeciego piętra, trzy drugiego i dwa pierwszego tworzą literę **H**, a okna oficyny — **T**. Dzięki tej zabawie dziecko „nabrało ciekawości do abecadła", więc panie „nawet nie zapuszczają rolet". Rzecki, choć niespokojny, nie umie zabronić dziewczynce niewinnej radości. Misiewiczowa dodaje gorzko: „jak tu nie wyglądać oknem, kiedy to nasza jedyna przyjemność? od czasu jak Ludwik wyjechał, zerwały się nasze stosunki z ludźmi — dla jednych jesteśmy za ubogie, dla innych podejrzane". Prus splata tu czułość (samotność uczciwej, ubogiej rodziny) z grozą (to właśnie owa jawność życia „jak w latarni" wystawia Stawską na ciosy baronowej) — i niepostrzeżenie kładzie podwaliny pod nadciągający proces o kradzież.

Misiewiczowa rozwija ten **rzewny obraz samotności**: Stawska siedzi w oknie, bo „ciągle czeka, wypatruje, czy Ludwik nie wraca albo czy nie będzie listu" (na widok bryftrygiera „mieni się, blednie, drży"), a sama staruszka wspomina przy oknie zmarłego męża Klemensa i dzień ślubu (jego „szafirowy frak i żółte nankinowe spodnie, koloru tej kamienicy") — „dla takich jak my okno starczy za teatr, koncert i znajomości". Wchodzi zmęczona **Stawska** i opowiada o wizycie baronowej, która, ujrawszy Helunię, „upadła przed nią na kolana", łkając „takie było moje małe biedactwo i już nie żyje", i najęła Stawską do porządkowania bielizny, sukien i koronek (dwa ruble za trzy godziny dziennie) — zajęcie, które przyszło w porę, bo Stawska właśnie straciła lekcję muzyki (Rzecki domyśla się: za sprawą anonimu baronowej).

Z relacji Stawskiej wyłania się **groteskowo-ponury portret domu Krzeszowskiej**: ogromny apartament stoi pustką (meble w pokrowcach, rośliny zeschłe, kurz), baronowa nie jada ciepłego po kilka dni, jedyną służącą wymyśla od „rozpustnic i złodziejek", a rodzinę męża oskarża, że „wytumanila od niej dwieście tysięcy" i gardzi nią za nieszlacheckie urodzenie. Jedyнным żywym miejscem jest **pokój zmarłej córeczki — zachowany jak relikwiarz**: łóżeczko ze zmienianą pościelą, kajet otwarty na słowach „Najświętsza Panno form...", i półka pełna **lalek** z ich łóżeczkami i garderobą. Właśnie tu Stawska ceruje koronki. Ten obraz — matka oplakująca dziecko wśród jego lalek — jest jednym z węzłowych wystąpień **motywu**

**lalki** w powieści; zarazem to stąd wyjdzie iskra przyszłego procesu. Baronowa próbuje przy okazji wciągnąć Stawską w intrygę kamieniczną, prosząc, by „wstawiła się do Wokulskiego” (daje już dziewięćdziesiąt pięć tysięcy, a on „przez upór żąda stu — chce mnie zrujnować, zabić!”); Stawska, zmieszana, odmawia.

Sednem emocjonalnym chunku jest **scena, w której Rzecki — z „okrutną przyjemnością dręczenia bliźnich” — wyjawia Stawskiej, że Wokulski sprzedaje wszystko i żeni się z panną Łęcką**. Stawska oblewa się rumieńcem, odwraca krzesło tyłem do lampy, pyta zdławionym głosem „czy to prawda?”, przyciska rękę do piersi „jakby jej tchu zabrakło” i wychodzi do drugiego pokoju — Rzecki kwituje: „widziała go raz i już mdleje”. Misiewiczowa wygłasza przy tym **hymn na cześć urody Wokulskiego** („kompletnie piękny człowiek, między tysiącem zwróciłby uwagę”). Stary subiekt cierpi nad ślepotą przyjaciela: „taka kobieta szaleje za nim od jednego spojrzenia, a on, wariat, uganiania się za panną Łęcką — czy jest jaki porządek na tym świecie?”.

Rozdział pokazuje też **rosnący nacisk na Wokulskiego w sprawie kamienicy**: przy okazji rozmowy o kanalizacji Warszawy ksiądz namawia go, by „zrobił baronowej ulgę” (Wokulski chłodno odmawia „dobroczyńności z cudzej kieszeni” — „z jakiej racji mam tracić kilka tysięcy?”), a nawet ksiądz przychodzi z „religijnym upomnieniem”, by sprzedał za dziewięćdziesiąt pięć tysięcy. Rzecki gorzko zauważa, że ci sami ludzie, którym Wokulski dał przez spółkę z Rosją „piętnaście procent zysku”, żądają, by darował baronowej kilka tysięcy. Chunk kończy się **zawieszeniem przed „wypadkiem głównym”**: pewnego wieczora (w dniu objęcia rządów przez cesarza Wilhelma po zamachu Nobilinga) Rzecki zastaje Stawską „w cudnym humorze i pełną zachwyty dla... baronowej” — ironiczny próg sceny, która lada chwila obróci tę pozorną zgodę w katastrofę.

Powodem zachwyty jest pozorna dobroć baronowej: pozwoliła Stawskiej zabierać **Helunię** na owe godziny do pokoju zmarłej córeczki, gdzie dziecko wpatruje się w zabawki — a zwłaszcza w ogromną **lalkę „Mimi”** o ciemnych włosach, która naciśnięta „rusza oczyma i woła: mama”. Helunia jest nią urzeczona („mówi o niej przez sen”), a Stawska marzy, że „byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby mogła kupić jej taką lalkę”. Rzecki obiecuje znaleźć podobną w sklepie. (Przy okazji wychodzi na jaw, że baronowa wypytywała Helunię, „czy ją pieści pan Wokulski” — czyli „ten, co bywa u was z tym rozpsotnikiem Rzeckim”.) Tymczasem baronowa, wyczerpawszy protekcje i bojąc się, że Wokulski podniesie cenę lub sprzeda dom komu innemu, wreszcie **kupuje kamienicę za sto tysięcy** (wpierw dostawszy spasmów i zbiwszy służącą).

Po kupnie wybucha **fala skarg lokatorów** (komicznie spadających na Rzeckiego): szewc, któremu podniesiono komorne („Wokulski nie ma Boga w sercu”), wytworna właścicielka paryskiej pralni (grozi stratą tysięcy, Rzecki namawia ją do procesu o szkody), brodaty student (obiecuje „zrobić uciechę” baronowej, jeśli ich będzie eksmitować) i Wirski, któremu baronowa

wymówiła rządcostwo (Wokulski załatwia mu posadę przy spółce z Rosją). Rzecki widzi, że baronowa „sroży się jak Tamerlan”, i niepokoi się o Stawską.

W drugiej połowie grudnia Stawska przychodzi do sklepu **kupić lalkę**. Wśród trzech jednakowych (brunetka, blondynka, szatynka — każda woła „mama”) wybiera **szatynkę, „zupełnie taką jak baronowej”**; Wokulski, wywołany zza szaf, przygląda się jej „życzliwie” (Rzecki notuje to z nadzieją), a we trzech (z Klejnem, też w niej zadurzonym) przekonują skrupulatną Stawską, że „wybrakowany towar” oddają tanio — za trzy ruble. Stawska zdradza, że zerwała z baronową (która zrobiła jej scenę za to, że „nie wyprotegowwała jej u Wokulskiego” i kazała zapłacić sto tysięcy) i nie odebrała należnych pieniędzy. Ten **fatalny zbieg** — Helunia oglądająca lalkę Mimi, identyczna lalka kupiona w sklepie, Maruszewicz i baronowa podpatrujący przez lornetkę, jak Stawska ją ubiera — zaciska się w pułapkę.

Pointą jest **„tragedia”, od której Rzeckiego „gniew dusi”**: w wigilię Wigilii Stawska przysłała mu list, by przyszedł wieczorem, a zdyszany Wirski donosi, co zaszło. Maruszewicz wypatrzył ze swych okien, że Stawska ubiera lalkę; baronowa, której „przed kilkoma dniami zginęła lalka po nieboszczce córce”, oskarżyła Stawską o **kradzież lalki** — i o dziewiątej wieczór wpadła z rewirowym do jej mieszkania, kazała zabrać lalkę, spisać protokół i złożyła skargę do sądu. Daremnie Stawska, chroniąc Helunię, błagała, by mówić ciszej, i płakała: baronowa wrzeszczała „okradła mnie! lalka zginęła tego dnia, kiedy Stawska była u mnie ostatni raz — aresztujcie ją!”, odpowiadając „całym majątkiem za prawdziwość skargi”. Rewirowy zabrał lalkę do cyrkułu i poprosił z sobą Stawską; służąca, wymyślając rewirowemu, „siedzi w kozie”, a właścicielka pralni dla przypochlebiania się baronowej także lżyła Stawską (jedyna „satysfakcja” — studenci oblali baronową). Wirski uspokaja, że „sąd Stawską uniewinni, to jasna sprawa” (lalka kupiona w sklepie), lecz **„skandal jest” — biedna kobieta zgubiona**: poodprawiała uczennice, nie poszła na lekcje, „zapłakują się obie z matką”. Tak Prus, splatając motyw lalki, samotności i mściwości, doprowadza do haniebnego procesu, w którym niewinną, szlachetną kobietę gubi nie wina, lecz złość bogatej histeryczki i bezbronność ubóstwa.

Rzecki pędzi do Stawskiej, wstępując najpierw do **Wokulskiego** — rozstrojonego nieszczęśliwymi konkurami, który jednak na wieść o sprawie „ożywia się, podnosi głowę, błyskają mu oczy” (subiekt zauważa, że „najlepszym lekarstwem na własne kłopoty jest cudze nieszczęście”). Wokulski uspokaja, że sprawa „jasna jak słońce”, lecz gdy Rzecki przypomina, że Stawska straciła wszystkie lekcje i nie ma z czego żyć, uderza się w czoło („nie pomyślałem o tym”) i obiecuje przyjechać za godzinę — „zrobimy interes z panią Milerową” (wdową, której sklep i kredyt zależą od niego). U Stawskiej Rzecki застаје **scenę katakumbową**: pobitą Mariannę (była w cyrkule), Misiewiczową z obwiązaną głową, tłum biadolących kobiet, Stawską „białą jak kreda” pod piecem i Helunię, która starą laleczką uderza w klawisz, prosząc „cicho, Zosiu, babcię głowa boli”. Misiewiczowa lamentuje o powracającej hańbie rodziny i wyjeździe

do siostry pod Częstochowę, Stawska wita Rzeckiego słowami „wolałabym nie żyć”, a kopczą lampa dopełnia rozpacz.

Przełom przynosi przybycie **Wokulskiego**, który wnosi spokój i konkretność. Całuje Stawską w rękę — i to „dwa razy, z taką tkliwością, że nie było słyhać zwykłego mlaśnięcia” (Rzecki notuje to z nadzieją). Trzeźwo odpiera desperację: za parę tygodni sprawa się wyjaśni, „rozpaczać będzie nie żadna z pań, tylko ta wariatka baronowa”, którą trzeba pozwać o oszczerstwo i posłać „do kozy” (adwokat już jutro przyjdzie). Po czym składa Stawskiej **propozycję ratunku**: niech porzuci „licha i niepopłatną” pracę nauczycielki i zostanie **kasjerką** w przejętym przez niego sklepie Milerowej — z pensją siedemdziesięciu pięciu rubli miesięcznie. Stawska, że „powierzyłby kasę jej, której wytoczono [proces]”, wybucha płaczem wdzięczności; wkrótce całe towarzystwo pije herbatę, śmiejąc się. „Wokulski to sprawił... jedyny w świecie człowiek!” — wzdycha Rzecki, dodając z pokorą, że i on miałby „równie dobre serce, tylko brak mu do niego pół miliona rubli”.

Po świętach Stawska zostaje **kasjerką u Milerowej** (która, „figlarna kobiecinka”, sama chętnie wyszłaby za Wokulskiego — Rzecki kpi z tylu kobiet uganiających się „za jego krociami”), zachwycona pensją i nowym mieszkankiem z ogródkiem („raj, który można nakryć chustką od nosa”). Rzecki przeplata to **kroniką roku 1879** (Anglicy w Kabulu pod Robertsem) i gorzkimi uwagami o spółce z Rosją: wspólnicy (przemysłowcy, kupcy, hrabiowie) traktują Wokulskiego jak wroga, choć daje im siedem procent za pół roku i chcą obniżyć pensje pracownikom, a sami pracownicy „nazywają go wyzyskiwaczem” mimo najwyższych płac — narastają „nie znane przedtem obyczaje: mało robić, głośno narzekać, po cichu snuć intrygi”.

Chunk zamyka **zapowiedź procesu**: pod koniec stycznia spadają „dwa gromy” — wieść o dżumie w Wietlance i sądowe awizacje dla Wokulskiego i Rzeckiego na nazajutrz. Idąc wieczorem do pań, Rzecki słyszy brzęk kajdan prowadzonych aresztantów („co za okropna wróżba”) i dręczy się przecuciem: gdyby sąd „nie uwierzył” i wtrącił „najszlachetniejszą kobietę do więzienia choćby na dzień”, to „ona tego nie przeżyje ani ja — chyba żebym przeżył, by biedna Helunia miała opiekę”. Tym lękiem Prus napina sprężynę przed kulminacyjną sceną rozprawy.

Wieczór przed rozprawą upływa „pomiędzy dżumą i śmiercią a hańbą i kryminałem” — Misiewiczowa, z głową w kamforze, lamentuje o możliwych „rotach aresztanckich”, a gdy Rzecki dla odmiany napomyka o dżumie, staruszka wpada w jeszcze większą panikę („trupów ściągają do dołów hakami”). Rankiem subiekt zastaje mieszkanie puste: wszystkie cztery kobiety z kucharką poszły do **spowiedzi** (jedną się z Bogiem do wpół do dziesiątej, ku rozpaczom Rzeckiego, że spóźnią się do sądu). Wreszcie dwoma dorożkami jadą na rozprawę; pod sądem czekają już spokojni Wokulski i адвокат, „rozmawiając chyba o czym innym”.

Sala sądowa przypomina Rzeckiemu szkołę (rzewna dygresja o biciu „w skórę”), a samą rozprawę Stawskiej poprzedza **komiczna sprawa studentów** — popisowy fragment humoru Prusa. Baronowa, zostawszy właścicielką domu, chce wyrzucić swoich najbardziej zaciekle i najmniej wypłacalnych wrogów: **Maleskiego i Patkiewicza** (tego samego, co rzucił jej śledzia na głowę). Elegancki, gadatliwy Maleski broni się z manierą lorda, a ponury Patkiewicz raz po raz „udaje trupa” (wywraca oczy, opuszcza szczękę), porusza uchem i skórą na głowie, doprowadzając salę do śmiechu. Baronowa skarży się na nocne wrzaski, oblewanie wodą i „stukanie trupa głową do okna” (Maleski tłumaczy to niewinnie: na sznurze spuszcza „co pod ręką” do okna stróża). Sędzia skazuje studentów na zapłatę 12 rubli 50 kopiejek i opuszczenie lokalu przed 8 lutego — na co Patkiewicz „z silnego wstrząśnienia moralnego” mdleje (w objęcia Maleskiego), by ocknąć się w przedpokoju słowami „bez głupich żartów” i wyjść o własnych siłach. Pojawia się też zagadkowy wątek **trzeciego, „rzadko mieszkającego” sublokatora** studentów (przebywa „w prosektorium”), którego Maleski osłania „poufnymi objaśnieniami” — drobny sygnał, do którego Prus jeszcze wróci.

Scena niesie też **ważny szczegół fabularny**: sędzia zna Wokulskiego i zaprasza go po rozprawie studentów na śniadanie („skąd oni się znają?” — dziwi się Rzecki) — co podsyca lęk Misiewiczowej, że to baronowa „ma wielkie stosunki” i zgubi Helenkę (staruszka chce nawet „upaść do nóg sędziemu”), choć Rzecki zarzeka się, że wyjdą stąd „kompletnie oczyszczeni” albo wcale. Kontrastem dla tej paniki jest sama **Stawska**, która po spowiedzi odzyskała spokój: „jeszcze wczoraj bałam się okropnie, ale teraz czuję się zupełnie spokojną”. Tak Prus, przeplatając farsę (studenci) z napięciem (los Stawskiej), prowadzi rozprawę ku rozstrzygnięciu, zawieszając ją tuż przed właściwym procesem o lalkę.

Rozprawa o lalkę rozgrywa się jak **mała sztuka sądowa** — wśród komentarzy kumoszek i kłótliwego maglarza. Baronowa deklamuje, że lalka po zmarłym dziecku zginęła w dniu, gdy oddaliła Stawską, a Maruszewicz „widział przez okno, jak Stawska ją przebiera”; lecz przyparty przez sędziego Maruszewicz przyznaje, że „pewności nie ma żadnej”, a sama baronowa go demaskuje („przybiegłeś, śmiejąc się”). Wokulski rzuca półgłosem „podlec!”. Przełomu dostarczają kolejno świadkowie: mała **Helunia** rozpoznaje wprawdzie lalkę jako „Mimi”, lecz stwierdza, że to **nie ta sama** — „tamta miała popielatą sukienkę i czarne buciki, a ta ma brązowe”; Stawska zeznaje, że kupiła ją w sklepie Wokulskiego za trzy ruble.

Sednem jest **genialny dowód Wokulskiego**: sprowadzał lalki w częściach (osobno głowy, osobno korpusy), więc wystarczy „odpruć głowę, a w środku znajdzie się jego firma”. Sędzia rozcina lalkę urzędowym scyzorykiem — ku rozpaczy Heluni („po co on ją kraje? to strasznie boli! Mimi!”), którą Wokulski, sam wzruszony, uspokaja — i w głowie znajduje napis „**Jan Mincel i Stanisław Wokulski**” (nie „Lesser”, gdzie kupowała baronowa). Dopelnia to wymuszone zeznanie służącej baronowej: prawdziwa lalka „**stukła się**” (rozbiła), a jej szczątki leżą na strychu — czyli nic nie zginęło, a oskarżenie było czystym oszczerstwem. Sędzia ogłasza

**pełne uniewinnienie Stawskiej**, ściska jej rękę („bardzo mi przykro, żem panią sądził, i przyjemnie, że mogę powinszować”) i radzi „podać skargę o potwarz”; baronowa dostaje spazmów. Scenę wieńczy znów komizm: Patkiewicz, czyhając przed bramą na baronową, przez pomyłkę „udaje trupa” przed Misiewiczową, a potem przed Wirskim.

## Rozdział X — Pamiętnik starego subiekta

---

Kolejny rozdział dziennika **wyjaśnia, czemu Rzecki tak obszernie opisał proces** — przywrócił mu on wiarę w sprawiedliwość. Stary subiekt wyznaje swoje chwile zwątpienia w Opatrzność: „na świecie nie ma żadnego porządku, żadnej sprawiedliwości, tylko walka — ludzie są jak liście, którymi wiatr ciska; gdy rzuci je w błoto, leżą w błocie”. Jednak triumf niewinnej Stawskiej utwierdza go w przekonaniu, że „dobrym ludziom prędzej czy później stanie się sprawiedliwość”. Ale właśnie to optymistyczne credo Prus podszywa **dramatyczną ironią**, każąc Rzeckiemu zapisać trzy „proroctwa”, z których czytelnik domyśli się, że żadne się nie spełni: (1) Stawska wyjdzie za Wokulskiego i będzie szczęśliwa; (2) Wokulski wyrzeknie się panny Łęckiej i ożeni ze Stawską; (3) „mały Lulu jeszcze w tym roku zostanie cesarzem Napoleonem IV, zbije Niemców i robi sprawiedliwość na całym świecie”. Wzruszająca wiara Rzeckiego — w szczęście przyjaciela i w powrót Napoleonidów — jest tu zarazem jego najsympatyczniejszą cechą i znakiem jego naiwności: bonapartystowskie i swatowskie marzenia starego subiekta rozbijają się o rzeczywistość równie boleśnie jak miłość Wokulskiego (historyczny Napoleon IV zginął w 1879 roku w wojnie z Zulusami).

Rzecki, pewny już swatów ze Stawską (Wokulski po procesie siedzi u niej do jedenastej, a u Milerowej wychwala kasjerkę), napotyka **niepokojące znaki sprzedaży sklepu**. Młody **Szlangbaum** (subiekt z oddziału rosyjskich tkanin) zachowuje się dziwnie wyniośle („spodziewam się, że będziemy dobrymi przyjaciółmi”), a Zięba nagle staje się wobec niego usługowy. W knajpie radca Węgrowicz i Szprot donoszą, że „całe miasto gada”, iż **sklep Wokulskiego kupują Żydzi (Szlangbaumowie)** — i przy tej okazji Prus daje gorzki obraz narastającego **antysemityzmu** epoki: Węgrowicz i Szprot wieszczą, że Żydów „trzeba będzie siłą wysadzać dla utrzymania równowagi”. Rzecki, choć nie antysemita („co innego nie być antysemitą, a co innego służyć Żydom”), jest wstrząśnięty wizją utraty posady (śni, że chodzi z katarynką: „ulitujcie się nad biednym oficerem węgierskim”).

Idąc do Wokulskiego, Rzecki spotyka w bramie **doktora Szumana**, który zaprasza go na herbatę i odsłania dwie rzeczy. Po pierwsze, że Wokulski **zapisał Rzeckiemu dwadzieścia tysięcy rubli** — „chce być przygotowany na wszelki wypadek jako rozsądny kupiec” (cień samobójczych myśli, choć Szuman zaprzecza, by groził pojedynek). Po drugie — i to jest sedno chunku — wyklada **trzeźwą diagnozę afery z panną Łecką**, sprawy o wiele groźniejszej niż Stawska. Odkąd Wokulski stał się bogaty i znany, wokół Izabeli zgromadził się „rój

wyniszczonych i ładnych kawalerów", a ona, „zamiast gardzić hołotą, która ją po kilka razy opuszczała, upaja się ich towarzystwem” — co widzą wszyscy, w tym sam Wokulski. Na balu w ratuszu „obudził się w Stachu lew”, lecz wystarczyło jedno spojrzenie i uścisk ręki panny, by znów był szczęśliwy „przez całą noc”, nie widząc, „że ona takimi samymi słodyczami obdzielała dziesięciu”.

Szuman maluje **bezlitosny portret Izabeli**: „piękna, rozpieszczona, ale bez duszy”, dla której Wokulski „wart tyle, o ile ma pieniądze i znaczenie — dobry na męża w braku lepszego, a kochanków wybierze sobie takich, którzy do niej więcej pasują”. Diagnostuje też **romantyczne źródło ślepoty Wokulskiego**: karmiony „Aldonami, Grażynami, Maryłami” (bohaterkami Mickiewicza), widzi w pannie bóstwo, „uwielbia ją, modli się” — „przykre go czeka zbudzenie”. Z pasją dodaje, że jeśli Wokulski nie ocknie się, gdy spostrzeże drwiny, to on, Szuman, „pierwszy plunąłby mu w oczy”, bo „taki człowiek może być nieszczęśliwym, ale nie wolno mu być podłym” — i kpi z narodowej skłonności do naśladowania Mickiewicza, który „przebaczył tej, co z niego zadrwiła, a nawet ją unieśmiertelnił”. Rzecki przedstawia swoje „lekarstwo” — wyswatanie Wokulskiego ze Stawską („kobietą, która ma rozum i serce i za miłość zapłaci miłością”); Szuman przyznaje, że „na żal po kobiecie jedynym lekarstwem druga kobieta”, lecz obawia się, że „kuracja już jest spóźniona”, bo Wokulski to „człowiek stalowy, i dlatego niebezpieczny — trudno skleić, co raz pęknie”.

Nazajutrz Szuman wraca z **upokarzającą obserwacją**: Wokulski jest rozdrażniony nie dlatego, że odkrył kochanka Izabeli, lecz dlatego, że **książę dotąd nie zaprosił go na jutrzejszy bal** (innych zaprosił dwa tygodnie wcześniej). „Już drugi dzień truje się, że go jakiś książę nie zaprosił — on, ten nasz podziwiany Stach” — kpi doktor, dodając prorocznie, że arystokracja Wokulskiego nie wypuści (kosztowałby ich piętnaście procent od kapitału w spółce), lecz wprawdzie „podrażni go, pobawi się nim jak psem, któremu pokazuje się i chowa mięso”, by go „wytresować”. Istotnie Wokulski przychodzi do sklepu szukać listu od księcia — co Rzeckiego zawstydzia.

Wieczorem przy herbacie (z arakiem) rozwija się **rozmowa o sprzedaży sklepu Szlangbaumowi** — pretekst do jednego z najważniejszych wystąpień Wokulskiego w „kwestii żydowskiej”. Tłumaczy, że sprzedaje Żydom, bo „nasi panowie” sklepu nie kupią, lecz „dadzą pieniądze Żydowi, aby on go kupił i płacił procenty”; że to my „pchamy ich w pozycję, których sami nie zajmujemy”. O samych Żydach mówi z gorzką, deterministyczną przenikliwością: wielowiekowe prześladowania dokonały „sztucznego doboru” — „tępiąc wszystko, co lepsze, wypielegnowaliśmy najgorszych”: wytrwałych, solidarnych, „po mistrzowsku władających jedyną bronią, jaka im pozostała — pieniędzmi”. Na zarzut Rzeckiego o obowiązki (kilkudziesięciu polskich pracowników straci pracę) odpowiada z rozgoryczeniem: nie jego to wina, skoro „społeczność tego chce”, a sam za swój trud ma tylko „nienawiść i oszczerstwa z

jednej strony, lekceważenie z drugiej" — „spełniony obowiązek powinien coś przynosić, inaczej byłby ofiarą, której nikt nie ma prawa wymagać”.

Ośmielony arakiem, Rzecki przeprowadza **odważną interwencję**: pyta, czy ci, dla których Wokulski poświęca sklep, „ocenia go i pokochają lepiej”, i wprost stawia mu przed oczy, że może być „nie tylko wyzyskiwany i oszukiwany, ale jeszcze wyśmiewany i lekceważony” — „można ponosić ofiary, ale nie można pozwalać na maltretowanie siebie”. Wokulski, poruszony, milczy. O dziewiątej przychodzi wreszcie **list od księcia — zaproszenie na bal** — które Wokulski, nie wstając, „rozdiera na kawałki i rzuca pod piec”: „nie idę”. Wówczas Rzeckiemu przychodzi „najgenialniejsza myśl”: niech zamiast tego pójdą jutro **do pani Stawskiej** — i Wokulski z uśmiechem przystaje. Lodowa ściana między przyjaciółmi pęka; do północy wspominają dawne czasy, a Stach żegna Rzeckiego słowami „człowiek niekiedy głupiej, ale niekiedy odzyskuje rozum — Bóg ci zapłaci”.

W dzień balu Wokulski i Szlangbaum są nieobecni (układają się o sprzedaż). Rzecki, planując „zrobić obczążki z babuni i z wnuczki”, by „ścisnąć piękną mamę za serce” przed świętym Janem (rozwód z nieobecnym mężem „za dziesiątek tysięcy”), posyła Heluni zabawki. Po sklepie idzie po Stacha — i zastaje **frak i kamizelkę przygotowane na bal** (kuszenie wciąż działa). Naciska, by szli; gdy Wokulski zasłania się śnieżycą, Rzecki kłuje: „innym śnieżycą nie przeszkodzi jechać na bal”. Wokulski każe podać futro; służący zdradza, że to **sam pan Łęcki prosił** Stacha na bal (książę, spostrzegłszy, że gość może nie przyjść, wysłał na przeprosiny przysłego „teścia”) — co potwierdza diagnozę Szumana, że arystokracja nie chce go wypuścić.

U Stawskiej czeka **ciepły, rodzinny wieczór**: serdeczne przyjęcie, śliczna gospodyni, która „osładza Wokulskiemu herbatę” i „trąca go brzegiem rękawa”, a Stach „spogląda na nią z wielkim zajęciem przez cały wieczór”. Rzecki triumfuje w duchu. Idyllę mąci jednak wzmianka Misiewiczowej (z „Kuriera”) o **balu u księcia** — Wokulski sposepniał i zaczyna patrzeć w talerz. Rzecki próbuje ratować nastrój, deprecjonując arystokratyczny przepych, a Misiewiczowa dorzuca trafną krytykę („stroje bardzo często nie popłacone, a elegancja inna w salonie z hrabiami, inna w garderobie z biednymi robotnikami”) — Prus pokazuje tu, jak nawet w najmiłszym, „swojskim” wieczorze cień Izabeli i jej świata wciąż ściąga Wokulskiego z powrotem.

Wieczór u Stawskiej rozwija się jednak obiecująco: podczas gdy Misiewiczowa zanudza Rzeckiego wspomnieniami zmarłego męża, Wokulski i Stawska szepczą na kanapie pierwsze, czułe zwierzenia (on: „widziałem panią u Karmelitów przy grobach”; ona, rumieniąc się: „ile tylko razy pan zechce”). „Piękna para!” — myśli Rzecki. Lecz po odwiezieniu go do domu Wokulski czeka w sankach, aż subiekt wejdzie — co budzi czujność Rzeckiego. Przebrawszy się (płaszcz, cylinder), stary subiekt **szpieguje przyjaciela**: mieszkanie Stacha ciemne, a sam Wokulski stoi „zasypany śniegiem pod drzewem”, wpatrzony w oświetlone okna domu księcia, gdzie tańczy panna Łęcka. To odkrycie — że mimo wieczoru u Stawskiej Wokulski przyszedł na



śnieżyć adorować Izabelę — utwierdza Rzeckiego w postanowieniu: „musisz ożenić się z panią Stawską”.

Rzecki uruchamia **spisek swatowski**. Szumana, któremu donosi o nocnej warcie, ostrzega: „postanowiłem ożenić Stacha jeszcze przed świętym Janem — nie z Łecką, lecz ze Stawską”. Doktor kpi celnym porównaniem (serce pełne panny Łeckiej jest jak „szuflada pełna portmonetek”, do której „nie wpakujesz krawatów”); Rzecki odcina się: „wyjmę portmonetki i włożę krawaty”. Następnie subiekt jedzie do **Misiewiczowej** i zawiązuje z nią sojusz: wyjawia, że Wokulski jest „bardzo nieszczęśliwy” mimo majątku (ok. sześćset tysięcy rubli, gdy dwa lata temu miał trzydzieści), że „nie powinien żenić się z panną Łecką — to nie dla niego partia”, lecz z Heleną. Misiewiczowa, rozplakana, wyznaje, że to jej „najmilsze marzenie” (Ludwik „na pewno umarł”, a gdyby nie — „za pieniądze dostaniemy rozwód”), i że Stawska „już kocha się w Wokulskim” (mizernieje, nie sypia). Plan: Wokulski ma być jak najczęściej, matka — usposabiać córkę, wesele „bodaj przed świętym Janem”. Rzecki z rozrzewnieniem konstatuje, że „taka drobna rzecz jak lalka może przyczynić się do uszczęśliwienia dwojga ludzi” (bez procesu Wokulski nie wzruszyłby się losem Stawskiej).

Dumny ze swojej „metternichowskiej głowy”, Rzecki notuje, że oboje „wpadli w zastawioną pułapkę”: Stawska mizernieje (lecz „jeszcze ładnieje, bestyjka”), a Wokulski, jeśli tylko nie jest u Łeckich, „sprowadza się do pani Stawskiej i siedzi do północy”, ożywiony, opowiadając jej o Syberii, Moskwie, Paryżu. Komediowym dopełnieniem jest **przeciekający „sekret”**: okazuje się, że Wirski już wie o miłości Wokulskiego — przez łańcuszek plotki (żona → pani Kolerowa → Radzińska → Denowa → Misiewiczowa, która wygadała się, broniąc się przed podejrzeniem „nieczystych spraw”). Chunk zamyka gawęda Wirskiego o „awanturach z baronową” (zapowiedź dalszego ciągu) i jego rubaszne żarty o „pięćdziesięcioletnim mężczyźnie skłonny do upadku”, które dają Rzeckiemu pretekst do utyskiwań na szlachtę („do nauki ani handlu nie ma głowy, ale do butelki, wojaczki i sprośności zawsze gotów”).

Wirski opowiada **dwie historie o baronowej**. Pierwsza to popisowa farsa **eksmisji studentów**: gdy komornik z policją przychodzi 15 lutego, Maleski i Patkiewicz zamykają się na angielski zatrzask (którego klucz Maleski ma w kieszeni), wyrzucają przez okno (w lutym!) sienniki, książki, trupie główki, kufer i łóżko na sznurze, a wreszcie spuszcza na krzesło samego Patkiewicza — który, gdy „sznur się zrywa”, ląduje pod oknem baronowej, wciągnięty przez Maruszewicza do środka, i na pożegnanie pokazuje jej „takiego nieboszczyka”, że baba mdleje, wołając „nie ma już mężczyzn! mężczyzny!” (co komornik bierze za objaw choroby z separacji). Cała szopka kończy się tym, że klucz był w kieszeni Maleskiego; baronowa, zrażona do procesów, przysięga „żadnemu studentowi nie wynająć lokalu” i z płaczem błaga Maruszewicza, by nakłonił barona do powrotu („bez mężczyzny umrę tu w ciągu roku”) — w czym Wirski widzi „karę boską, której narzędziem będzie baron”.

Druga historia to **skrucha baronowej**: złożyła wizytę pani Stawskiej, „spłakała się, dostała spazmów” i niemal na klęczkach błagała o zapomnienie procesu o lalkę; panie nie tylko jej przebaczyły, lecz „obiecały wyjednać jej przebaczenie u Wokulskiego”, o którym baronowa „odzywa się z pochwałami”. Rzecki niepokoi się, że „po cóż one z nią rozmawiały o Wokulskim — gotowe nieszczęście”, lecz Wirski uspokaja go wiarą w nawrócenie baronowej. Chunk zamyka kolejne **postscriptum bonapartystowskie**: MacMahon upadł, prezydentem został „mieszczanin Grévy”, a „mały Napoleonek pojechał na wojnę do Natalu w Afryce” — Rzecki wciąż wierzy, że Lulu wróci „okryty sławą”, a tymczasem „ożenimy Stacha z panią Heleną” („niech żyje Francja z Napoleonidami, a Wokulski z panią Stawską!”). Tym samym kończy się Pamiętnik starego subiekta i jego rozczulająco daremne nadzieje.

## Rozdział XI — Damy i kobiety

---

Narracja wraca do **trzecioosobowego oglądu salonu Łęckich**, do którego fortuna znów się uśmiechnęła: bilety wizytowe „sypią się jak śnieg”, a pan Tomasz z rozrzewnieniem sądzi, że „ludzie ocenili go przed śmiercią” — choć Izabela wie, że rój gości składa hołdy nie ojcu, lecz jej. Wśród wielbicieli błyszczą: **Niwiński** (najwykwintniejszy aranżer), **Malborg** (wyrocznia mody) i **Szastalski** (uchodzący za „poetycznego”). Drobnym incydent — ziewnięcie panny Pantarkiewiczówny i uwaga pani Upadalskiej, że „panny w tym wieku umieją być interesujące” — zmusza dwudziestopięcioletnią Izabelę do odkrycia prawdziwego źródła swych triumfów: **nie jej uroda, lecz wpływy Wokulskiego**. Niwiński (ojciec ma kapitał w spółce Wokulskiego), Malborg (przez Wokulskiego dostał posadę przy kolei) i naśladowujący ich Szastalski adorują ją, a zarazem żywią urazę do dobroczyńcy — Szastalski wzdycha „są ludzie szczęśliwi, którzy...”, a Izabeli przy słowie „którzy” staje przed oczyma Wokulski, którego nazywa w duchu „despotą, tyranem”.

Sam Wokulski tymczasem **trwa w miłosnej ślepotce przeplatanej zwątpieniem**. Przygląda się Izabeli otoczonej elegantami i pyta siebie „tyżeś to, czy... nie ty?”; po niebie jego zachwytów „przelatuje obłok cienia”, lecz „na cienie zamyka oczy”, bo panna jest „jego życiem, słońcem”. Gdy wraca myśl o **Geście** i innym, wyższym celu niż miłość, „jedno spojrzenie panny otrzeźwia go z mrzonek”: „za całą ludzkość i za całą przyszłość świata nie oddam jednego jej pocałunku”. A jednak w chwilach, gdy słyszy jej „szczery śmiech” i widzi „ogniste spojrzenia rzucane na Niwińskiego, Malborga i Szastalskiego”, „spada przed nim zasłona”, za którą dostrzega „inną pannę Izabelę” — i wtedy zapala się w nim wspomnienie własnej tytanicznej młodości, świstu pocisków, laboratorium Geista, gdzie „rodziły się niezmierne wypadki”. Prus ustawia tu jaskrawy kontrast: zmarnowany na salonowych fircyków potencjał wielkiego człowieka — i sugeruje, że pod powierzchnią adoracji narasta w Wokulskim grunt pod przyszłe, gwałtowne otrzeźwienie.

Pod wpływem owej „nieostrożnej uwagi” w Izabeli zachodzi **zmiana na korzyść Wokulskiego**: dostrzega, że każdy z gości chce u niego ulokować kapitał „bodaj na piętnaście procent” albo wyrobić komuś posadę, a damy bądź go protegują, bądź chcą mu „odbić” pannę lub „uszcześliwić same” (baronowa von Ples: „choćby nawet i nie żoną”). Mimo resztek wstrętu Izabela przyznaje, że „ten szorstki i ponury człowiek więcej znaczy i lepiej wygląda” niż marszałek, baron Dalski czy salonowi fircyki — choć wciąż powtarza w duchu „tyran... despota”.

Najmocniej waży **opinia księcia**. Zrazu zrażony (Wokulski odmówił mu pieniędzy dla baronowej i innych żądań, śmiał być „samodzielnym człowiekiem”, a nie książęcym sługą), książę — z gruntu uczciwy i nieufający własnym sympatiom — przeprowadza, gdy pan Łecki pyta go o radę co do konkurów, **prywatne śledztwo**. Odkrywa, że szlachta, choć kpi z „dorobkiewicza”, po cichu chęłpi się nim („znać, że nasza krew”) i wysuwa go przeciw żydowskiemu bankierom; że kupcy zarzucają mu, iż jest „szlachcicem, wielkim panem, politykiem”; a zwłaszcza — od zakonnic — że Wokulski potajemnie wspomaga mnóstwo ludzi: furmana, dróżnika, studentów stypendiami, rzemieślników, a nawet „kobietę upadłą”, którą oddał do magdalenek i „zrobił z niej uczciwą kobietę”. Przestraszony tym, książę widzi w nim teraz człowieka „z własnym programem”, prowadzącego „politykę na własną rękę” i mającego wielkie znaczenie wśród pospólstwa — i mówi Izabeli zagadkowo: **„trzymasz w ręku niezwyklego ptaka... pieść go tak, ażeby wyrósł na pożytek nieszczęśliwemu krajowi”**. To przeważa szalę: Izabela „decyduje się wyjść za niego”.

Kulminacją chunku jest rozmowa z odwiedzającą ją **Wąsowską** (z Ochockim), w której Izabela bez ogródek wyklada swój **cyniczny „program” małżeństwa** — najjaśniejszy w całej powieści portret jej natury. Jej warunki: sklep ma być sprzedany (najpóźniej w czerwcu); spółkę handlową rozważa zachować dla dochodu (dziewięćdziesiąt tysięcy z nią, trzydzieści bez — „zaczynam znać się na cyfrach”); a nade wszystko, ponieważ Wokulski „nie ma rodziny” (jego „największa zaleta”), zastrzega sobie, że **„utrzyma wszystkie dotychczasowe stosunki”** — Starski, Szastalski, książę, Malborg „muszą bywać w jej domu”. Scen zazdrości się nie obawia („Zazdrość i Wokulski... cha cha cha; nie ma człowieka, który ośmieliłby się zrobić mi scenę”); przeciwnie, jego „uwielbienie, poddanie się, bezgraniczna ufność, zrzeczenie się wszelkiej osobistości rozbijają ją” — „kto wie, czy to jedno nie przywiąże mnie do niego”. Izabela traktuje więc małżeństwo jak korzystną transakcję z zachowaniem dawnego życia, a Wokulskiego — jak zdobycz dającą się dowolnie urabiać.

Wąsowska, przygryzając usta, przekazuje **proroczą przestrozę prezesowej** (która Wokulskiego „dobrze zna” i jest umierająca): „obawiam się, że Bela wcale nie rozumie Wokulskiego — z nim igra, a z nim igrać nie można; oceni go za późno... bo umierający widzą jaśniej”. Izabela przyjmuje to chłodno. Chunk zamyka **scena Ochockiego i Wąsowskiej w powozie**: Ochocki chce, by „Bela raz skończyła z Wokulskim tak albo owak”, bo jest pewien, że

ten „zna ważną tajemnicę naukową” (Geist), której nie wyjawia „dopóki będzie w takiej gorączce” — i wygłasza antyemancypacyjną tyradę o kobiecej kokieterii, kwitowaną ciętymi ripostami wdowy. Tak Prus, zestawiając wyrachowanie Izabeli z ostrzeżeniami z każdej strony, czyni nieuchronne i widoczne dla wszystkich prócz samego Wokulskiego, że jego miłość zmierza ku katastrofie.

Wizyty Wokulskiego u Łeckich pogłębiają jego mękę. Najczęściej zastaje tylko pana Tomasza (który wita go „z ojcowską czułością” i traktuje już jak członka rodziny), Izabela bywa nieobecna lub zajęta gośćmi. Podczas jednej z rozmów panna donosi mu o umierającej prezesowej i wymienia tamtejsze towarzystwo — w tym **Starskiego**, na którego imię oblewa się rumieńcem; Wokulski tłumaczy to sobie jako jej zakłopotanie jego niechęcią do Starskiego („jakże to podle z mojej strony”). Rozmowa o letnich planach (Kraków albo upragniona Szwajcaria) prowadzi do jego prośby, by mógł towarzyszyć pannie („jeżeli pan zasłuży”) i do żarliwego wyznania o męce niepewności („najgorsza pewność jest lepsza od niepewności”) — na co Izabela rzuca dwuznaczne „a jeżeli pewność nie jest najgorsza?”. Scenę przerywa przybycie **komicznej pary** wielbicieli, Rydzewskiego i Pieczarkowskiego, a popisowy monolog tego ostatniego o „cudownej kaszy tatarczanej” u Rzeżuchowskich i **wystudiowany zachwyt Izabeli** nad każdym jego słowem doprowadzają Wokulskiego do rozpacz — wybiega na ulicę z myślą: „nie rozumiem tej kobiety! kiedy ona jest sobą, z kim ona jest sobą?”.

Po takich wizytach Wokulski **ucieka w pracę** (rachunki, angielskie słówka, książki), a gdy to nie pomaga — **do pani Stawskiej**, w której towarzystwie znajduje „jeżeli nie spokój, to ukojenie”. Stawska opowiada mu o rosnących obrotach sklepu Milerowej, o Heluni, o Rzeckim i Wirskim zachwyconych Wokulskim — z tak „naiwną prostotą”, że bohater rozpoznaje w niej „najlepszą przyjaciółkę, która, choć go przecenia, mówi bez cienia obłudy”. Uderza go jej **bezinteresowność**: „nigdy nie zajmuje się sobą”, troszczy się o córkę, matkę, służącą, obcych biedaków, a w braku ludzi — o kanarka. „Anielskie serce!” — myśli, i mówi jej wprost, że „tak wyglądały kobiety święte” — gdyby dotknęła „człowieka poranionego, zagoiłyby się rany”. Stawska, zmieszana, broni się ze smutnym „ale teraz wszystko mi jedno”, na co Misiewiczowa ukradkiem się żegna — Prus dyskretnie sygnalizuje, że i Stawska skrywa własne, niełatwe uczucie.

Rozdział daje też **retrospektywę uczuć Stawskiej do Wokulskiego**. Z początku był dla niej tylko „przedmiotem publicznej ciekawości” (przyłgnął do niego frazes „diabelnie energiczny”); zachodziła do sklepu, by mu się przyjrzeć, i uderzył ją kontrast między tą opinią a jego spokojem i „wielkimi, rozmarzonymi oczyma” („piękny człowiek!”). Spotkanie w bramie (jej rumieniec i złość na siebie), obniżenie komornego, opowieści Rzeckiego, wreszcie proces o lalkę i ratunek sprawiły, że „ten człowiek stał się jej równie drogim jak Helunia i matka”. Otoczenie (Denowa, Kolerowa, Radzińska, matka, Rzecki) nieustannie podsuwa jej Wokulskiego jako „najlepszą partię w Warszawie” i jako człowieka, którego „tylko ona może

ocalić". Ona jednak czyni sobie **gorzkie wyrzuty, że nie potrafi go pokochać**: „serce jej wyschło, namiętności wygasły", przestała kochać nawet zaginionego męża (wspomnienie o nim „jak drzewo w jesieni, z którego opadły liście"). Tymczasem Rzecki cierpliwie realizuje swój „chytry plan", podsuwając jej kolejno: że Łęcka zgubi Wokulskiego, że tylko inna kobieta może go otrzeźwić, że jest spokojniejszy w jej towarzystwie, aż wreszcie — „w formie domysłu" — że Wokulski „zaczyna ją kochać". Prus prowadzi więc dwie kobiety jako przeciwieństwa: wyrachowaną, ukochaną Izabelę i szlachetną, niekochaną Stawską — i napina trójkąt, w którym uczucie i interes nigdzie się nie spotykają.

Pod naporem zwierzeń Rzeckiego i plotek Stawska „szczupleje i trwoży się", dręczona pytaniem: co odpowie, jeśli Wokulski wyzna miłość? Kulminacją jest **wybuch — „obudziła się w niej lwica"**: gdy matka, zalękniona oszczerstwami Denowej i Radzińskiej (jakoby Stawska „zamiast do sklepu chodzi do Wokulskiego"), próbuje ją mitygować, Helena odpowiada hardo „a gdyby tak było, więc i cóż?". Odrzuca względy na nieobecnego męża i wygłasza buntownicze credo: „ten człowiek zabrał mi duszę... nie dbam o taki świat, który dwoje ludzi skazuje na tortury za to tylko, że się kochają — nienawidzić wolno, kraść, zabijać, tylko nie wolno kochać; dlaczegóż Jezus nie mówił: bądźcie rozsądni, tylko kochajcie się?". Misiewiczowa jest przerażona, że „z ust tej gołębicy" padają takie słowa.

Nazajutrz Rzecki, dowiedziawszy się od matki, że Stawska „nie jest kochanką Wokulskiego tylko dlatego, że on tego nie zażądał", wychodzi złamany — bo prawdziwym problemem jest, że „Wokulski wcale o niej nie myśli". Tego samego dnia w sklepie spotyka go upokorzenie: **Maruszewicz** odwiedza Szlangbauma (przyszłego właściciela), wyprasząc pożyczkę dla barona i posadę dla siebie w zamian za to, że „baron z baronową będą odwiedzać dom Szlangbauma"; ten przyjmuje to z chłodnym pragmatyzmem („salon lepiej wygląda z baronami"). Maruszewicz dorzuca plotkę, że „Stasiek wziął na utrzymanie Stawską" — Rzecki pluje mu pod nogi.

## Rozdział XII — W jaki sposób zaczynają się otwierać oczy

---

Bezradny Rzecki idzie do **Szumana** — i zastaje doktora przemienionego. Porzuciwszy badanie włosów (dziesięć lat i tysiąc rubli na broszurę, o której „pies nie wspomniał"), Szuman studiuje teraz rachunki sklepu i spółki, bo Szlangbaum namawia go, by powierzył mu kapitał („wolę sześć tysięcy niż cztery rocznie"). Wygłasza **cyniczną pochwałę pieniądza**: „pieniądz jest spiżarnią najszlachetniejszej siły w naturze — ludzkiej pracy, sezamem, lampą Aladyna, za której potarciem ma się wszystko: pałace, piękne królowny, wiernych przyjaciół". „Tempora mutantur" — kwituje swoją przemianę; przez następne dziesięć lat zajmie się „operacjami pieniężnymi" i „będzie kochany i podziwiany, byle otworzył salon i kupił ekwipaż".

Sednem chunku jest **ironiczna, gorzka diatryba Szumana o upadku „polskiego systemu”**. Wokulski to „nieuleczony marzyciel”, który „fatalnie posuwa się do ruiny materialnej i moralnej, jak wy wszyscy i cały wasz system” — a na jego miejsce stawia „system żydowski”, utworowany przez „pogardzanych, lecz genialnych” (Heine, Börne, Lassalle, Marks, Rotszyld, Bleichröder). Maluje całą galerię nicości: Łęccy „trwonili majątki” (dziad, ojciec, syn — zostało „trzydzieści tysięcy ocalonych przez Wokulskiego i piękna córka”), gdy Szlangbaumowie „robili pieniądze”; ksiązę „wzdycha nad nieszczęśliwym krajem”, Krzeszowski i Dalski myślą o pieniądzach żony, Maruszewicz „poluje na pożyczki”, a **Starski „siedzi przy dogorywającej babce, by podsunąć jej testament” ułożony po swojej myśli**. Wokulskiemu zarzuca, że „nigdy nie pilnował fachu, zawsze gonił za mrzonkami”, majątek zrobił „nie jako kupiec, ale że oszalał dla Łęckiej”, a teraz „naradza się z Ochockim” (drugim „lunatykiem”) o machinach latających.

Gdy Rzecki przedstawia sprawę Stawskiej, Szuman kwituje ją równie chłodno: „wasze kobiety tyle warte, co mężczyźni”; Wokulski „mógłby być milionerem i potęgą”, lecz przez pannę Łęcką „sprzedał sklep, rzuci spółkę, strwoni majątek”. Żyd na jego miejscu „nie kochałby się na ośle, tylko szukał żony bogatej” albo, biorąc ubogą i piękną, „kazałby jej wdziękom procentować” — prowadzić salon, „romansować z najmożniejszymi”, by wspierać firmę. Na zarzut, że „pół roku temu mówił inaczej”, odpowiada, że to było „przed dziesięcioma laty”, gdy „truł się po śmierci narzeczonej” — co dziś uważa za „jeszcze jeden argument przeciw waszemu systemowi”. Jego nowym „ideałem”, a raczej wzorem „dzielnego człowieka”, jest **Szlangbaum**. Tak Prus pokazuje, jak rozczarowanie do idealizmu pcha Szumana w drugą skrajność — apoteozę pieniądza i bezwzględności — i tytułowe „otwieranie oczu” okazuje się równie jałowe jak ślepotą Wokulskiego.

Rzecki broni jednak idealizmu **celną ripostą**: na Szumanowy obraz społeczeństwa jako „gotującej się wody” (co na dole, jutro w górze) odpowiada „a pojutrze znowu spada na dół”, a na apoteozę „sprytu Szlangbaumów” stawia pytanie, co byłoby „więcej warte dla świata” — ich spryt czy „marzycielstwo Wokulskich i Ochockich”, gdyby Ochockiemu udało się zbudować maszynę latającą. Szuman, zmieszany, zbywa sprawę Stawskiej brutalnie („nie trzeba było bawić się w swata”), a Rzecki wychodzi zgnębiony, kwitując w duchu: „ot, przyjaźń żydowska!”.

Wielki post upływa modnemu światu na **filantropijnej rozrywce** (koncerty z okazji powodzi na Wiśle i w Szegedynie, odczyt krakowianina, teatr amatorski). Izabela bierze w tym czynny udział — występuje w żywym obrazie „w roli anioła litości” i gra w Musseta. Wokół panny narasta przy tym **publiczne widowisko z Szastalskim**, który grozi samobójstwem; staje się przez to bohaterem rautów, a Izabela zyskuje przydomek „okrutnej”. Damy „pewnego wieku” przez lornetki śledzą jej grę z cierpiącym wielbicielem (zamiast koncertu), gniewając się, że panna „rozumie swoje uprzywilejowane stanowisko” i „każdym spojrzeniem zdaje się mówić: to mnie on kocha”. Wokulski, obecny, „nic z tego nie rozumie”, a nikt się nim już nie zajmuje (jest

„poważnym konkurentem”). Tylko Wąsowska rzuca znaczące: „kto wie, gdzie tu naprawdę jest miłość nieszczęśliwa, a nawet tragiczna” — patrząc na Wokulskiego.

Centrum chunku to **upokarzający epizod z wirtuozem Molinarim**, jaskrawo obnażający przepaść między Wokulskim a światem Izabeli. Panna jest zachwycona „genialnym” skrzypkiem (argumenty: order od papieża i szacha, album recenzji), gdy Wokulski, który widział go w Paryżu w sali „za dwa franki”, uważa go za „dosyć miernego”. Jego chłód do sztuki rani Izabelę; bohater, „zwątpiwszy we własną pamięć”, wyrzuca sobie „prostactwo i niedelikatność” („znakomitszy jest ten skrzypek, który na niej zrobi wrażenie”). Gdy Izabela każe mu zaaranżować poznanie z Molinarim (by zagrał u ciotki na ochronkę), Wokulski przez znajomego muzyka usiłuje wyrobić „audiencję” — i zostaje potraktowany jak natręt: każą mu czekać w hotelu, a szwajcar i lokaj odsłaniają **kulisy „geniusza”** (kobiety przysyłają mu listy i bukiety, przychodzą „za woalką”, a on „dobiera sobie po dwa numery”; służba zowie go „kundlem, obieżyświatem, Kopernikiem”). Wokulski, wezwany do dalszego czekania, wychodzi z gniewem, czując żal do Izabeli („jak można zapalać się do człowieka, z którego żartuje hotelowa służba?”), lecz zaraz tłumaczy ją sobie: „nie znając go, daje się unosić prądowi reputacji — pozna go i ochłonie. Tylko już ja nie będę im służył za pośrednika”.

Rozdział zamyka **powrót Węgiełka**, który odsłania jedną z cichych dobroczynności Wokulskiego. Chłopak (przez dziesięć dni chory) przyszedł prosić o pozwolenie na powrót do Zasławia — nauczył się ślusarki, stolarki, koszykarstwa i rysunku; Wokulski daje mu sześćset rubli na narzędzia. Węgiełek wyznaje też, że chce się ożenić — z **panną Marianną** (dawną „magdalenką” Wokulskiego, reformowaną przez niego upadłą kobietą). Zna jej przeszłość (Wysocka ostrzegała „puszczała się”), lecz pokochał ją za pracowitość i wstyd. Opowiada wstrząsającą historię, jak Marianna została zmuszona do nierzędu przez „panią w aksamitach”, która zwabiła ją do „służby” i trzymała groźbą kryminału „za złodziejstwo dochodów”, aż **Wokulski zobaczył ją w kościele, wykupił i wyratował**. Tak Prus, kontrastując fałszywą „elitę” (wirtuoz-blagier, salonowi fircyki, Szuman-dorobkiewicz) z prawdziwą wartością cichych dobrych uczynków Wokulskiego, pogłębia tragedię człowieka wielkiego serca marnującego się w pogoni za pustą panną.

Węgiełek dokańcza historię Marianny: podczas jego choroby ona „chodziła do niego, prześcielała łóżko, opatrywała ranę”, a gdy okrutnie ją odepchnął („nie ożeniłbym się z taką, co się dziesięciu wysługiwała”), odpowiedziała tylko łzami i pokornym „rozumiem, że pan się ze mną nie ożeni” — co go „zemdliło z litości”. Wysocka ostrzegała go, że żeniąc się z Marianną mógłby „obrazić pana Wokulskiego”, bo „kto wie, czy ona do niego nie chodzi”; Wokulski daje słowo honoru, że „nigdy nie widuje tej panny”. Węgiełek, uspokojony, postanawia ożenić się po świętach, bo „ona za nie swoje grzechy cierpieć nie może — nie jej to była wola”. Wokulski dorzuca Mariannie pięćset rubli posagu i wyprawę, a w duchu podziwia **„logikę prostych**

**serc: pogarda dla występku, miłosierdzie dla nieszczęścia**" — naiwny mieszczanin urasta mu na „posłannika odwiecznej sprawiedliwości”.

Kulminacją chunku — i jednym z punktów zwrotnych w miłości Wokulskiego — jest **raut z Molinarim u Rzeżuchowskich**. Wśród absurdalnej świty (czterej muzycy obsługujący „mistrza”, z których jeden „podkreśla fizjognomią piękniejsze ustępy”) Wokulski dostrzega, że skrzypek jest fizycznie podobny do **Starskiego** (te same faworycki, „wyraz znużenia ludzi mających szczęście u płci pięknej”). Z odrazą obserwuje rozegzaltowane twarze słuchaczek („chore indywidua wrpęgają się do triumfalnego wozu tego pana”) — i nagle widzi wśród nich **Izabelę, „bardziej odurzoną i roznamiętnioną od innych”**. Gdy Molinari zostaje jej przedstawiony, panna wita go „wejrzeniem nieopisanego zachwytu”, a on prowadzi ją do kolacji, „potrąciwszy łokciem” Wokulskiego, którego ona nawet nie zauważa. Bohaterowi znów „spada z oczu zasłona”, za którą widać „inną pannę Izabelę”; z zamętem w głowie i „szałem w nerwach” ucieka na ulicę, błagając: „Boże, zdejmijże ze mnie to przekleństwo”.

Komentarzem do sceny jest rozmowa **Wąsowskiej z Ochockim**. Ochocki ocenia, że Wokulskiego „takich nie zabijają wachlarzem” — ma „rezerwę” w postaci „cudownego wynalazku” (Geista), dla którego „można by poświęcić nawet dziesięć kochanek”. Wąsowska wyznaje, że „robi wszystko, co w jej mocy, by Wokulski dostał Belę, bo ją kocha ten szaleniec” — i przyjmuje od Ochockiego propozycję przyjaźni („mówmy sobie ty”). Gdy Izabela podchodzi wzburzona, nazywając Molinarię „impertynentem”, Ochocki nietaktownie kwituje go „poliszynelem”, ściągając jej „piorunujące spojrzenie”; mimo to panna „niemniej się nim interesuje” (Ochocki: „pociąg do ostrych sosów jest oznaką nietęgiego zdrowia”). Książkę puszcza w obieg złośliwy bon mot, że Molinarię będzie przyjmował „w przedpokoju”.

Najważniejsza jest **prorocza diagnoza Ochockiego**: skoro „kobiety kochają tylko tych, którzy je lekceważą”, to „moja kuzynka bardzo prędko będzie musiała oszaleć za Wokulskim”; w walce mężczyzny z kobietą „przegra kobieta na łeb, na szyję, bo kobiety lgną do tych, co je lekceważą”. Tymczasem Wąsowska, spacerując z Izabelą, ostrzega ją, że Wokulski „dosyć nagle wyszedł”, gdy ona siadała z Molinarim do kolacji. Izabela odcina się hardo: **„ani myślę wyrzekać się dla Wokulskiego moich sympatyj — małżeństwo nie jest więzieniem”** — a na uwagę przyjaciółki, że „jeszcze nie jest z nim związana”, odpowiada wymijającym „już pojmuję”, zdradzając, że gotowa jest zerwanie traktować jako wyjście. Tłem komicznym jest podglądanie obu dam przez binokle Malborge i Niwińskiego. Prus ustawia tu ostro: Wokulski po raz kolejny ociera się o prawdę o ukochanej i znów ucieka przed nią w nadzieję, a wszyscy wokół już widzą, że zbliża się rozstrzygnięcie.

Ochocki ostrzega Izabelę zagadkowo: w „otwartej wojnie” z nim „przegra, nawet w tych punktach, gdzie liczy na najzupełniejsze zwycięstwo”. Panna jest świeżo **rozkochana w Molinarim** — Prus ilustruje to powracającym **motywem posągu Apollina** w jej pokoju, który „zmienia fizjognomię” w zależności od tego, kto ją akurat pociąga (był podobny do



Wokulskiego, teraz do skrzypka, potem do Starskiego, wreszcie do Szastalskiego). Wspomina zuchwałe zaloty Molinariego (wyznania miłości, szukanie jej ręki pod stołem, „oddalby życie za kilka dni z nią”). Lecz gdy Rydzewski i Pieczarkowski donoszą, że artysta „zraził całe towarzystwo”, a jego album recenzji to „błaga”, Molinari szybko „zaciera się w jej pamięci” — symboliczny obraz **płytkości i zmienności uczuć Izabeli**, dla której wielbiciele są wymienni jak twarze marmurowego bożka. Po tygodniu wraca do niej dawna wizja (zjazd powozem w dolinę dymów, olbrzymia ręka z kartą, twarz Wokulskiego z tumanów) — i panna spostrzega, że „Wokulski nie był u nich od tygodnia”.

Tymczasem Wokulski po raucie zapada w **apatyczny spokój** graniczący z obojętnością na życie. Bezsenny, lecz bez cierpienia, snuje chłodną, darwinowsko-materialistyczną **medytację o śmierci**: „wstręt do śmierci” to najważniejszy instynkt przetrwania, lecz w gruncie złudzenie, bo „umrzeć to nie być nigdzie, nic nie czuć” — „w iluż miejscach dziś nie jestem i nic mnie to nie trwoży?”. Życie ludzi za oknem (ich „bezświadoma szarmanteria, automatyczna kokieteria”) jawi mu się jako „kapitalne głupstwo”. W tej apatii zaniedbuje wszystko — nie je, pije mnóstwo herbaty, opuszcza kwartalne posiedzenie spółki — i z goryczą myśli: „w łeb sobie nie wypalę... pogardzałbym sobą, gdyby z tego świata miała mnie wymieść spódnica. Trzeba było zostać w Paryżu” (przy Geiście i jego „bronii, która wytepi potwory z ludzką twarzą”).

Jedyne ożywienie znajduje na **wieczorach u pani Stawskiej**, gdzie zaczyna bywać codziennie (późno, gdy Helunia śpi). Najczęściej milczy lub wypowiada gorzkie aforyzmy zdradzające jego stan: „człowiek jest jak ćma — na oślep rwie się do ognia, choć się w nim spali, dopóki nie oprzytomnieje” (Stawska: „mówi o pannie Łęckiej!”); opowiada też przypowieść o dwóch przyjaciółach z Odessy i Tobolska, którzy szukając się, mijają się i przypadkiem spotykają w Moskwie — „los czasami mocno żartuje z ludzi” (Stawska w duchu: „z nami tak nie będzie!”). Gdy Rzecki donosi, że Milerowa prześladuje Stawską z zazdrości, Wokulski poleca, by Stawska **otworzyła własny sklep** z jego funduszków; Stawska oddaje się jego woli bez reszty („zrobię tak, jak zechce pan Wokulski”), co przeraża matkę nagłą „stanowczością córki dotychczas tak łagodnej”.

Chunk zamyka **interwencja Wąsowskiej**, która, spotkawszy zmienionego Wokulskiego na ulicy, wciąga go do powozu na przejażdżkę po Alejach: „co się z panem dzieje? wyglądasz okropnie, blisko dziesięć dni nie byłeś u Beli — mówże pan coś!”. Prus zawiesza tu scenę tuż przed rozmową, w której energiczna wdowa spróbuje pchnąć biernego, pogrążonego w apatii bohatera z powrotem ku Izabeli — i ku rozstrzygnięciu.

W powozie Wokulski daje upust gorzkiej dumie: nie jest zazdrosny, „nie przeszkadza pannie Izabeli wybierać między mną a Molinarim, bo obaj mamy równe prawa”. Wygłasza przy tym **metaforę ołtarza i krzesła**: dla kochającego kobieta jest „świętością jak ołtarz”, lecz „jeżeli pierwszy lepszy awanturnik postępuje z nią jak z krzesłem, a ołtarz prawie zachwycę się tym traktowaniem, zaczynamy przypuszczać, że ów ołtarz jest naprawdę tylko krzesłem”. Wąsowska

odbija to **przewrotną sugestią**: a może kokieteria Beli to „niewinny odwet, ostrzeżenie” — pod jego adresem, bo „on ciągle zajmuje się panią Stawską” (świadkowie: Krzeszowska, Maruszewicz)? Wstrząśnięty Wokulski natychmiast „cofa wszystko”, przysięga, że „czci pannę Izabelę”, i — pchnięty przez wdowę — biegnie do Łęckich.

Następuje **pojednanie i zaręczyny**. Wokulski przeprosza za podejrzenia z rautu; Izabela „przebacza” i pozwala mu „mieć nadzieję” — „tak widać było przeznaczone”. Bohater wręcza jej wówczas **złoty medalion ze skrawkiem metalu Geista** — najgłębiej symboliczny gest: „oddając go pani, składał moją przyszłość; myśl o tym wynalazku była jedyną rywalką pani”, „została mi pani albo śmierć”. Izabela, zawieszając medalion na szyi, oznajmia: „biorę pana do niewoli”. W oczach Wokulskiego brzmi to jak triumf miłości — „otom podły, i ja taką kobietę podejrzewałem, nędznik” — lecz dla czytelnika jest jasne, że **oddał wszystko (wynalazek, przyszłość, życie) kobiecie, która traktuje go jak korzystną zdobycz**. Rozpromieniony ogłasza Rzeckiemu, że jest „narzeczonym panny Łęckiej”.

Prus natychmiast podkłada pod to **dwie miny**. Rzecki, zamiast winszować, błędnie: nadszedł list od Mraczewskiego (wysłanego przez Suzina do Francji), donoszący, że **Ludwik Stawski żyje** — mieszka w Algierze pod nazwiskiem Ernesta Waltera i handluje winem; Wokulski „spokojnie notuje adres”. Tymczasem porzucona Stawska, mizerna, traci posadę u Milerowej i mówi o wyjeździe z Warszawy („może mąż powróci”); Rzecki, ze swych oszczędności, pożycza jej tysiąc dwieście rubli. Gdy Wokulski ją odwiedza, Stawska, zalewając się łzami, życzy mu szczęścia — milcząca ofiara jego ślepoty. A Wąsowska słyszy od Izabeli **cyniczne podsumowanie zdobyczy**: Wokulski to „idealny mąż — bogaty, nietuzinkowy, gołębiego serca; nie tylko nie zazdrosny, ale przeprosza za podejrzenia... prawdziwa miłość ma związane oczy”. Wdowa kwituje to złowieszczo: „jeżeli on tak zna ciebie, jak ty jego, to oboje bardzo się nie znacie” — na co panna lekko: „tym przyjemniej zejdzie miodowy miesiąc”.

## Rozdział XIII — Pogodzeni małżonkowie

Rozdział, dla kontrpunktu, wraca do **baronowej Krzeszowskiej**, która od połowy kwietnia nagle łagodnieje. Dotąd dzień schodził jej na dręczeniu Marianny, pisaniu listów do lokatorów i zatrutowaniu życia stróżowi Kacprowi (groźbami, że straci miejsce, jeśli wpuści jakiego studenta-„nihilistę”). Teraz, za sprawą kilku zdarzeń (wizyta adwokata pytającego o fundusze barona, którego wierzytelle „gotowi chwycić się ostatecznych środków”; długa, łzawa konferencja z **księciem**), baronowa zaczyna szykować się na **powrót zbłąkanego męża**: każe Mariannie wieszać świeże firanki, wysyła Maruszewicza po męski szlafrok i pantofle (na jego miarę, bo „obaj jesteście jednakowo szczupli” — Maruszewicz przy okazji zawyża rachunek), a Kacprowi każe kłaść sukno na schodach. Z dawnej tyranki staje się **blada, milcząca, nerwowo wyczekującą kobietą**, która na każdy turkot dorożki biegnie do okna. Gdy jednak baron

zwleka (bo „znowu jakiś łotr pożyczył mu pieniędzy”), kładzie się chora i każe zdjąć sukno — aż wreszcie energiczny dzwonek zwiastuje przybycie dystygowanego jegomościa z parasolem i walizką (lokaja barona z tragarzami). Prus przygotowuje tu — z ironicznym tytułem „pogodzeni małżonkowie” — tragikomiczny powrót zrujnowanego barona Krzeszowskiego do żony, której pieniędzy potrzebuje.

Najpierw wprowadza się **lokaj barona, Leon** — figura komiczna, która od progu „rządzi” upokorzoną baronową (żąda osobnego pokoju, kucharza, wprowadza się do lokalu po studentach), gardzi nią („sama ją panna zepsuła”) i podrywa Mariannę („ubierz się inaczej, nie po tercjarsku, my nie lubimy zakonnic”). Potem zjawia się sam **baron Krzeszowski** — z wystudiowaną godnością, bez przerwy się kłaniając, choć drży mu powieka. Wygłasza pełną dumy mowę: wraca, by „bronić nazwiska”, które „figuruje we wszystkich sądach”, „nakazać szacunek dla baronowej” i zakończyć procesy. Kluczowo **bierze w obronę panią Stawską** — „najszlachetniejszą kobietę, jaką spotkał, która jego starania zostawiała bez odpowiedzi” — i wytyka żonie, że nie wytoczył nikomu „procesu o kradzież lalki” ani „anonimu spotwarzającego niewinną”. Łudzi się, że spłaci swoje długi (siedemnaście procesów, trzydzieści dziewięć tysięcy): „jeżeli Wokulski, zwyczajny szlachcic, zrobił miliony, człowiek z moim nazwiskiem spłaci czterdzieści tysięcy” — na co baronowa trzeźwo: „ty nie potrafisz zapracować nawet na własne utrzymanie”.

Baron instaluje się u żony i robi **wiele dobrego mimochodem**: przerywa procesy z lokatorami, grozi batami byłemu adwokatowi baronowej, posyła Stawskiej (aż pod Częstochowę) list z przeprosinami i bukiet, a w towarzystwie zapowiada (przez Maruszewicza) pojedynek każdej damie, która nie odda rewizyty. Baronowa zaś po cichu spłaca jego długi. Centralnym epizodem jest **zdemaskowanie oszustwa Maruszewicza**. Gdy Rzecki, regulując rachunki przed przejściem sklepu przez Szlangbauma, posyła baronowi należność, baronowa odpisuje impertynencko (wypominając „szachrajstwo” przy kupnie klaczy). Rzecki idzie do barona — i okazuje się, że Maruszewicz **sfalszował kwity**: za klacz Wokulski zapłacił osiemset rubli, lecz Maruszewicz oddał baronowi tylko sześćset (resztę przywłaszczył), a drugi kwit (jakoby baron pożyczał od Wokulskiego) jest w całości podrobiony. Baron, zrozumiałwszy, że obaj z Wokulskim „stali się ofiarami intryg tego łotra”, w imieniu żony uroczyście przeprasza i obiecuje **oczyścić honor Wokulskiego** — ogłosić wszystkim, że „pan Wokulski jest dżentelmenem, zapłacił za klacz osiemset rubli”. Tak Prus, po wielu rozdziałach, rehabilituje Wokulskiego w sprawie pojedynku i klaczy, a winę zrzuca na nikczemnego Maruszewicza. (Dopełnia to rozmówka barona z Leonem o honorze i kredycie: „ci kupcy to honorowi ludzie” — „mają gotówkę, jasnie panie”.)

Pointą jest jednak **obojętność Wokulskiego**: gdy Rzecki przynosi mu sfalszowane dokumenty, radząc proces, Wokulski „kiwa głową, ale patrzy nie wiadomo gdzie i myśli nie wiadomo o czym” — bo właśnie wspomina ruiny zaslawskiego zamku i „łzy w oczach panny

Izabeli" („jaka ona szlachetna! jeszcze nieprędka poznam wszystkie skarby tej pięknej duszy"). Bohater, który niegdyś dla honoru bił się w pojedynku, dziś jest tak zatopiony w miłosnej ślepcie, że sprawa własnego dobrego imienia go nie obchodzi; bywa u Łeckich „po dwa razy dziennie", nie śmiejąc myśleć o przyszłości, z mistyczno-samobójczą myślą: „zdaje mi się, że umrę u jej nóg... życie przyszłe może zamyka się w ostatnim uczuciu człowieka". Prus zestawia więc komiczną rehabilitację honoru (baron) z tragiczną obojętnością prawdziwie honorowego człowieka pochłoniętego przez fatalną namiętność.

Baron odwiedza Wokulskiego, by przeprosić za klacz (Wokulski zbywa to żartem) i — z rozbrajającą naiwnością — prosi o „sposób szybkiego z bogaceniam się" (potrzebuje stu tysięcy); Wokulski tłumaczy, że jego fortuna była „nie wypracowana, tylko wygrana" (dublowanie stawki „jak szuler", lecz „niefałszowanymi kartami"). Baron żali się na brak szczęścia („pół majątku przegrałem, drugą połowę zjadły kobiety") i prosi, by Wokulski „koniecznie wsadził Maruszewicza do rot aresztanckich". Wkrótce zjawia się sam **Maruszewicz** z teatralną groźbą samobójstwa (i morderstwa) „dla ratowania honoru"; Wokulski chłodno demaskuje błąd, po czym **drze sfalszowane dokumenty** i oddaje mu strzepy („niech pan zachowa na pamiątkę"). Klęczącemu z wdzięczności oszustowi oświadcza bez złudzeń: „o pańskie życie byłem spokojny, jestem pewny, że kiedyś dostaniesz się do więzienia — ja tylko nie chcę ułatwiać ci tej podróży". Akt łaski tłumaczy sobie miłością: „**to dla ciebie, ukochana, ubyl dziś jeden więzień**" — i przelotnie zastanawia się, „czy miłosierdzie nie jest najlepszą sprawiedliwością".

## Rozdział XIV — Tempus fugit, aeternitas manet

---

Sprawa Maruszewicza rozchodzi się po mieście i przynosi **znamienny sąd o przemianie Wokulskiego**: wszyscy (Rzecki, baron, książę) przyznają, że „postąpił szlachetnie, ale nie po męsku". Książę ujmuje to celnie: „piękny czyn, ale nie w stylu Wokulskiego — on wyglądał na siłę tworzącą dobro i karcącą łotrów; tak mógłby postąpić każdy ksiądz... obawiam się, że ten człowiek traci energię". Istotnie Wokulski się zmienia: czuje „wstręt" do sklepu (bo „tytuł kupca galanterijnego szkodzi mu w oczach panny Izabeli"), za to gorliwiej zajmuje się dochodową spółką (by powiększyć majątek dla niej). Ogarnia go „dziwna rzewność i potrzeba robienia dobrze": rozdaje zapisy (Rzeckiemu, Lisieckiemu i Klejnowi po cztery tysiące za szkody ze sprzedaży sklepu, dwanaście tysięcy dla inkasentów i furmanów), wyprawia Węgiełkowi huczne wesele, trzyma do chrztu córkę Wysockiego (nazwaną — przez sprytnego ojca — **Izabelą**, z pięciuset rublami posagu).

Imię ukochanej staje się jego **obsesją**: w samotności pisze bez końca „Izabela... Iza... Bella" i pali kartki; marzy o folwarku „Izabelinie", o mineralce „izabelicie", o planetoidzie nazwanej Izabelą. Prus diagnozuje wprost: „**nie była to miłość, ale ekstaza**" — Wokulski „nie należy

do siebie", a gdyby panna umarła, „jego dusza sama odleciałaby za nią". Mimo to dręczą go **wyrzuty wobec Stawskiej** (gotowej wszystko dla niego poświęcić): postanawia zabezpieczyć jej przyszłość i sprawdzić wieść o mężu. Już nie razi go zaloty mężczyzn wokół Izabeli ani jej uśmiechy — „taką ma naturę... jest jak kwiat albo słońce, które mimo woli uszczęśliwia wszystkich". Gdy nadchodzi telegram o **śmierci prezesowej** (i wezwanie na pogrzeb), Wokulski smuci się, lecz nie jedzie — „nie ma odwagi rozstać się z panną Izabelą nawet na kilka dni"; tak zdradza pamięć jedynej osoby, która go naprawdę rozumiała.

Chunk zamyka zawiązanie **fatalnej podróży do Krakowa**: pan Łęcki musi jechać do chorej Hortensji (chodzi o zapis dla Beli), i zaprasza Wokulskiego. U Izabeli okazuje się, że jest w Warszawie **Starski** (po prezesowej dostał ledwie dwa tysiące renty i dziesięć tysięcy), którego panna — „śmiejąc się" — namówiła, by jechał z nimi: „będzie weselej, nieprawdaż?". Wokulski, nieświadomy zagrożenia, sam zamawia salonowy wagon. Wieczorem na dworcu Starski się spóźnia (grał u Krzeszowskiego „od drugiej do dziewiątej"), a niespokojna Izabela „przygryza usta, wyglądając oknem", aż go Wokulski sam wprowadza do przedziału. Prus zamyka chunk na progu długiej, zamkniętej podróży we czworo — Łęcki, Izabela, Wokulski i Starski w jednym wagonie — ironicznie podpisanej maksymą „tempus fugit, aeternitas manet": scenerii, w której lada chwila runie cała ekstaza bohatera.

Ten chunk to **kulminacja całej powieści — scena w pociągu, w której Wokulskiemu otwierają się oczy**. Starski siada przy Izabeli i rozmawia z nią „w połowie po angielsku" (w przekonaniu, że Wokulski języka nie zna); ten, by nie przeszkadzać, przesiada się za pana Tomasza, znudzony jego gawędą. Wypadkiem dostrzega jednak **w szybie wagonu, jak w lustrze, odbicie pary**: siedzą blisko, oboje zarumienieni, lecz mówią „tonem tak lekkim, jakby chodziło o rzeczy obojętne" — i właśnie ta sprzeczność tonu z treścią uderza go po raz pierwszy myślą „**falsz!... falsz!**". Przyciśnięty do ławki, patrzy w szybę i słucha, a „każde słowo pada mu na głowę jak krople ołowianego deszczu".

Podsluchana rozmowa **obnaża jednocześnie Izabelę, Starskiego i całą iluzję Wokulskiego**. Izabela broni narzeczonego półgębkiem („nie jest młody ani dystyngowany, zanadto sentymentalny i nudny, ale nie chciwy"); Starski drwi z jego hojności i z afery kłaczy („żaden dżentelmen nie uwolniłby fałszerza, gdyby nie miał zakulisowych interesów"). Najboleśniejsze jest jednak, że szydzą z **medalionu jako „całego prezentu przedślubnego"** — i wychodzi na jaw, że oboje go otwierali, że **zgubili bezcenny skrawek metalu Geista** („Boże, gdyby on się kiedy dowiedział... że zgubiliśmy jego blaszkę, czy że szukaliśmy medalionu" — szepcze Starski, przytulając się do jej ramienia). Świętość, w której Wokulski „złożył całą swoją przyszłość", została przez kochanków rozbebeszona i zaprzepaszczone. Starski rozwija przy tym cyniczną **filozofię uwodzenia**: w tydzień znudzi ją „ubóstwiający mąż", przypomni sobie „łobuza kuzynka", bo „kobiety lubią demonów", „tobie

potrzeba szampana, ciebie musi ktoś odurzyć cynizmem"; obejmuje ją ramieniem, a Izabela, choć grozi mu „powiem mu wszystko”, w istocie ulega tej grze.

Reakcja Wokulskiego jest jednak **inna, niż można by oczekiwać** — Prus oddaje załamanie nie przez wybuch, lecz przez **fizyczny obraz pędzącego pociągu**: „od zdrady, rozczarowania i upokorzeń jest coś gorszego” — to „jazda koleją”, drżenie wagonu, które „udziela się jego nogom, płucom, sercu, mózgowi”. Ogarnięty paniczną grozą, chce wybić okno i wyskoczyć, schować się pod ławkę, błagać Starskiego o ratunek. Cierpienie psychiczne zostaje przeniesione w czystą trwogę cielesną — mistrzowski zabieg pokazujący człowieka rozpadającego się od środka. Gdy pociąg staje w **Skierniewicach**, Wokulski („jestem ocalony”) wbiega do bufetu, żąda wódki, lecz nie może jej tknąć z nudności.

Otrząsnąwszy się, Wokulski odzyskuje panowanie i przeprowadza **godne, zimne wyjście**: poleca nadkonduktorowi sfingować telegram („telegram do Wokulskiego”), by móc z honorem opuścić podróż pod pozorem, że „wspólnik wzywa go po ogromny zysk”. Ten spokój i stanowczość sprawiają, że w oczach Izabeli nagle „spotężniał” („jaka to bogata natura!”), a Starski „wydał się małym i zabawnym” — lecz pannę ogarnia narastająca trwoga („skąd się tu wziął telegram?”). Na peronie Wokulski **konfrontuje Starskiego** zawoalowanymi, miażdżącymi słowami: „w panu jest tyle demona, ile trucizny w zapalce... ma pan własności starego sera... pańska śmiałość demaskuje kobiety”. Na ofertę satysfakcji odpowiada groźnie: „gdybym czuł jej potrzebę, już byś nie żył; to raczej pan masz prawo żądać satysfakcji, że wszedłem do tego ogródka, gdzie pielęgnujesz swoje kwiaty” — i siłą wpycha go z powrotem do wagonu.

Sceną-puentą jest pożegnanie: „**Farewell, miss Iza, farewell!**” — angielskie słowa, którymi Wokulski daje Izabeli do zrozumienia, że **rozumiał całą ich rozmowę**. Pociąg rusza, panna „rzuca się na ławkę”, Starski odchodzi w kąt — a Wokulski, zostawszy sam na ciemnym peronie, **śmieje się gorzko**: „zblizycie wy się jeszcze przed Piotrkowem”. Tak, po setkach stron ślepej adoracji, runęła w jednej chwili cała ekstaza bohatera; Prus każe temu przełomowi dokonać się nie w gniewie, lecz w lodowatej jasności i rozpacz, zamykając rozdział obrazem gasnących na stacji świateł i cichnącego szumu odlatującego pociągu — symbolicznego końca największej iluzji jego życia.

Pozostawszy nocą na pustej stacji, Wokulski przeżywa **najciemniejszą godzinę swego życia** — rozpacz przechodzącą w próbę samobójczą. Najpierw szarpią nim gorzkie rozrachunki: „zgubili moją blaszkę, szukając medalionu... ja jestem sentymentalny i nudny... ona musi mieć szampana cynizmu”. Dokonuje bezlitosnej **demistyfikacji Izabeli** — „Mesalina przez imaginację”, która „nic nie robiła, tylko przyozdabiała salony”, a jej jedynym towarem była „miłość, fałszywy towar”; Starski to tylko „pasożyt, epizod”. Obwinia przy tym **poezję romantyczną**: „trzeba było poznawać kobiety nie przez okulary Mickiewiczów, Krasińskich i Słowackich, lecz ze statystyki, która uczy, że każdy biały anioł jest w dziesiątej

części prostytutką". Dręczą go **halucynacje** (zawalona wieża otaczająca go gruzami bez wyjścia; cmentarz, z którego cienie zmieniają się w kobiety, a wśród nich Izabela wabi go ręką) — „ja tu rozum stracę”.

Idąc nocą wzdłuż torów ku Warszawie, Wokulski czuje, że **rozpada się fizycznie i psychicznie**: język mu „kołowacieje” (nie wymawia „r”), lewym okiem widzi gorzej, na wąsach pojawia się krwawa piana. Snuje przy tym **przejmującą przypowieść o kamieniu**, który zgodził się stać człowiekiem, „by zaznać czegoś nowego” — choćby za cenę „wiecznego żalu” — a teraz cała natura woła nań „dosyć! ustąp innym miejsca w tym widowisku”, zostawiając mu „jako ostatnią pamiątkę tylko rozpacz po tym, co stracił”. Gdy z dala nadjeżdża pociąg (w którym wyobraża sobie Izabelę w objęciach Starskiego), ogarnia go „głód i żądza śmierci” — i Wokulski, „nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, **upada na szyny**”, chwytając podkłady, z ustami pełnymi piasku, szepcząc „Boże, bądź miłościw”.

W ostatniej chwili **ratuje go gwałtowne szarpnięcie** — ktoś strąca go z torów, a pociąg przelatuje „o kilka cali od głowy”. Wybawcą okazuje się **dróżnik Wysocki** (brat warszawskiego furmana), któremu Wokulski sam wyrobił tę posadę — co wydobywa z bohatera gorzkie „wszystko zwraca się przeciw mnie, cokolwiek zrobiłem dobrego”. Następuje **katarsis**: pod dziką gruszką Wokulski zanosi się płaczem („umieram! Boże miłosierny!”), a prosty dróżnik, wsunawszy mu rękę pod głowę, pociesza go słowami psalmu Kochanowskiego („Kto się w opiekę poda Panu swemu... wszystko człowieka zawodzi, tylko jeden Bóg nie zawiedzie”). Z każdą łzą „spada mu z serca jakiś ból”, a „wykolejona myśl układa się do równowagi”: Wokulski pojmuje, że gdy „wszystko go zdradziło, jeszcze pozostała mu wierna ziemia, prosty człowiek i Bóg”. Zasypia, a o świcie daje Wysockiemu kilka sturubłówek „dla dzieci”, prosząc o milczenie („byłem pijany”). Na słowa dróżnika, że „taki pan nie szukałby nieszczęścia, choćby stracił pieniądze — zrobiła to złość ludzka, ale Bóg nierychliwy, a sprawiedliwy”, Wokulski odpowiada z bezdenną goryczą: „**straciłem wszystko... oprócz majątku. Wolałbym już nie żyć**”. Prus daje tu szczyt tragizmu bohatera — wielkiego człowieka doprowadzonego przez pustą miłość na próg samobójstwa, ocalonego nie przez naukę ani fortunę, lecz przez bezinteresowną dobroć prostego człowieka, której sam był kiedyś sprawcą.

Odchodząc, Wokulski wypowiada do dróżnika **mrozące krew słowa**, zdradzające, że rozpacz w nim nie wygasła: prosi, by go odwiedził w Warszawie i o niczym nie mówił — a potem dodaje: „na drugi raz... gdybyś spotkał takiego człowieka... nie ratuj go. Kiedy kto chce dobrowolnie stanąć ze swoją krzywdą przed boskim sądem, nie zatrzymuj go”.

## Rozdział XV — Pamiętnik starego subiekta

Dziennik Rzeckiego daje **kontrapunkt do tragedii Wokulskiego** — swój gawędziarski, na poły komiczny, na poły wzruszający ogląd świata. Najpierw stary subiekt snuje wymyślne

**kombinacje polityczne** (dwie koalicje, nadciągająca wojna, agitacja Garibaldiego, uspokojenia Türra, a nade wszystko jego ukochany plan: Anglicy zrobią „małego Napoleona” Lulu generałem, Francuzi obwołają go cesarzem Napoleonem IV, odzyskają Alzację i Lotaryngię, a Bismarck — „mądra ryba”, spokrewniony przez Puttkamerów z Mickiewiczem — przeliczy się, „zaprzęgając lwa do taczek”). Te rojenia, jak całość Pamiętnika, malują Rzeckiego jako naiwnego idealistę, dla którego sens świata podtrzymuje wiara w Napoleonidów i w przyjaciela.

Pod tym jednak narasta **smutek schyłku**: Rzecki podupada na zdrowiu („chodzić nie mogę, apetyt straciłem”), a w sklepie, gdzie „rządzi już Szlangbaum”, staje się zbędny („ryba wyjęta z wody”). Wokulski zapewnił mu półtora tysiąca dożywotniej pensji, lecz subiekt czuje, że „niedługo nic nie będzie znaczył” — „nie warto żyć, gdyby nie Stach i nie Napoleonek” (znów wspomina zmarłego Katza). Marzy o **podróży na Węgry** (dwadzieścia lat nie wyrzwał za rogatki), by „spojrzeć na dawne pola bitew, znaleźć kości kamratów”, a może osiąść na prowincji w sąsiedztwie pani Stawskiej.

Centrum chunku to **przemiana Szlangbauma i narastający antysemityzm** — jeden z najważniejszych wątków społecznych powieści. Szlangbaum, niegdyś „potulny biedak”, staje się „arogantem i pogardliwym” tyranem (wypędza szwajcara i inkasenta za brak szacunku: „jedzą mój chleb!”); służyłczy wobec baronów i hrabiów (poznanych przez Maruszewicza), „depcze po nogach” podwładnych, a Rzeckiego upokarza protekcyjnym „mój subiekt Rzecki”, „kochany Rześ”. Z dawnego Polaka „chełpi się żydostwem”, z idealisty — mówi „tylko o pieniądzach i stosunkach”. W mieście wzbiera nienawiść do Żydów: skarżą się radca, Szprot, Lisiecki, gazety piszą przeciw nim, a nawet **doktor Szuman** wieszczy, że „przed kilku laty będzie awantura z Żydami” (bo Szlangbaumowie „chcieli go okpić” — znów się „nawraca”). Najmocniej brzmi scena, gdy Lisiecki, na buńczuczne „dlaczego za Wokulskim poszlibyście w ogień? bo ma więcej pieniędzy?”, odpowiada bijąc się w piersi: „**nie, panie — bo on ma to, czego pan nie masz i mieć nie będziesz**”. Prus, ustami zdeorientowanego Rzeckiego, pokazuje obie strony narastającego konfliktu: i butę dorobkiewicza, i jad antysemitycznych resentymentów (złowieszcze „my”, „nas” Klejna), z goryczą pytając, „za cóż ja się biłem z Austriakami” w wieku „wolności, równości, braterstwa”. Chunk kończy się przygotowaniami do wyjazdu — Wirski w cztery dni wyrabia Rzeckiemu paszport, pakuje kufer i mówi „Jedź!”.

Rzecki, urażony pośpiechem przyjaciół („czego oni chcą mnie się pozbyć?”), odkłada wyjazd — bo „musi pierwszej sił nabrać” (chudnie, źle sypia, ma zawroty, bicia serca, choć temu zaprzecza). Niepokoi się o **Klejna**, który się zaniedbuje (spóźnienia, tajemnicze „książeczki” i „sesje”, wziął już tysiąc rubli z daru Wokulskiego i „wydał w ciągu dnia”) — Prus dyskretnie sygnalizuje konspiracyjną, socjalistyczną działalność młodego subiekta. Centralną wstawką jest **komiczna zemsta losu na baronowej i Maruszewiczu**: baron, wróciwszy i potrzebując pieniędzy, za radą Maruszewicza („byle nie w mundurze i płaci z góry”) nieświadomie wynajmuje pusty



pokój na trzecim piętrze — Klejn zaaranżował, by wprowadzili się tam właśnie wygnani **Maleski i Patkiewicz**. Studenci niemiłosiernie dręczą Maruszewicza (strzelają grochem przez świstułkę, a gdy przyjmuje „damy”, wrzeszczą „stróżu, jaka to pani poszła do pana Maruszewicza?”, rozgłaszając to po całej kamienicy), a baron na skargi odpowiada: „sam mi radziłeś, bym nie trzymał pustego lokalu”. Rzecki widzi w tym „**sprawiedliwość boską**” — baronowa karana za mściwość, Maruszewicz za intrygi, a uczciwy Klejn ma upragnione towarzystwo.

Najważniejszy jest jednak **wątek Wokulskiego** — relacjonowany przez nieświadomego prawdy Rzeckiego, co potęguje grozę. Wokulski, który zapowiadał miesiąc w Krakowie, wraca **nazajutrz, „taki sponiewierany, że litość brała”**; tłumaczy się raz telegramem Suzina i wyjazdem do Moskwy, raz odwołuje go, wreszcie „po całych dniach nie wychodzi z domu i leży”, nie przyjmując nikogo (odprawia Rzeckiego i Szumana). Wścibski **Szuman**, śledząc na własną rękę, ustala, że Wokulski wysiadł w Skierniewicach pod pozorem telegramu, zniknął i wrócił o świcie „powalany ziemią, jakby pijany” — i trafnie podejrzewa, że bohater „zerwał z panną Łęcką i może próbował jakiej niedorzeczności” (samobójstwa); naiwny Rzecki wierzy w telegram. Chunk zamyka **wątek Stawskiej i Mraczewskiego**: wesoły, otyły Mraczewski (objechawszy Paryż, Lyon, Częstochowę, Moskwę, pomógłszy Stawskiej urządzić sklep) potwierdza, że Suzin nie telegrafował i że Wokulski zerwał z Łęcką; sama Stawska, odwiedzając Rzeckiego, dopytywała trwożnie o Stacha. Mraczewski wyznaje gorącą miłość do Stawskiej („gdyby nie ten mąż, oświadczyłbym się”), kpiąc zarazem z konkurów Wokulskiego do Izabeli („wystawał jak wyżeł do kaczki, bo myślał, że wejdzie w stosunki z arystokracją i że panna ma posag”) — co ironicznie odsłania, jak różnie ludzie odczytują tragedię Wokulskiego.

Rzecki, nierad zapalom Mraczewskiego (bo Stawska „była jedyną kobietą dla Stacha”), wreszcie „wyjeżdża” — i tu Prus daje **komiczny obraz jego przywiązania**: kupiwszy bilet do Krakowa i zajmąwszy miejsce, stary subiekt po trzecim dzwonku „wyskakuje z wagonu”, bo „nie potrafi ani na chwilę rozstać się z Warszawą i ze sklepem” (jego rzeczy jadą bez niego aż do Piotrkowa).

## Rozdział XVI — Dusza w letargu

Rozdział wraca do **Wokulskiego pogrążonego w letargu** po skierniewickiej nocy. Mglisto wspomina powrót do Warszawy (pociąg z księdzem, Niemcem w brudnych skarpetkach i damą z bólem zębów; mozolne liczenie pasażerów; dorożka, której nie pamięta), zastanie służącego śpiącego w jego własnym łóżku. **Traci poczucie czasu** — nie odróżnia dnia od nocy, czuje tylko „pustkę w sobie i naokoło”, nie przyjmuje nikogo, z chłodną ciekawością obserwuje, jak cierpienie nóg „posuwa się ku sercu” (myśli o śmierci na paraliż serca bez trwogi ani radości). Tę martwość przerywa wścibski **Szuman**: bada go, drwi z własnego „wyleczenia z

marzycielstwa" (i z „starego romantyka” Rzeckiego, „rasy ginącej”), proponuje leczenie „neurastenii”. Wokulski zbywa go gorzko — „czy możesz wyjąć człowiekowi mózg i włożyć inny? nie? to daj spokój” — i odsłania mimowolnie swoje jedyne pragnienie: „zapaść się pod ziemię jak studnia w zasławskim zamku, żeby zasypały mnie gruzy i ślad, że kiedykolwiek istniałem”; potem złości się na własną „głupią otwartość”.

Po wizycie Szumana zaczyna się **powolne budzenie świadomości**. Na tle apatii pojawia się „bezimienny ból” (od ukłucia szpilką do „zawady w sercu jak laskowy orzech”); Wokulski, cytując Feuchterslebena („radowałem się w mojej boleści”), rozpoznaje w nim oznakę życia — **„cierpię, więc jestem!”**. Towarzyszy temu obsesyjny, zmieniający barwy **obraz kobiety w objęciach mężczyzny** (Izabela i Starski). Bohater **terapeutycznie odbudowuje umysł**: sprawdza, czy „jeszcze potrafi myśleć” (tabliczka mnożenia, mnożenie liczb), z ulgą stwierdza „jeszcze nie straciłem rozumu!”; im żywiej wspomina Paryż, tym bardziej „zaciera się sylwetka kobiety”. Ratunku szuka w **rysunkach i lekturach** — najpierw ilustracje (Doré, Hogarth), a zwłaszcza **Don Quichote**, w którym rozpoznaje siebie: człowieka, który „kilkanaście lat żył w sferze poezji, rzucał się na wiatraki, ścigał ideał kobiety i zamiast królowny znalazł brudną dziewczkę od krów” — z gorzkim wnioskiem, że „don Quichote był szczęśliwszy, bo dopiero nad grobem budził się ze złudzeń”. Potem sięga po książki dzieciństwa (Genowefa, Rinaldini, Robinson, Tysiąc i jedna noc) i robi **znamienne odkrycie**: ukojenie znajduje tylko w literaturach obcych, gdy własna „wyniosła z niego złudzenia, które zakończyły się rozkładem duszy” — pyta z trwogą, „czy my naprawdę jesteśmy narodem marzycieli”.

Chunk wieńczy **powrót idei Geista**. Przychodzi z Paryża gruby list (od chemika), którego Wokulski z apatii nie otwiera. Marząc nad baśniami o czarodziejskiej „władzy nad siłami natury”, przypomina sobie słowa Geista — że metal lżejszy od powietrza odda „tylko prawdziwym ludziom” — i konstatuje: „byłoby lepiej, gdyby Ochoccy i Rzeccy mieli siłę, a nie Starscy i Maruszewicze... to jest cel! gdybym był młodszy...”. W finale doznaje **wizji nauki jako wyższego ideału**: dom Geista jawi mu się jako pierwszy stopień olbrzymich schodów, na szczycie których stoi spiżowy posąg kobiety z napisem **„Niezmienna i czysta”**, zsyłający mu w serce „wielkość pełną spokoju” — i Wokulski dziwi się, że człowiek zdolny do takiego uczucia „mógł kochać czy zazdrościć pannie Izabeli Starskiego”. Tak Prus prowadzi bohatera od samobójczej rozpaczki ku załączkowi odrodzenia — przez naukę, pracę i wyższy cel, które zaczynają wypierać miłosną obsesję.

Pierwszego czerwca odwiedza Wokulskiego **Szlangbaum** z propozycją, by zostawił u niego sto dwadzieścia tysięcy na dziesięć procent (piętnaście, jeśli zostawi firmę). Wokulski odmawia jednego i drugiego („firma bodajby nigdy nie istniała”), godzi się tylko zostawić kapitał do października bez procentu — pod warunkiem zatrzymania pracowników, którzy zechcą zostać — i zapowiada wycofanie się ze spółki. „On ma zamiar wszystko po mnie odziedziczyć — myśli — niech dziedziczy, świat należy do tych, którzy go biorą”.

Wreszcie Wokulski otwiera **list z Paryża** — i okazuje się, że zawiera urzędowe dowody **śmierci Ernesta Waltera, czyli Ludwika Stawskiego**, w Algierze. Pani Stawska jest więc wolna (wdowa). Wokulski rozważa to z gorzką ironią losu: „gdybym dostał te papiery trzy miesiące temu, kto wie, co by było... Stawska mnie kochała, a ja tamtą”. Czuje, że „odrzucił szczęście, które samo wpadło mu w ręce”, lecz nie umie nic z tym zrobić — Prus pokazuje tu pełnię jego **abulii (choroby woli)**: nie potrafi zdobyć się nawet na to, by odesłać dokumenty Stawskiej („myślę prawidłowo... tylko nie chce mi się załatwić tego ani żadnego interesu — modna dzisiaj choroba woli”). Czas znów się dla niego zaciera; ucieka w lekturę podróży (Stany Zjednoczone, Chiny).

Centralny jest **drugi najście Szumana** i jego wielka, namiętna **tyrada o kwestii żydowskiej** — jeden z węzłowych ustępów ideowych powieści. Doktor, w którym „budzi się instynkt przodków: skłonność do geszefciarstwa” (marzy, by być „młodszym bratem Rotszylda”), wygłasza dwuznaczny hymn na cześć swej „genialnej rasy”: Żydzi „świat zdobędą, i nawet nie rozumem, tylko szachrajstwem i bezczelnością”; przewiduje nowe prześladowanie, z którego wyjdą „jeszcze mędrsi, silniejsi i solidarniejsi”; wspomina ze łzami pierwszą po dwudziestu latach wizytę w synagodze. Namawia Wokulskiego, by „połączył się z Żydami”, zdublował majątek i ujrzał „nieprzyjacioły swoje u podnóżka nóg” (zemstę na Łęckich i Starskim), a Żydzi staliby się brakującą „inteligencją ludu”. Wokulski odpiera to **celną repliką**: Szuman, „który chce wszystkich leczyć z marzycielstwa, sam jest marzycielem” — „nie macie gruntu pod nogami, a chcecie innych brać za łeb; myślcie o uczciwej równości, nie o zdobywaniu świata, i nie leczcie cudzych wad przed własnymi”. Padają przy tym ich przeciwstawne credo: Szuman „gardzi jednostkami, szanuje siłę gromady” — Wokulski „gardzi gromadami, niekiedy szanuje jednostki”.

Szuman rozróżnia jeszcze **Żydów postępowych** (nauka, rozum, kosmopolityzm) od **zacofanych** (Talmud, spryt, „chałaty i cebula”) i ostrzega, że jeśli Wokulski porzuci spółkę, wpadnie ona w ręce „Żydów chederowych” zamiast „uniwersyteckich”; po czym wychodzi, gwizdząc arię „Rachelo”. Najmocniejszym akcentem jest jednak Szumanowa **gorzka prawda o losie Wokulskiego**: „ty już nie będziesz z nami walczył — jesteś złamany, i to złamany przez swoich, przez wielkich panów; rok żyłeś z nimi jak równy, i co z ciebie zrobili? pomyśl, co zrobili z nami, gnietąc nas przez wieki”. Po jego wyjściu Wokulski, znużony perspektywą udziału „w walce Żydów postępowych z zacofanymi o naszą skórę”, znów przywołuje wizję posągu „Niezmiennej i czystej” nauki — na chwilę zdolnej go wynieść ponad cierpienie — lecz „posąg znika, a ból wraca i rozsiada się w jego sercu jak wielki pan, któremu nikt nie sprosta”. Prus zamyka chunk obrazem człowieka rozdartego między ozdrowieńczym ideałem a niewygasłą raną.

Wkrótce odwiedza Wokulskiego **podupadły Rzecki** (mizerny, o lasce, zadyszany), który przyznaje, że próbował wyjechać, lecz „ogarnęła go tęsknota za Warszawą i sklepem”. Przynosi

też wieść, że **Klejn został aresztowany** (wraz z Maleskim i Patkiewiczem) — bo szykanowany Maruszewicz poskarżył się w cyrkule, a policja zabrała wszystkich trzech do kozy. Rzecki gorzko wytknął Maruszewiczowi, że „w naszych czasach Pan Bóg opiekuje się hultajami — to pan powinienesz siedzieć za fałszowanie podpisów”. Rozmowa schodzi na **spółkę**, którą Wokulski porzuca: w mieście mówią, że „odstępuje ją Żydom”, a dwie żydowskie „partie” (Szumana i Szlangbauma) zabiegają, by to Rzecki ją po nim prowadził, i właśnie się porozumiewają. Stary subiekt, zniechęcony („u nich wszystko stoi na bladzie, szacherce i tandecie”), maluje obraz ekspansji Żydów; Wokulski uczciwie kontruje: „to my ich wyhodowaliśmy... nie możemy odmawiać ludziom prawa do zdobywania stanowisk, ale możemy bronić własnych”.

Punktem zwrotnym rozmowy jest **propozycja małżeństwa ze Stawską**. Na widok dokumentów o śmierci Ludwika Stawskiego Rzecki entuzjazmuje się („ocalenie dla nas wszystkich! żeń się z nią, szalenie cię kocha, uratujesz spółkę, sklep, paruset ludzi pobłogosławi”). Wokulski jednak **stanowczo odmawia**, w jednym z najgłębszych wyznań swego upadku: „ja jestem tylko ruiną, najgorszą, bo moralną — zatruć komu szczęście potrafię, ale dać!”. Nie chce „spętać dobrej, niewinnej istoty, wyzyskiwać najszlachetniejsze uczucia, a myślać być gdzie indziej”. Owym „czymś ważniejszym” jest dla niego już nie polityka (rozczarował się do niej), lecz **wynalazek Geista** (o którym Rzecki wie od Szumana). Rzecki ostrzega, że jeśli Wokulski się ociąga, **Mraczewski** (który „już porzucił socjalizm” i szaleje za Stawską) odbije mu ją — i raz po raz ponawia namowy, by ożenił się i ratował spółkę, kwitując marzenia o „machinach latających” sceptycznym „phy, czy ja wiem... choć może i to na coś się przyda”.

Zostawszy sam, Wokulski waży **„Paryż czy Warszawa? Tam wielki cel, ale niepewny, tu paruset ludzi... na których nie mogę patrzeć”**; przy oknie wszystko go drażni, zwłaszcza kobiety („każda znajdzie swego Starskiego, każda go szuka”). Powraca **Szuman**, ciesząc się, że po „siedmiu tygodniach mizantropii” Wokulski „zaczyna tolerować gatunek człowieczy”, i namawia go do wyjścia między ludzi. Doktor rozwija swoją cyniczną filozofię: bawią go próby okpienia przez Szlangbauma (które z góry przewiduje) i nadzieje współwyznawców, że uczynią zeń „pionka”; broni porozumienia ze Szlangbaumem argumentem, że „w tym kraju tylko Żydzi tworzą ruch przemysłowy, więc każde ich ekonomiczne zwycięstwo jest zyskiem dla kraju” (Wokulski: „kompletny chaos” — Szuman: „najjaśniejsza prawda”). Największą uciechą jest dla niego to, że na wieść o jego przyszłej fortunie „już chcą go żenić — nawet z chrześcijanką z dobrej rodziny, byle się ochrzcił”; zrobiłby to „przez ciekawość”, by obserwować jej konkury, mowy „o wielkiej ofierze dla rodziny i ojczyzny” i to, jak „powetowałyby sobie ofiarę — oszukując potajemnie czy jawnie”. Na zgrozę Wokulskiego Szuman odpowiada **drwiną z jego idealizmu**: „stary romantyku, w twojej chorej wyobraźni pokutuje chimera idealnej miłości, kobiety z anielską duszą — takich jedna na dziesięć”; w jego oczach miłość to zawsze „kogut wśród kur” albo „wilczyca wabiąca zgraję

wilków", a „hańba temu, kto nie potrafi wydobyć się z takiego błota". Prus zestawia tu trzy postawy wobec klęski Wokulskiego: rzewną, swatowską wiarę Rzeckiego, lodowaty cynizm Szumana i własną, gorzką samowiedzę bohatera.

Na Szumanowy wywód Wokulski cicho przyznaje „masz rację" — co doktor wita jako **dowód ozdrowienia**: „jesteś ocalony! pluń na własną boleść i cudzą nikczemność, wybierz jaki cel i zacznij nowe życie... nigdy nie pozwól nakrywać się spódnicą; kto mając do wyboru ciebie i Starskiego wybrał Starskiego, ten niewart nawet Starskiego". Po jego wyjściu Wokulski, dusząc się, widzi siebie jako jednego z „zziajanych wilków uganiających się za wilczycą" — ogarnia go „wstręt i obrzydzenie do samego siebie" („tyle widzieć, tyle słyszeć i dojść do takiego upodlenia"). Tym razem **śmiało przywołuje obraz Izabeli** i dostrzega na niej „jak piętna, ślady pocałunków Starskiego" — „jestem naprawdę uleczony"; lecz gniew zaraz stygnie w żal i smutek.

Następuje **przewartościowanie**: zamknięty od dwóch miesięcy Wokulski czuje wstręt do handlu i zysków („ja, idealista, ja, uczony, zmieszałem się z ekonomicznymi szulerami... jedyną pociechą, że nie kradłem — widocznie Bóg opiekuje się głupcami"). Myśli, że „ten wyszulerowany majątek powinien zwrócić ogółowi", bo „biedy i ciemnoty u nas pełno, a ci ludzie biedni są najczcigodniejszym materiałem" — i najlepszą do tego pomocnicą byłaby Stawska. Ale **pesymizm Szumana zatruwa go**: czuje „pogardę dla ludzi, których chciał uszczęśliwić". Prus zestawia tu trzy filozofie człowieka: Wokulski (zwierzęta w ludzkiej postaci to wyjątki, ogół dobry), **Geist** (ogół bydlęcy, dobrzy to wyjątki, lecz z czasem rozmnożą się i zatriumfują dzięki wynalazkowi) i **Szuman** (większość to zwierzęta, bez lepszej przyszłości, tylko Żydzi odznaczają się „jak szczupaki między karasiami"). Szumanowy pesymizm „pleni się w jego zranionej duszy jak w świeżo zaoranim polu": gaśnie nie tylko miłość, ale i żal do Izabeli — „jeśli świat składa się z bydląt, nie ma racji szaleć za jednym ani gniewać się, że jest zwierzęciem". Stąd cyniczna, jałowa „recepta na życie": „jadać polędwicę albo ładne kobiety, popijać winem, czasem coś przeczytać, wyjechać, wysłuchać koncertu i tak doczekać starości".

Mimo nalegań kupców i arystokracji, by „nie opuszczał stanowiska", Wokulski **wycofuje się ze spółki** (zwróci kapitały „w godzinę po rozwiązaniu umowy"); interesanci odchodzą bez nadziei, mówiąc „zabił się chciwością". Punktem kulminacyjnym jest **wizyta księcia** — i miażdżąca, programowa **mowa oskarżycielska Wokulskiego pod adresem arystokracji**. Na lament księcia, że spółkę przejmą „starozakonni" („nieszczęsny kraj, nieszczęsny język!"), Wokulski odpowiada, że arystokracja mogłaby zebrać kapitały sama i powierzyć je „chrześcijańskiemu kupcowi", lecz „nie zna takiego, któremu można zaufać", a „u nas nie ma ludzi dość zdolnych — to subiekci, nie finansisci"; on sam zaś „był subiektem i restauracyjnym chłopcem", więc „poszukajcie więcej takich wyjątków w piwnicach i za kontuarami". Sedno zarzutu: **drzwi arystokracji są szczelnie zamknięte przed chrześcijańskim parweniusem** („trzeba je zbombardować setkami tysięcy albo wciskać

się jak pluskwa"), gdy Żydzi „sami przychodzą”. Z goryczą obnaża fałsz ich „szacunku”: Szastalski, Niwiński, a nawet **Starski** „o dziesięć pięter stali wyżej” od niego w ich poważaniu, choć „nic nie robili” i „każdy mniej wart niż mój szwajcar sklepowy”. Na obronę księcia („nie odpowiadamy za występki jednostek”) pada **werdykt**: „owszem, wy wszyscy odpowiadacie, bo owe jednostki wyrosły pośród was, a to, co książę nazywa występkiem, jest owocem waszych poglądów, waszej pogardy dla pracy i obowiązków”. Książę odchodzi dotknięty, lecz przyznając gorzko: „to bardzo słuszne, co pan mówi... zostawiasz nas na pastwę starozakonnym?”. Prus czyni z tej sceny syntezę swojej diagnozy społecznej — klęska Wokulskiego jest zarazem oskarżeniem warstwy, która zmarnowała najwybitniejszego z dorobkiewiczów.

Wokulski gorzko żałuje, że nie udało mu się być „złotym mostem między arystokracją a tymi, którzy coraz bardziej się od niej odsuwają”: „chciałem być mostem, ale podpiłowano go i zawalił się”. Książę, ze łzami, „wraca do okopów Świętej Trójcy”. Na **sesji spółki** zarząd sprawozdaje osiemnaście procent zysku i dziękuje nieobecnemu Wokulskiemu; adwokat ogłasza jego wycofanie się, a w ślad za nim **wycofuje się i książę** („Wokulski był jedynym człowiekiem, któremu mogłem powierzyć honor mego nazwiska... robiłem to dla nieszczęśliwego kraju, przegrałem, lecz nie z jego winy”). Komicznym akcentem jest wprowadzenie **Szlangbauma** na nowego kierownika (patetyczną mowę adwokata przerywa głos ojca: „mój syn, Henryś”, co wybucha salą śmiechu), obniżenie dywidendy do dziesięciu procent i drwiące przemówienie Szumana o spółce jako „nieślubnym małżeństwie arystokracji i Żydów, z którego mogą zrodzić się genialne dzieci”.

Wokulski, znający przebieg sesji z relacji i listów, odkrywa w sobie **nowy stan duszy** — **całkowite oderwanie**: „pękły w nim wszystkie nici łączące go z ludźmi”, jest jak „aktor, który skończywszy rolę zasiadł między widzami i patrzy na grę kolegów jak na zabawę dzieci”. Trzy fale gości (proszący o powrót, ciekawscy chwalaący przeszłość, wreszcie wychwalający Szlangbauma) i listy (od prośb po anonimy zarzucające mu „sprzedanie handlu Żydom”) spływają po nim bez wrażenia — „coś we mnie umarło”. Czuje się „jak zmarły człowiek patrzący na własny pogrzeb” albo „kamień rzucony w wodę”, po którym „rozbiegają się fale coraz mniejsze, aż znów tworzy się gładkie zwierciadło”. Wzruszające jest tylko pożegnanie z furmanem **Wysockim**, który wybucha płaczem i całuje go po rękach. Mimo rady Szumana, by „upatrzeć jakiś cel”, Wokulski nie czuje żadnego pragnienia — „jest jak zeschły liść, który pójdzie tam, gdzie go wiatr rzuci”.

Chunk wieńczy **wstrząsająca opowieść Węgiełka** — lustro losu samego Wokulskiego. Chłopak (z nowym domem i mnóstwem roboty) zwierza się, że jest nieszczęśliwy z żoną, odkąd w zasławskich ruinach zobaczył jej „dawnego gacha”: okazuje się nim **Starski** (także wnuk prezesowej, który teraz „chce zwać testament, twierdząc, że babka przed śmiercią zwariowała”). Marianna pobladła na jego widok i wyznała, że to „on najpierwszy ją zgubił” — Starski był więc pierwotnym sprawcą jej upadku. Co więcej, Węgiełek widział Starskiego

**schodzącego w krzaki z panią baronową Dalską (Ewelina)** — i z rozpaczy powiedział wprost zaniepokojonemu, kaszlącemu baronowi: „poszła w krzaki z panem Starskim; już mu zabrakło pieniędzy na kupowanie dziewcząt, to teraz chwyta się mężatek”. Węgielek, choć żona jest „dobra, cicha, pracowita”, nie może jej już pocałować, czuje, że „coś między nimi stoi”, i tylko „święta przysięga” trzyma go w domu — „a wszystko z tego, że do niej przywiązany”. Prus splata tu kilka wątków: demaskuje Starskiego jako seryjnego niszczyciela kobiet (od ludowej Marianny po arystokratyczną Ewelinę), potwierdza zdradę narzeczonej/żony barona Dalskiego, a w cierpieniu prostego Węgiełka — który kocha mimo wszystko i nie umie się wyzwolić — stawia ludowe odbicie tej samej rany, jaka zniszczyła Wokulskiego.

Po wyjściu Węgiełka (który wstrząśnięty zwierzeniem, że Starski „nawet kamień musiał zbecześcić”) Wokulski przez chwilę rozważa **zemstę na Starskim** — zabić go albo „doprowadzić do ostatecznej nędzy” — lecz odrzuca to jako „dziecinne i niesmaczne”. Dochodzi do dojrzałej diagnozy: „Starski jest tylko iskrą, która podpala już gotowe materiały; przyczyną klęsk świata nie są Starscy, ale głupota ich ofiar”; on, Izabela i Ewelina „nie spadli z księżyca — wyhodowali się w pewnej sferze; są jak wysypka, która sama nie jest chorobą, lecz objawem zakażenia społecznych soków”. Wokulski **rezygnuje z zemsty**. Pierwszy raz wychodzi też na ulicę — i przekonuje się, jak jest osłabiony (zawroty, lęk, że „nie trafi z powrotem” lub spotka znajomą twarz).

Tydzień później przychodzi **Ochocki** (zmężniały, opalony) z relacją z Zasławka, która domyka wątek Starskiego i barona Dalskiego. Prezesowa zapisała majątek na cele dobroczynne (szpitale, podrzutki, szkoły, sklepy wiejskie), a Starski — w imieniu „pokrzywdzonej rodziny” — chciał obalić testament; podburzany przez żonę Ewelinę baron zaczął już mięknać. Lecz po wspólnej wyprawie do Zasławia wszystko się odwróciło: **baron stanowczo odmówił obalenia testamentu, rozwodzi się z ubóstwianą dotąd żoną, a ze Starskim stoczył pojedynek** (dostał kulą po żebrach), po czym odprawił Ewelinę do rodziny i — „na złość żonie” — kazał ufarbować sobie głowę (wygląda „na dwudziestoletniego trupa”). Starski uciekł za granicę przed wierzycielami (ok. stu tysięcy długów). Wokulski kwituje to z gorzkim uśmiechem.

Ochocki rozwija paradoksalną tezę, że „**cymbał Starski zrobił tyle dobrego — właśnie dlatego, że jest cymbałem**”: gdyby był „przyzwoity” i nie romansował z baronową, Dalski poparłby obalenie testamentu — a tak jego awantura „uratowała zapisy” (nienarodzone pokolenia chłopów zasławskich „powinny błogosławić Starskiego”) i uwolniła barona od żony, którą Ochocki maluje bezlitośnie: „żaba, nie kobieta... kawał mięsa przy kości, automat, w którym pod pozorami człowieczeństwa nie było nic ludzkiego”. Słyszając ten opis (lustro Izabeli), Wokulski szepcze „Boże miłosierny!”. Co więcej, Starski może stać się **załącznikiem czegoś doniosłego**: rozmyślając nad wydziedziczeniem żony, baron Dalski podchwycił dawny pomysł Ochockiego i spisał u rejenta akt o założeniu w Warszawie **pracowni technologicznej**

(gabinetu doświadczalnego chemii i mechaniki) — „ironia losu, żeby takie zero jak Starski było zarodkiem technologicznej pracowni!”.

Wokulski reaguje na ten cyniczny optymizm **gorzką uwagą moralną**: „ta pracownia wyrośnie z cierpień, z gruzów ludzkiego szczęścia; nie zadaje pan sobie pytania, jaką drogę przeszedł baron od miłości dla żony do pracowni technologicznej”. Ochocki zbywa to brutalnie („kupić postęp społeczny za cierpienia jednostki — tanie kupno”), a duchowe cierpienie („duch ludzki rozdziera się i walczy z samym sobą”) uznaje za „niemęską dolegliwość, może kobiecą przy porodach”. Chunk zamyka **gorzka diagnoza Warszawy** w ustach Ochockiego: nie podejmie się sam zakładać pracowni i wyjedzie do Zurychu, bo w kraju „nie ma naukowego klimatu — to miasto karierowiczów, gdzie istotny badacz uchodzi za gbura lub wariata”; ludzie „uczą się nie dla wiedzy, lecz dla posady”, którą zdobywa się „przez stosunki, przez baby, przez rauty”, a przemysłowcy mają o nauce „wyobrażenie jak gęsi o logarytmach”, interesując się tylko wynalazkami zwiększającymi dywidendę albo pozwalającymi „okpić kundmana”. Trafnie puentuje los Wokulskiego: „dopóki myśleli, że robi pan szwindel na spółce, nazywali pana geniuszem; dziś mówią, że ma pan rozmiękczenie mózgu, bo dał pan wspólnikom o trzy procent więcej”. Tak Prus zestawia dwa rodzaje idealizmu — chłodny, oderwany od cudzego cierpienia idealizm nauki (Ochocki) i tragiczną, współczującą wrażliwość Wokulskiego — na tle kraju, który marnuje jednych i drugich.

Na pytanie o Geista Ochocki odpowiada, że jechałby do niego głównie „dla sprawdzenia faktu” (zmniejszanie ciężaru gatunkowego „wygląda na bajkę”); gdy prosi, by pokazać metalową blaszkę, Wokulski — z chorobliwym rumieńcem — wykrztusza, że „**już jej nie ma**” (każe ją sobie wyobrazić „upadłą gdzieś w kanał”), nie zdradzając, że zgubili ją Izabela ze Starskim. Wizyta budzi w nim **żądze powrotu do chemii**: kupuje retorty, preparaty, wagę precyzyjną i „bierze się do roboty jak uczeń”. Otrzymując wodór, wspomina czasy akademickie, swoje balony i słowa Geista, że „chemia związków wodoru zmieni dzieje ludzkości”; marzy, że „za parę lat trafi na ów metal — a co wtedy powiedziałyby panna Izabela?” (zaraz gani się: „chciałbym być potężny, by jej dowieść, jak nią gardzę — a pogarda nie objawia się gniewem”). Praca pochłania go (godzinami nie myśli o Izabeli), słabnie lęk przed ludźmi, odstępuje większe mieszkanie na rzecz dwóch pokojów.

Wokulski jednak wciąż **chwieje się między ozdrowieniem a nawrotem**. Wyprawa do Łazienek (aleja, łabędzie przylatujące do brzegu — wspomnienie odjazdu Izabeli z Zasławka) wytrąca go z równowagi; nocą śni, że Izabela ze łzami pyta, „czemu ją porzucił”, a cała podróż do Skierniewic „była tylko snem”. Budzi się z dręczącym **zwątpieniem racjonalizującym**: czy odbicie w szybie nie było halucynacją? czy nie przesłyszał się w angielskim? czy „kuzyni znający się od dziecka” nie mogą prowadzić drastycznych rozmów? „Co ja zrobiłem, jeżeli się omylił pod wpływem zazdrości!” — Prus pokazuje, jak rana wciąż każe mu szukać furtki do nadziei. Zarazem narasta **pokusa Geista** jako jedyne celu wartego życia (sława, „pancerniki



unoszące się w powietrzu"; „lepiej zmarnować się tam, sięgając po bezprzykładną chwałę, niż gnić tu przy preferansie”) — lecz „wola jego jest zupełnie sparaliżowana”, a „ocucić ją mogłoby tylko silne wstrząśnienie”. „Już nie ginę, ale gniję” — podsumowuje, ku przerażeniu coraz rzadziej odwiedzającego go Rzeckiego.

Owym wstrząśnieniem ma być **wezwanie od Wąsowskiej**. Wdowa (w jej włosach tkwi „wąski sztylecik ze złotą rękojeścią” zamiast szpilki) przyjmuje go gniewnie: wytyka mu, że „naraził osobę z towarzystwa na plotki, jej ojca na chorobę, zrobił zawód ludziom, którzy mu ufali”, a nawet książkę nazwał jego dziwactwa „przyczynkiem do działalności kobiet”. Wokulski o mało nie mdleje („naprawdę nie jestem zdrow”), co Wąsowską mityguje — chwali jego brodę („wygląda pan interesująco”). Bohater odczuwa wobec niej dziwną **nieśmiałość i zawstydzenie** („co się ze mną dzieje?”). Energiczna wdowa narzuca mu opiekę: ma bywać u niej na obiady, jeździć na spacer, a pojutrze wyjechać z nią na wieś („inaczej cię prezesowej nie dałby mi spokoju”). Przy winie dochodzi jednak do **sporu o barona**: Wąsowska potępia jego rozwód i pojedynek jako „okrycie hańbą kobiety” („każdy mężczyzna z iskrą szlachetności wolałby sam się zabić, niż ciągnąć pod pręgierz słabą istotę”), a Wokulski — z chłodnym spokojem — broni barona („mógł być sobie w łeb strzelić, zapisawszy pierwszej żonie majątek”), czym ją rozwściecza: „to jest ten nowy człowiek, bohater, który cierpi i milczy? o, wy wszyscy jesteście jednakowi!”. Prus zamyka tu nowy, ostatni wielki dialog — między zranionym Wokulskim a wojowniczą, lecz życzliwą mu Wąsowską — który ma rozstrzygnąć, dokąd skieruje się reszta jego życia.

Spór przeradza się w **wielką debatę o mężczyznach, kobietach i podwójnej moralności** — jeden z najgłębszych dialogów ideowych powieści. Wąsowska wytacza **oskarżenie feministyczne**: mężczyźni „włóczą się u nóg, kłamią »za ciebie oddałbym życie«, a gdy biedna ofiara uwierzy — depczą ją nogami”. Wokulski odpiera, że barona oszukano (Ewelina „miała feblik do Starskiego”, a przyjmowała hołdy męża), i rozwija swoją teorię: mężczyzn uczą, że są „zwierzętami”, które „uczłowiecza” dopiero miłość do kobiety szlachetnej, niewinnej i wiernej — dlatego ją ubóstwiają; „jeśli jednak kobiety mają nas naśladować w zwierzęcości, to za co je ubóstwiać?”. Stawia tezę o równości warunkowej: „w sumie kobiety są równe, w szczegółach nie — umysłem i pracą niższe, lecz obyczajami i uczuciem o tyle wyższe, że to kompensuje; jeśli więc baronowa zrzekła się swoich zalet, straciła i przywileje — mąż pozbył się jej jako nieuczciwego współnika”.

Wokulski wzmacnia argument **wyznaniem o własnym małżeństwie**: „ja sam się sprzedałem — nie dla majątku, lecz z nędzy” (Minclowej), ale „byłem najwierniejszym sługą, nie miałem kochanek”, więc ma prawo „być surowym sędzią baronowej, która sprzedając się wiedziała, że nie kupowano od niej jej pracy”. Konkluduje: „handel samym sobą jest okropny, lecz dopiero transakcje w złej wierze są haniebne”. Debatę zaostrza się do **demaskacji „uczciwej” kokieterii**: na pytanie, „która kobieta zapewnia, że nie miała kochanków”,

Wokulski odpowiada cięto „więc pani ich miała”, a kokotę „maskującą się pozorami nieskazitelnosci” nazywa oszustką (ilustruje to anagramem „Wolkuski”/„Wokulski” — bezprawnym przywłaszczaniem tytułów). Najmocniej brzmi jego **autobiograficzna odpowiedź na pytanie, co świat traci na takiej mistyfikacji**: czasem zyskuje (gdy „naiwny prostak wpada w obłąd zwany miłością idealną i zdobywa majątek dla swego ideału”), lecz „traci jedno zabite szczęście, jeden zwichnięty umysł, człowieka, który mógł coś zrobić”, gdy ów „wariat odkrywszy mistyfikację upada złamany albo... strzela się z panem Starskim”.

Gdy Wąsowska zapowiada „walkę”, w której „strona silniejsza zwycięży”, Wokulski w geście fizycznej demonstracji **chwytą ją za obie ręce** („próbujemy, kto silniejszy”), a na jej groźbę wezwania służby odpowiada zimno: „potrafiłbym zakneblować usta”. Wdowa, na przemian przestraszona i oburzona, przyznaje, że „trochę jej zaimponował”. I wtedy następuje **punkt zwrotny**: rzucając „szkoda, że z tej strony nie dałeś się poznać Beli — ona gotowa panu przebaczyć”, Wąsowska spodziewa się poruszyć Wokulskiego — lecz on doznaje czegoś przeciwnego. **Panna Izabela wydaje mu się nagle całkiem obojętna**, a zaczyna go interesować sama Wąsowska. Na wieść, że Izabela „gotowa przebaczyć”, śmieje się tak szczerze, że sam się tym niepokoi (Wąsowska: „śmiesz się? to najwyższy stopień cierpienia”), i wyznaje z drżeniem: „**od dziesięciu tygodni, a nawet od paru lat, nie czułem się tak swobodnym — szarpała mi mózg jakaś zmora i przed chwilą znikła; teraz dopiero czuję, że jestem ocalony — i to dzięki pani**”. Całuje jej ręce „prawie namiętnie”, ze łzami w oczach. Prus czyni z tej brawurowej, intelektualnej potyczki **moment prawdziwego uzdrowienia Wokulskiego z miłości do Izabeli** — ozdrowienia, którego nie dała ani nauka, ani rozpacz, lecz dopiero starcie z kobietą równą mu rozumem i temperamentem.

Wąsowska, próbując go jeszcze wzruszyć, zdradza, że **Izabela go kocha i żałuje** — przez dwa miesiące „mówiła tylko o nim”, jej ulubionym celem przejażdżek jest zamek zasławski, gdzie „siadała na wielkim kamieniu z napisem”, a raz „rozpłakała się, powtarzając wryty dwuwiersz” (Mickiewicza). Lecz na Wokulskim ta wiadomość nie robi wrażenia — przeciwnie: „jedynym moim życzeniem jest, żeby zaginął najdrobniejszy ślad mojej znajomości z panną Łęcką, a przede wszystkim ten nieszczęśliwy kamień”. Potwierdza swoje **ozdrowienie** („zdaje mi się, że ktoś mnie na parę lat zamagnetyzował, a dziś ocknąłem się naprawdę... panna Izabela to kobieta innego gatunku i tylko obłąkanie mogło mnie do niej przykuć”). Na pytanie, czy znalazł kobietę „swego gatunku”, odpowiada — nie Stawska, „prędzej byłaby nią pani”. Rozmowa kończy się **igraniem na progu nowego uczucia**: Wąsowska zaprasza go na wieś (gdzie może być Bela), a gdy on uchyla się od spotkania z Izabelą, zapowiada między nimi „wojnę” — Wokulski: „ostrzegam, że bym ją wygrał... zrobiłbym panią swoją niewolnicą, a później u nóg pani błagałbym, żebyś przyjęła mnie za swego niewolnika”; ona, wychodząc, rzuca przez ramię „do widzenia... na wsi!”.

Wokulski wychodzi „jak pijany” i odkrywa **przemienione spojrzenie na świat**: ruch uliczny już go nie drażni, lecz cieszy, niebo i domy wyglądają „zdrowiej”, a największą przyjemność sprawiają mu młode kobiety — zwłaszcza zaś Wąsowska, „najponętniejsza” („co to musi być za wściekła kobieta, kąsałbym ją”). Zmartwychwstał w nim zmysłowy apetyt do życia. Spotkany **Szuman** wita go radośnie („dawno nie miałeś tak byczej miny, poznaję dawnego Stacha”) i utwierdza w nowej drodze: „byłeś chory, gdy wariowałeś za jedną; dziś jesteś zdrow, gdy ci się wszystkie podobają — lecz się o nią postaraj”. Doktor wyklada przy tym swą **hedonistyczną filozofię** („do rozsądnego szczęścia trzeba co dzień jadać inne potrawy i co kwartał zmieniać miejsce pobytu i kochanki”; ta sama „dieta” obowiązuje kobiety), zachęcając do romansów z wielkimi damami.

Kontrapunktem jest **głos sumienia Ochockiego**, który nadchodzi i odbiera Szumanowi pałeczkę. Wyobraża sobie Wokulskiego zmieniającego kochanki, gdy staną przed nim „wszyscy, którzy pracują na jego dochody”, pytając: „czym się nam wywdzięczasz za nasze trudy, nędzę i krótsze życie?”. Stawia **problem moralny bogactwa**: nawet jego półtora tysiąca rocznie „stanowi utrzymanie trzech-czterech ludzi, którzy ustępują dla mnie ze świata”; kupony od listów zastawnych „płacą parobcy”, dywidendy — „robotnicy”. Wokulski, posępniejąc, próbuje się bronić („tysiące żyją z procentów i nie troszczą się o to”), lecz pytanie zostaje w nim zasiane. Praktycznym skutkiem rozmowy jest **umowa**: Wokulski oferuje, że spłaci kapitał Ochockiego (ulożony na hipotecę), by ten mógł natychmiast wyjechać za granicę do pracy naukowej. Uradowany Ochocki przyjmuje (boi się, że inaczej „z desperacji ożeni się bogato”), wyznając, że potrzebowałby „dziwnej kobiety, która razem z nim pracowałaby w laboratorium”. Jutro wyjeżdża do Zasławka; pieniądze ma dostać w październiku. Chunk zamyka obraz Wokulskiego, który po dniu „silnych i sprzecznych wrażeń” czuje, że „wchodzi na straszną wysokość otoczoną przepaściami” i widzi „całkiem nowe horyzonty” — między rojem kobiet (z Wąsowską na czele) a gromadą parobków pytających, co im dał w zamian. Budzi się o szóstej z uczuciem swobody i rzeźkości — Prus stawia tu jego odrodzonego bohatera na rozstaju między hedonizmem Szumana a społeczną odpowiedzialnością Ochockiego.

Wokulski **testuje odzyskaną wolę** (wstaje punktualnie, kąpie się, idzie do Łazienek) i z ulgą stwierdza, że myśli już o Wąsowskiej, nie o Izabeli — „myśl o pannie Izabeli straciła nad nim władzę”. Przy Pomarańczarni z „dziką radością złośliwego dzieciaka zaciera nogą własne ślady” (rodzi się w nim „instynkt niszczenia pewnych rzeczy”); zarazem zdobywa się na **chłodną sprawiedliwość** wobec dawnej ukochanej: „gdyby nie ona i Starski, nie wyjechałbym do Paryża, nie zbliżyłbym się z Geistem, pod Skierniewicami nie uleczyłbym się z głupoty — to moi dobrodzieje”. Na pagórku w Ogrodzie Botanicznym (gdzie rok temu poznał Ochockiego) doznaje **wizji bogini**, która okazuje się **Sławą**: chmury wokół jej głowy rozsuwają się, ukazując „surową twarz i lwie oczy”, a Wokulski czuje, że „rośnie, sięga jej stóp” — i pojmuję, że „na jej szczytach nie ma innej uciechy nad pracę i niebezpieczeństwa”. Tak nawiązuje się „węzeł

między jego przeszłością a młodością" (perpetuum mobile, balony), a ostatnie lata jawią mu się jako „przerwa i strata czasu”. Postanawia wyjechać i wysłał długą depeszę do Suzina.

Druga przejażdżka z **Wąsowską** odsłania, jak głęboko zacynizował go pesymizm Szumana. Wdowa namawia go, by „wszedł między ludzi” (damy „interesują się jego cierpieniami”), lecz Wokulski wygłasza **mizoginiczną tyradę**: nie cierpi, a istnieje „gatunek kobiet, które żyją po to, by drażnić namiętności mężczyzn — ogłupiają rozumnych, upadlają uczciwych, działają jak haremy na Turcję”; powtarza Szumanowe „korzystniej kupić miłość za cztery tysiące rocznie, a wierność za pięć tysięcy”. Urażona Wąsowska odjeżdża, lecz wręcza mu **list Izabeli** (pisany do niej, Kazi), licząc, że „rozwikła nieporozumienie” — „jeśli mi się uda, spal go, jeśli nie, przywieź na wieś”.

List Izabeli to **przejmujący obraz jej pustego życia**: dostała sześćdziesiąt tysięcy od ciotki Hortensji (razem dziewięćdziesiąt, ledwie sześć tysięcy renty — „trzeba nauczyć się oszczędności”); nudzi się, a „młody inżynier”, który u nich bywa, „opowiada, jak się kochał w osobie, która wyszła za innego” i „pisuje wiersze opiewające wdzięki natury” — pozwala mu całować rękę „z nudów”. Ojciec coraz słabszy, „płacze i robi jej wymówki” (o Wokulskiego). W zasławskich ruinach „pisze różne rzeczy ołówkiem na ścianach, z radością, że pierwszy deszcz to zmyje”. Najważniejsze: **marszałek oświadczył się o jej rękę listem do ojca** — „całą noc płakałam, nie dlatego, że mogę zostać marszałkową, ale że się to tak łatwo stać może”. Lektura wywołuje u Wokulskiego **nawrót**: „tak pogardzam i... jeszcze ją Kocham!”.

Mimo to bohater **podejmuje decyzję** — wymienia telegramy z Moskwą i Paryżem (od Geista), spędza dzień z adwokatem i rejentem, postanawiając jechać sprawdzić wynalazek na miejscu: „szukając kamienia filozoficznego znalaziono chemię; kto wie, co się napotka teraz? — byle wydobyć się z tego błota”. Otrzymuje nowy bilecik **Wąsowskiej** (na kopercie wizerunek Sfinksa — „twarz ludzka i tułów zwierzęcia, a nasza imaginacja dodaje wam skrzydeł”). Wdowa, z kuframi spakowanymi do wyjazdu, przyjmuje go pod pretekstem „ważnego interesu” (kiedy kupić franki — przejrzysty wybieg), lecz jej prawdziwym celem jest **pogodzenie go z Izabelą**: „pan się do niej uprzedziłeś, wyrządzasz jej krzywdę — tak nie postępuje człowiek honorowy, by zbałamuciwszy kogoś rzucił jak zwiędły bukiet”. Prus splata tu trzy nici finału: ozdrowienie ku Sławie i nauce, ostatni nawrót miłości do Izabeli i ofensywę życzliwej Wąsowskiej — przygotowując rozstrzygnięcie losu bohatera.

Na namowy Wąsowskiej, by pojednał się z Izabelą, Wokulski odpowiada **definitywną odmową** i obnaża sedno swojej rany: nie chce być „eunuchem przy ideale”, upatrującym „w każdym mężczyźnie szczęśliwego rywala”; nie wybaczają mu pomyłki, lecz „duchowej prostytucji, którą prowadzi się bez potrzeby, na zimno, przy zachowaniu pozorów cnoty”. Najboleśniesz jest, że Izabela „z jego piersi chciała zrobić parawan dla siebie i adoratorów” — „skrzywdzona ludzka godność to nie imaginacja”. Na pytanie o plany odpowiada „gdybyżem ja sam wiedział”,

a Wąsowska, z tłumionymi łzami, żegna go. Schodząc, Wokulski myśli: „załatwiłem dwa interesa — kto wie, czy Szuman nie ma racji?” (odrzucił Izabelę i utracił Wąsowską).

Odwiedza **podupadłego Rzeckiego**, który raz jeszcze podsuwa mu Stawską. Wokulski wybucha: „kiedyż ja się wypłaczę z tych babskich stosunków?... zabawny kraj, gdzie baby trzymają pierwsze skrzypce i nie ma żadnych innych interesów, tylko szczęśliwa albo nieszczęśliwa miłość”. Zapowiada wyjazd — „pojutrze do Moskwy, a potem gdzie Bóg przeznaczy” — i zostawia **dwuznaczne, złowieszcze wyznanie**: „czasami zdaje mi się, że coś zrobię dla świata, a chwilami ogarnia mnie taka desperacja, że chciałbym, żeby mnie ziemia pochłonęła... nie dziwiłbym się, gdybym narobił hałasu albo skończył wszelkie rachunki ze światem”. Wkrótce rozchodzi się wieść, że **Wokulski wyjechał nagle, może na zawsze**; Szlangbaum hurtem skupuje za bezcen jego ruchomości, powóz i konie.

## Rozdział XVII — Pamiętnik starego subiekta

---

Ostatnie wpisy dziennika **Rzeckiego** są pełne smutku schyłku i przeczuć. Pojawia się wieść o **śmierci księcia Ludwika Napoleona (Lulu)** poległego 26 czerwca w Afryce w bitwie z Zulusami — lecz stary bonapartysta nie chce w nią uwierzyć („może się ukrył przed agentami Gambetty”), od lipca nie czyta już gazet, „bo polityka odejmuje serca ludziom”. Maluje świat „zmieniający się na złe”: Klejna wciąż nie ma, Lisiecki wyjechał do Astrachania (z prorocstwem „tu zostaną tylko Żydzi, a reszta zżydzieje”); na urodzinach Szlangbauma „wszyscy przyjaciele i nieprzyjaciele Wokulskiego pili zdrowie” nowego właściciela; baronowa Krzeszowska, dawszy dwieście rubli na przytułek, zwie się „najzacniejszą z niewiast” (świat zapomniał o procesie). Narasta **antysemicki ferment** (plotki o porywaniu chrześcijańskich dzieci „na mace”), z którego cynicznie cieszy się Szuman („dobrze tak parchom, niech ich nauczą rozumu”) — Rzecki podsumowuje doktora celnie: „jego dusza jest jak tafla lodu — nawet ogień może się w niej odbić, ale ona sama nigdy się nie rozgrzeje”. Donosi też, że **Mraczewski oświadczył się pani Stawskiej i został przyjęty** (Rzecki będzie „niańczył dzieci Mraczewskiego”, choć marzył, że robiłby to dla dzieci Stacha — „życie jest okrutnie ciężkie”). Pełen niepokoju o zdrowie (Szuman zabronił mu piwa, kawy, irytacji) i o Stacha (w Moskwie, z półmilionem u Suzina), snuje **gorzką wątpliwość metafizyczną**: czy ludzkość zmierza ku lepszemu wedle jakiegoś planu, czy „idzie tam, gdzie ją popchnie większa siła”, skoro „ostatecznym kresem złych i dobrych jest garść popiołu”.

## Rozdział XVIII — ...?...

---

Tytuł ostatniego rozdziału — **trzy kropki i znak zapytania** — sam w sobie zapowiada niepewność losu bohatera. Prus przechodzi z dziennika do narracji trzecioosobowej: **Rzecki**

**istotnie ciężko choruje** (wedle Szumana na serce, rozwijające się „pod wpływem zmartwień”). Pozbawiony zajęcia, przychodzi rano do sklepu „niegdyś Wokulskiego, dziś Szlangbauma”, lecz wychodzi, gdy schodzą się goście (przypatrujący mu się „ze zdziwieniem”) i subiecki (dziś, prócz Zięby, sami starozakonni), którzy „wbrew upomnieniom Szlangbauma traktują go lekceważąco”. Coraz bardziej osamotniony, stary subiekt „coraz częściej myśli o Wokulskim” — i Prus napina ostatnią strunę powieści, prowadząc ku rozwiązaniu zagadki, którą stawia sam tytuł rozdziału: co się stało z Wokulskim?

Rzecki spędza dni na **tęsknym myśleniu o Stachu** — o szóstej rano zgaduje, czy przyjaciel śpi, wieczorem wyobraża go sobie u Suzina lub w wagonie. Kładzie się do łóżka w dniu, gdy Szlangbaum skupuje sprzęty Wokulskiego („bo takie sprawunki robią się tylko po umarłych — ale Stach, dzięki Bogu, jest zdrow!”). Pewnego wieczora wpadają z koszem nowego piwa **radca Węgrowicz i agent Szprot** („nie chciała przyjść góra do Mahometów”), którzy wygrali zakład o Wokulskiego. Radca wygłasza miejską **kampanię oszczerstw**: Wokulski to bankrut, który „uciekł, zostawiając dwakroć sto tysięcy bez dyspozycji” (więc „albo wariat, albo zmajstrował coś, że już nie czeka na wypłatę”), zrobił majątek „na wojnie tureckiej” w podejrzany sposób, „zabijał krajowy przemysł, by dać osiemnaście procent arystokratom”, „sprzedał spółkę Żydom” i „rzucił setki ludzi w nędzy”. Rozgniewanego Rzeckiego, broniącego przyjaciela, ratuje **Szuman**, który wyrzuca piwo i gości („szpital nie jest knajpą... zaskarżę o zabójstwo”).

Doktor stawia jednak własną, **trzeźwą i okrutną diagnozę**: Wokulski nie jest bankrutem, lecz „półgłówkiem z typu, który nazywam **polskimi romantykami**”. Wylicza, że bohater „nigdy nie działał przytomnie” (subiekt marzący o uniwersytecie, student bawiący się polityką, uczony wracający goły, dorobkiewicz robiący majątek nie jako kupiec, lecz „jako wielbiciel kokietki”, a wreszcie porzucający i pannę, i majątek) — „czystej krwi polski romantyk, co wiecznie szuka czegoś poza rzeczywistością”. Wieszczy, że Wokulski **nie wróci**: „albo sobie łeb rozbije, jeżeli odzyska rozsądek, albo weźmie się do nowej utopii — choćby wynalazków tego mitycznego Geista, który także musi być patentowanym wariatem”. Sam przyznaje, że i on gonił za utopiami, lecz „opatrzył się w porę”, a Rzeckiego nazywa „także okazem romantyka, tylko z mniejszą sposobnością do głupstw”.

Przykutym do łóżka Rzecki **brodzi w złowrogich przeczuciach**: wraca doń dawny sen (Wokulski skaczący z wieży ratuszowej za Izabelą) i słowa Stacha „chciałbym zginać sam i zniszczyć wszelkie ślady mego istnienia” — „jak łatwo takie życzenie może się spełnić u człowieka, który umiał wykonywać to, co mówił”. Codzienna „zwrotka” Szumana („trzeba być wariatem, by zostawić tyle pieniędzy bez dyspozycji i nie donieść, gdzie jest”) podsyca niepokój. Wreszcie doktor wpada o dziesiątej rano z **wiadomością** (od Szlangbauma, który czeka na termin wypłaty stu dwudziestu tysięcy i „liczy”, że Wokulski umrze, by zatrzymać kapitał): Wokulski tydzień temu wyjechał z Moskwy do **Odessy, a stamtąd zamierza objechać świat — Indie, Chiny, Japonię, przez Ocean Spokojny do Ameryki** — nie napisawszy

ani słowa, zostawiając w Warszawie majątek i życzliwych ludzi. Prus utrzymuje tu **dwuznaczność losu bohatera** (podróż czy ucieczka ku śmierci?), kontrastując chciwe rachuby Szlangbauma i cynizm Szumana z rosnącą trwogą wiernego Rzeckiego.

W połowie września odwiedza Rzeckiego **Ochocki** (z Zasławka) z wieścią o **śmierci pana Łęckiego — i to po części „przez nią”**. Historia jest ostatnim, miażdżącym portretem Izabeli: marszałek oświadczył się o jej rękę (przyjęła, a raczej nie odrzuciła), lecz panna „co dzień jeździła z pewnym naiwnym inżynierem do zasławskich ruin”, by — jak się domyślano — „w jego asystencji tęsknić za Wokulskim” („niech będzie kontent, że pozwalam mu patrzeć na siebie”). Gdy inżynier się spostrzegł i przestał z nią jeździć, zazdrosny marszałek demonstracyjnie zerwał konkury i wyjechał na Litwę; Izabela z hrabiną dostały spazmów, a **„pocziwy Łęcki, nawet nie kiwnąwszy palcem, umarł na apopleksję”**. Ochocki kwituje to gorzkim śmiechem i diagnozą, że Izabela „nie jest potworem — to taka jak tysiące innych z jej sfery”: klasa ludzi „dobrze jedzących, a niewiele robiących”, musi „zużywać siły w rozpuście albo drażnieniu nerwów”, do czego „potrzebne są kobiety wytresowane w tym kierunku”.

Sednem chunku — i **najpełniejszą w powieści obroną Wokulskiego** — jest monolog Ochockiego o nim jako o **„człowieku szerokiej duszy”**. W przeciwieństwie do „ludzi małej duszy”, którzy „dbają tylko o własne interesa i mają wstręt do rzeczy nieznanych”, Wokulski „troszczy się interesami tysięcy, patrzy o kilkadziesiąt lat naprzód, a każda rzecz nieznaną pociąga go nieprzeparcie — jak żelazo rusza się za magnesem, jak pszczoła lepi komórki, tak ten gatunek ludzi rzuca się do wielkich idei”. Ochocki gwałtownie przeciwstawia to diagnozie Szumana („głupi Szuman ze swoim żydowskim klasycyzmem... cywilizacji nie stworzyli filistrowie ani geszefciarze, lecz właśnie tacy wariaci; gdyby rozum polegał na myśleniu o dochodach, ludzie do dziś byłiby małpami”). Tłumaczy, że Wokulski „dusił się tutaj od dzieciństwa” — aspiracje naukowe bez ujęcia, instynkty społeczne, które „cokolwiek dotknął, padało” (nawet spółka przyniosła mu „tylko pretensje i nienawiści”) — a Izabela „mogła go uspokoić, lecz nietęgo trafił”. Teraz Wokulski „jest podobny do wyrwanego drzewa: jeżeli znajdzie właściwy grunt (a w Europie może go znaleźć) i ma jeszcze energię, zacznie żyć; ale jeżeli się wyczerpał...”. Słowa te wzruszają Rzeckiego do łez („Stach ma energię... on jeszcze wypłynie!”), a Ochocki rozumie „wstręt człowieka rozbitego do rzeczy przypominających przeszłość” (anegdota o spaleniu greckich i łacińskich podręczników po maturze) — „nie dziwne się, że Wokulski umyka aż do Chin”.

Rozmowa **rozpoczyna rekonwalescencję Rzeckiego** (opuszcza łóżko, wraca do sklepu, Szuman „zachwyca się trafnością swojej kuracji”), pokrzepionego nadzieją na list od Stacha. Ochocki wyjeżdża do Petersburga (pilnować testamentu prezesowej, który „chce obalić wdzięczną rodziną”). Chunk zamyka **pierwszą zagadkową wieść** o Wokulskim: pod koniec września Szuman donosi, że pachciarz z Zasławka opowiedział Szlangbaumowi, jakoby furman

zmarłej prezesowej „widział niedawno Wokulskiego w lesie zasławskim” — z opisem jego ubioru i konia. Tak Prus, miast potwierdzić podróż dookoła świata, ściąga bohatera z powrotem ku Zasławowi i jego zamkowym ruinom — miejscu legendy i kamienia z napisem — zapowiadając, że tam właśnie rozegra się ostatni akt jego losu.

Szuman zbywa wieść jako farsę (inny Żydek „widział Wokulskiego w Dąbrowie”, a nawet jakoby kupił tam „od pijanego górnika dwa naboje dynamitowe”) — bo „Szlangbaum ogłosił nagrodę za wiadomość o Wokulskim, więc każdy będzie go upatrywał”. Lecz niepokój przechodzi w **trwogę** wobec faktu niewątpliwego: pierwszego października rejent pokazuje Rzeckiemu **testament Wokulskiego**, sporządzony przed wyjazdem do Moskwy. Bohater rozporządził całym warszawskim majątkiem (siedemdziesiąt tysięcy w banku, sto dwadzieścia u Szlangbauma): **sto czterdzieści tysięcy Ochockiemu, dwadzieścia pięć tysięcy Rzeckiemu, dwadzieścia tysięcy Helence Stawskiej**, a pozostałe pięć tysięcy podzielił między dawną służbę i biedaków — po pięćset rubli Węgiełkowi, furmanowi Wysockiemu i jego bratu, dróżnikowi ze Skierniewic. „Rzewnymi słowami” prosił obdarowanych, by przyjęli zapis „jak od zmarłego”. Szumana intryguje jedno: „skąd się wziął wśród obdarowanych ów dróżnik Wysocki?” (notuje jego nazwisko i wychodzi zamyślony).

Rzecki próbuje karmić się nadzieją: Ochocki przyjmuje zapis, lecz nagle „zbiera wszystkie pieniądze” i „stanowczo musi w listopadzie wyjechać za granicę” (obiecuje wyjaśnić „przy osobistej rozmowie”) — co subiekt tłumaczy sobie marzeniem, że „Stach i Ochocki zejdą się w Paryżu u Geista” przy tajemniczych metalach. Szuman jednak burzy tę nadzieję, donosząc, że „dowiadywał się w Paryżu o Geista — niegdyś zdolnego chemika, dziś skończonego wariata, z którego pomysłów śmieje się cała Akademia”. Zagadkę testamentu z aluzjami do śmierci rozjaśnia z kolei **wizyta Mraczewskiego**: pani Stawska waha się przyjąć darowiznę, a sam Mraczewski uważa ją za niepokojącą (wie, że Stawska „miała do Wokulskiego słabość”) — uspokaja się dopiero, gdy Rzecki mówi, że „Wokulski jest dla nas prawie umarłym”, po czym „odchodzi kontent z tego, że Wokulski może już nie żyje”.

Tymczasem **sklep pod Szlangbaumem podupada** (liche towary, aroganccy subiekci, malwersacje inkasentów na sto kilkadziesiąt rubli), co skłania Rzeckiego do **gorzkich rozmyślań** o marnotrawstwie uczciwych ludzi w kraju („Katz palnął sobie w łeb, Wokulski wyjechał, Klejn Bóg wie gdzie, Lisiecki musiał się wynieść”) i do przeglądu krzywd, jakie spotkały Wokulskiego całe życie. Z wyrzutów sumienia rodzi się w nim **plan na przyszłość**: wejść do spółki ze Stawską i Mraczewskim (ich dwadzieścia tysięcy plus jego dwadzieścia pięć) i otworzyć własny sklep „pod bokiem Szlangbaumowi” — projekt, który dodaje mu sił, mimo nasilających się bólów w ramionach i duszności.

Kulminacją chunku są **dwie wstrząsające wieści**. Najpierw Szuman wpada (bez krawata), donosząc, że odnalazł i wybadał **dróżnika Wysockiego**: w maju, jadąc z Łęckimi do Krakowa, Wokulski „rzucił się w Skierniewicach pod pociąg”, a Wysocki go uratował —



„kochany Staś, obok romantyzmu, miał manię samobójstwa; założyłbym się o cały majątek, że już nie żyje". Spostrzegłszy „straszną zmianę na twarzy" Rzeckiego, doktor zanosi go do łóżka, przysięgając więcej nie poruszać tych spraw. Potem nadchodzi **list Węgiełka z Zasławia** (adresowany do Wokulskiego), który — dziękując za pięćset rubli i pytając, „czy wielmożny pan szczęśliwie powrócił do domu" — opisuje **katastrofę**: we wrześniu, „tego samego dnia, kiedy pan Wokulski spotkał moją matkę przy kartoflach", w zamku „dwa razy strasznie huknęło jak pioruny", a gdy Węgiełek przybiegł, „ledwie poznał górę": z czterech ścian została jedna, trzy „zmielone na mąkę", **kamień z wyrytymi wierszami „rozbity na dwadzieścia kawałków"**, a w miejscu zawalonej studni „zrobił się dół" zasypany gruzami. Węgiełek sądzi, że „mury same zawaliły się ze starości", matka — że to sprawka legendarnego kowala. Prus splata tu dynamit, samobójcze skłonności Wokulskiego i jego pragnienie „zniszczenia wszelkich śladów istnienia" w jeden mroczny, niedopowiedziany obraz — bohater wysadził zasławski zamek wraz z kamieniem-pomnikiem swej miłości, a jego własny los pozostaje zagadką.

List Węgiełka dopowiada jednak nadzieję: przez tydzień „grzebał między gruzami", lękając się nieszczęścia, a **nie znalazłszy żadnego śladu, postawił na tym miejscu dębowy krzyż** „na pamiątkę, że wielmożny pan od nieszczęścia się ocalił", i — za radą proboszcza — kazał wyryć na nim słowa „**Non omnis moriar...**" (by ludzie wiedzieli, że choć zamek się rozleciał, „nie wszystek zginął"). Te słowa Horacego, odnoszone do ruin, w istocie stają się **epitafium samego Wokulskiego**. Rzecki, uradowany („Wokulski był w kraju!"), wzywa Szumana — i wywiązuje się **ostatni spór o los bohatera**: doktor jest pewien, że „Stach zabił się w Zasławiu" (dynamit, studnia, jego słowa „chciałbym zapaść się pod ziemię jak studnia zasławska"); Rzecki upiera się, że Wokulski tylko „zniszczył dręczące go wspomnienia, jak Ochocki spalił grecką gramatykę" — „szkoda tylko, że tej Dulcynei nie było między gruzami" — i „teraz podróżuje z lekkim sercem, nie pisze, bo mu wszyscy obrzydli". Szuman, nie przekonany, lecz nie pewny swego, wygłasza **elegię o końcu romantyków**: „muszą wyginąć, dzisiejszy świat nie dla nich... powszechna jawność sprawia, że nie wierzymy ani w anielskość kobiet, ani w ideały... ale jaki to człowiek stylowy! umarł przywalony resztkami feudalizmu, zginął, aż ziemia zadrżała".

Pokrzepiony nadzieją Rzecki **przeżywa ostatni dzień życia w energii i optymizmie**. Wydobywa gitarę i nuci „Wiosna się budzi w całej naturze" (piosenkę z początku powieści), snując plany walki ze Szlangbaumem („precz z marzeniami! Napoleonidzi nie poprawią świata... zawiążę spółkę z Mraczewskimi, sprowadzę Lisieckiego, znajdę Klejna"). W sobotę wieczorem układa sklepową wystawę i, jak co tydzień, nakręca wszystkie **mechaniczne zabawki**, snując **medytację rezonującą z tytułem powieści**: „Marionetki!... wszystko marionetki! Zdaje im się, że robią, co chcą, a robią tylko, co im każe sprężyna, taka ślepa jak one"; a gdy źle prowadzony dżokej wywraca tańczące pary, dodaje gorzko: „dopomóc do szczęścia jeden drugiemu nie potrafi, ale zrujnować cudze życie umieją tak dobrze, jak gdyby byli ludźmi". Zaraz potem spotyka go **upokorzenie**: spod kontuaru wyłazi subiekt Izidor

Gutmorgen — Szlangbaum kazał mu czuwać nocą, „żeby Kazimierz [służący Rzeckiego] czego nie wyniósł”. Stary subiekt, którego Wokulski darzył zaufaniem, „powierając mu krocie”, a który pracuje w sklepie za darmo, jest teraz „pilnowany jak złodziej”. W furii zamyka Gutmorgena na noc w sklepie, nazajutrz odmawia rozmowy ze Szlangbaumem, postanawia wyprowadzić się i pisze **dwa listy** — do pani Stawskiej (by przyjechała i zawiązała z nim spółkę) i do Lisieckiego (by wrócił).

Pochylając się po upuszczone pióro, Rzecki czuje „**dziwny ból w piersiach, jakby kto przebił płuca wąskim nożykiem**” — kładzie się na szezlongu, jeszcze planując zemstę na Szlangbaumie i ciesząc się, że „przestaną go nazywać romantykiem”. Wtedy rozwija się przed nim **panorama całego życia, biegnąca wstecz** — obiad w Hotelu Europejskim, stary sklep z Łęcką i Mraczewskim, powrót Wokulskiego z Bułgarii, piwnica Hopfera, pole bitwy, stary Mincel ciągnący za sznurek wiszącego kozaka, aż po dzieciństwo na strychu, gdy przez dymnik patrzył na Wisłę. Dymnik kurczy się „do rozmiarów srebrnej dziesiątki” i świeci „jak gwiazda o malejącym blasku”, aż „**ta ostatnia gwiazda zgasła — może zobaczył ją znowu, ale już nie nad ziemskim horyzontem**”. Tak umiera Ignacy Rzecki — ostatni romantyk i wierny przyjaciel — samotnie, ze słowami zaprzeczającymi marzycielstwu na ustach, lecz do końca pełen idealnych planów. Służący Kazimierz znajduje ciało; spłoszony Szlangbaum nie chce wejść do pokoju i posyła po Szumana. A w tej samej chwili u Szumana **Ochocki** opowiada, że wczoraj wrócił z Petersburga, a w południe **odprowadził na pociąg wiedeński pannę Izabelę Łęcką, która wyjechała za granicę** — Prus zestawia śmierć szlachetnego serca z cichym zniknięciem kobiety, która zniszczyła Wokulskiego, oboje schodzących ze sceny w jednej chwili.

Ochocki dorzuca, że **Izabela „wstępuje do klasztoru”** — co Szuman kwituje cynicznie („czy ma zamiar nawet Pana Boga kokietować? one wszystkie wydają się nam dziwne, dopóki nie sprawdzimy, że są tylko głupie albo nędzne”). Gdy Ochocki ma już coś powiedzieć o Wokulskim, wpada Kazimierz z wieścią o Rzeckim. Przy zwłokach gromadzą się **figury upadającego świata**: Maruszewicz (lamentujący, że „miał do niego ważny interes, a ten umarł”), Szlangbaum (dopytujący Ochockiego o pieniądze: „na długo pan wyjeżdża?” — „może na zawsze”), radca Węgrowicz, Szprot. Na pytanie Szumana „ci giną, wy wyjeżdżacie — któż tu w końcu zostanie?” pada chóralna odpowiedź Maruszewicza i Szlangbauma: „**My!**” — gorzka pointa o tym, kto dziedziczy świat po szlachetnych ludziach. Szuman wyrzuca ich za drzwi i nad ciałem przyjaciela wygłasza **epitafium epoki**: „Ostatni to romantyk!... jak oni się wynoszą...”, szarpiąc wąsy. Ochocki, ujawszy zimną rękę Rzeckiego, dostrzega w jego kieszeni wystający list Węgiełka i odczytuje „**Non omnis moriar...**” — szepcąc „masz rację” (Szuman: „ja mam rację? wiem o tym od dawna”). Słowem „**Koniec**” Prus zamyka główny tok narracji.

## Uzupełnienie

---

Powieść wieńczy **retrospektywny epilog** — scena umieszczona „prawie w tej samej chwili, kiedy Rzecki studiował licytację domu Łeckich” (czyli u progu całej historii). W mieszkaniu Rzeckiego naradzają się Wokulski i moskiewski kupiec **Suzin** (barwnie odmalowany „niski olbrzym” o konopiastej brodzie, w brylantach), który kusi Wokulskiego, by jeszcze tej nocy jechał z nim do Paryża (gwarantuje piętnaście, może pięćdziesiąt tysięcy rubli). Wtedy Klejn przynosi **bladoniebieski list z niezapominajkami od Izabeli** — uprzejme zaproszenie na obiad „w sprawie wieńca dla Rossiego” — które Wokulski czyta cztery razy, błędąc i czerwieniejąc. Suzin, przejrawszy go, wygłasza **chłopski, lecz przenikliwy wykład o kobietach i o polskiej słabości**: „u was Polaków na wszystko — serce; to wasze głupstwo. Na wszystko miej kieszeń, a serce tylko dla siebie”; o kobiecie zaś — „ona z twego serca zrobi sobie umeblowanie, a z innym, bez serca, będzie się całować w twoich oczach”. Oferuje nawet, że „odkupi jej rozum Wokulskiego za tuzin tuzinów katarzynek” (brylantów). Kusi go również drugą partią — **Luboczka**, córką Marii Siergiejewny, która „tęskni za Wokulskim”, a ma „trzy miliony rubli, medal ze Smolnego i pułkownika gwardyjskiego za konkurenta”: „żeń się z nią”.

Wokulski **odrzuca jednak obie drogi ucieczki** — bogatą rosyjską narzeczoną i paryski interes (a w domyśle naukową przyszłość u Geista) — i na słowa Klejna „pan Łecki prosi pana” zrywa się, by pójść do gabinetu Łeckiego, ku Izabeli. Suzin, żegnając się („wstąpię jeszcze do Berlina popatrzeć na Bismarcka, a ty przyjeżdżaj”), odchodzi z pokiwaniem głowy. Tym **ironicznym kłamrowym obrazem** Prus domyka tragedię: u samego początku Wokulski miał przed sobą jasny wybór — fortunę, miłość prawdziwie go kochającej kobiety i wielki cel naukowy — a świadomie odtrącił to wszystko dla wezwania pustej panny, której obsesja zaprowadziła go do klęski. **Tu kończy się „Lalka”** — powieść, której finał Prus celowo pozostawia otwartym (tytuł rozdziału „...?...”, brak ciała w gruzach, hipotezy Szumana i Rzeckiego), tak że los samego Wokulskiego — śmierć w wysadzonym zamku czy nowe życie gdzieś w świecie nauki — na zawsze pozostaje nierozstrzygnięty, a ostatnim akordem jest cicha śmierć Rzeckiego, „ostatniego romantyka”, i triumf dorobkiewiczów, którzy „zostają”.